tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 3 (1306)
13-19.01.2025
Cena 9,80 zł
(w tym 8% VAT)

Ryszard Kalisz
Co się dzieje w PKW?

Robert Walenciak
Ambasada w Berlinie – 25 lat wstydu

Prof. Wiesław Nowiński
Atlas mózgu

Wojciech Kuczok
Fenomen zakopiańskiej skoczni

Krzysztof Daukszewicz

W POLITYCE ZDROWY ROZSĄDEK NIE OBOWIĄZUJE

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
03 >
9 771509 311508

eprasa.pl 3e4bb4d31

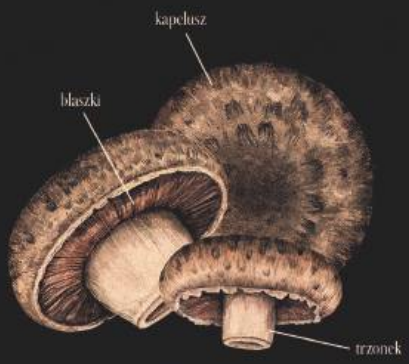

JOSIANE BALASKO

HÉLÈNE VINCENT

LUDIVINE SAGNIER

KIEDY NADCHODZI JESIEŃ

MFF SAN SEBASTIÁN NAJLEPSZY SCENARIUSZ NAJLEPSZA ROLA DRUGOPLANOWA

MFF LONDYN

MFF NAMUR

MFF TORONTO

REŻYSERIA FRANÇOIS OZON
(„8 KOBIET", „FRANTZ", „PODWÓJNY KOCHANEK")

napięcie, suspens, gęsta intryga

Kreatywna Europa MEDIA

AURORA

W KINACH OD 10 STYCZNIA 2025

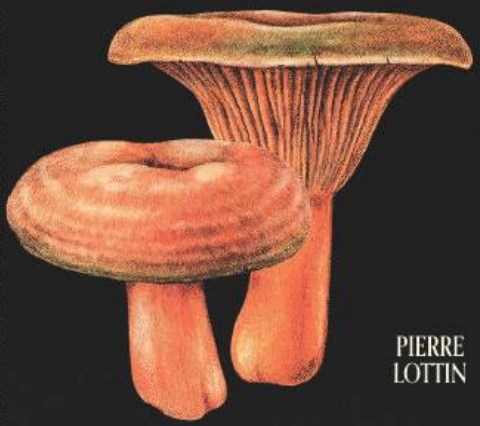

PIERRE LOTTIN

GARLAN ERLOS

eprasa.pl 3e4bb4f431

Jerzy Domański

Obywatelski jak Kaczyński

Pisałem już, że bez uruchomienia społecznej energii przeciwników powrotu do władzy grup zorganizowanej przestępczości i złodziei mogą oni wrócić szybciej, niż myślimy.

Jaką mamy sytuację na początku roku? Prezesowi Kaczyńskiemu udało się spacyfikować w partii te grupy, które chciały wykorzystać powyborczy szok związany z utratą władzy i zastąpić go na fotelu prezesa. Dla prezesa partia od zawsze była i jest najważniejszym wehikułem, który pozwala mu na uprawianie polityki. Na rozgrywki i rozmaite kombinacje w walce o władzę. Przez lata mocno doświadczony rozłamami i dezercjami bliskich współpracowników stworzył pod siebie unikatowy model zarządzania partią. Zgodnie ze statutem PiS i innymi bezpiecznikami, przede wszystkim finansowymi, nikt mu tam władzy odebrać nie może. Prezes może wszystko. I o tę prywatną w dosłownym znaczeniu firmę dba najbardziej. Pilnuje jej z taką samą troską jak własnych kotów. Rywale w partii mogą liczyć wyłącznie na problemy zdrowotne Kaczyńskiego. O tym, że prezes potrafi dobrze zabezpieczać swoje interesy na dalszą przyszłość, świadczy wybór kandydata w wyborach prezydenckich. Takiego, który nie ma przełożenia na struktury partyjne. Choć przecież jest kandydatem w pełni partyjnym. Na początku kampanii Nawrockiemu udało się odwrócić znaczenie kolejnego ważnego słowa. Po tym, jak PiS zdewaluowało i ośmieszyło takie słowa jak prawo i sprawiedliwość, doszło kolejne. Kandydat obywatelski. Nawrocki pasuje do tego modelu tak jak jego kumpel sutener do roli opiekuna dziewczynek ze szkoły. Mimo wszystko ma on szanse na sukces w majowych wyborach.

Coraz wyraźniej widać, jak bardzo niedoszacowana jest skala deprawacji, która dotknęła Polskę przez ośmioletnie rządy PiS. Z systemu rozkradania państwa korzystało znacznie więcej osób, niż myśleliśmy. Ta szara strefa nie została jeszcze opisana. A powinna. Bo są to przecież główni przeciwnicy rozliczeń. Na mniejszą czy większą skalę korzystali przecież z tych tysięcy przestępstw. I teraz boją się, że prokurator może zaprosić ich do siebie. Nie na herbatę. By tego uniknąć, wszelkimi metodami wpływają na nastroje społeczne, by sparaliżować potrzebę rozliczeń. Masowa presja i dobrze zorganizowany ruch obrony zaczynają przynosić efekty. Wyraźnie ubywa tych, którzy pryncypialnie domagają się faktycznej, a nie tylko deklarowanej praworządności. Takiego prawa jak w kodeksach, a nie jak w nazwie PiS. Co więc robić? Tych polityków i wszystkich, którzy otwarcie i publicznie optują za rozliczeniami, trzeba wspierać. Słowem, ale też czynem.

Proszę o dalszą życzliwość
i wspieranie finansowe naszego tygodnika.
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU"

BĄKOWSKI

eprasa.pl 3e4bb4f431

W NUMERZE

HISTORIA

8 **Komu przeszkadza wyzwolenie Warszawy?**
Pamiętamy o 17 stycznia 1945 r.

KRAJ

11 **Co naprawdę dzieje się w Państwowej Komisji Wyborczej?**
– rozmowa z Ryszardem Kaliszem

14 **Ambasada w Berlinie – 25 lat wstydu**
Wreszcie otwarcie

18 **Odlot prezesa Kaczyńskiego**
Z Radomia bliżej do Afryki

22 **W polityce zdrowy rozsądek nie obowiązuje**
– rozmowa z Krzysztofem Daukszewiczem

44 **(Bez)zębne 600+**
Dziurawa opieka dentystyczna

ZAGRANICA

26 **Czy prezydent Zełenski uwolnił Europę od rosyjskiego gazu?**
Handel naprawdę opłacalny

34 **Dyplomacja zakładników**
Korespondencja z Włoch

37 **Libia. Targowisko niewolników XXI wieku**
Brudne interesy przemytników ludzi

42 **Grenlandia jeszcze nie w USA**

NAUKA

30 **Atlas mózgu dla każdego**
– rozmowa z prof. Wiesławem Nowińskim

SPORT

48 **Zakopianina, małyszomania i duch Śpiącego Rycerza**
Słabnący mit zakopiańskiej skoczni

KULTURA

50 **Miłość jest chorobą, która nawiedza mnie atakami**
Wspomnienie o Agnieszce Osieckiej

54 **Qulturalia**

56 **Naśladowcy**
Recykling sztuki

66 **Bachanalia w Zamościu**

OBSERWACJE

59 **Tamtego roku zima znów była zimą**
Sezon nad Bugiem

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Obywatelski jak Kaczyński

21 **Jan Widacki**
Nie tylko „wyższe szkoły zarabiania pieniędzy"

29 **Roman Kurkiewicz**
Sprzedaj pan tę Grenlandię!

47 **Tomasz Jastrun**
Elektrowstrząsy

55 **Wojciech Kuczok**
Nawet nietoperze nie śpią spokojnie

18
KRAJ

ODLOT PREZESA KACZYŃSKIEGO
Z Radomia bliżej do Afryki

42
ZAGRANICA

GRENLANDIA JESZCZE NIE W USA

59
OBSERWACJE

TAMTEGO ROKU ZIMA ZNÓW BYŁA ZIMĄ
Sezon nad Bugiem

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 3e4bb4f431

Co było największą polityczną wpadką w 2024 r.

Mocnych kandydatur do tego tytułu wbrew pozorom nie ma zbyt wiele. Polska polityka przypomina dziś zapasy w błocie, przepychanki, nieczyste chwyty, brak efektownych rozstrzygnięć. Nic nie może się równać z nokautem w debacie Trump-Biden czy dokonaniami Macrona. Jako akademik wybieram więc kazus ministra Wieczorka. Pełna dobrych chęci osoba obejmuje wysoki urząd i przez rok funduje nam serię głupstw, pokazujących, że nie ma do tej roli innych kompetencji niż patronat kolegi Czarzastego. W kraju, w którym jest kilkadziesiąt uniwersytetów, nie znaleziono na funkcję ministra nauki i szkolnictwa wyższego kogoś z praktyką w tej dziedzinie, nieco większą dozą inteligencji i przyzwoitości. To, że PO zawsze bardziej ceniła w swoich szeregach sportowców niż profesorów, od dawna wiadomo. Jednak to, że Lewica nie ma w swoim zapleczu człowieka z habilitacją i doświadczeniem rektorskim, trochę zaskakuje. Redukowanie komponentu umysłowego w partyjnych elitach obecnej koalicji ma coraz dłuższą tradycję. Można się obawiać, że przypadek Wieczorka to głębszy problem i zapowiedź kolejnych porażek, nie tylko kadrowych, ale i strategicznych. *Lech Szczegóła*

PYTANIE TYGODNIA
Jaka jest największa wpadka roku 2024?

Dekomunizacja Kruczkowskiego

Chcę się przyłączyć do grona osób protestujących w sprawie usuwania z literatury Leona Kruczkowskiego. Dla mnie dramat „Niemcy" to bardzo ważny utwór, który powinni czytać młodzi ludzie. Była to moja lektura w klasie maturalnej w 1969 r. Nasza polonistka poświęciła na dyskusję na temat postaw bohaterów dramatu dwie lekcje. Spieraliśmy się, osądzaliśmy, odpowiadaliśmy sobie na pytanie, czy można stać bezczynnie obok zła, czy etyczne jest korzystanie z krzywdy innych. Pani profesor także uczestniczyła w tej dyskusji, niekiedy powoływała się na swoje doświadczenie – była czynną uczestniczką powstania warszawskiego, więźniem obozu hitlerowskiego. Wszystkim nam ta dyskusja zapadła w pamięć. Na maturze wybrałam m.in. utwór Kruczkowskiego jako kanwę mojej pracy. Ten dramat zmienił moje i koleżanek oglądanie świata i zachowania ludzi w różnych sytuacjach. A mieszkałam właśnie przy ulicy Leona Kruczkowskiego w Łodzi. I chciałam krzyczeć, gdy nagle zmieniono nazwę ulicy na (uwaga!) Konspiracyjnego Wojska Polskiego. Moja 90-letnia matka i jej sąsiadki były oburzone, że muszą zmieniać adres na taki długi i nie do zapamiętania.

Dekomunizacja Kruczkowskiego
Nasz IPN usunięto go z nazw szkół czy ulic natrafił na opór społeczny

Maria

Nasz bareizm powszechny

Posłowie w rządzie to jest finezyjna korupcja. Żadna z partii nie ma zaplecza do sprawowania i zarządzania państwem. Wszystko jest aby na dziś i to im wystarcza. Smutna rzeczywistość. A język debat politycznych to słowny rynsztok. *Wojciech Janiak*

Nasz bareizm powszechny

•

Kiedy się okazało, że w rządzie lekarz zamiast leczyć ludzi, będzie kupował broń, która zabija, a polonistka będzie ministrem zdrowia, poczułam się tak, jakbym brała udział w tragikomedii. Na uzbrojenie idzie majątek z naszych pieniędzy – no bo przecież nie z kieszeni premiera czy ministra – ale na służbę zdrowia dają grosze. Mam wrażenie, że nikomu w rządzie nie zależy na naszym, Polaków, zdrowiu. Posłowie, ministrowie mają swoje rządowe lecznice, a i stać ich na prywatne leczenie, więc plebs niech sobie sam radzi. Jak ongiś premier Kopacz wprowadziła skierowania do okulisty i dermatologa, to już nikt tego nie zmienił. Ostatnim dobrym ministrem zdrowia był prof. Religa. *Waleria Lubner*

ZDJĘCIE TYGODNIA

Mimo obrzydliwego hejtu ze strony TV Republika i innych prawicowych mediów Jurek Owsiak i Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy ruszają do 33. finału. 26 stycznia wolontariusze Orkiestry na całym świecie będą zbierać datki dla onkologii i hematologii dziecięcej. Mottem tegorocznego finału jest „Bezpieczeństwo i zdrowie dzieci".

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 3e4bb4f431

Wybory prezydenckie odbędą się **18 maja**, a ewentualna druga tura **1 czerwca**.

•

Związek Banków Polskich szacuje, że **zysk sektora bankowego w 2024 r. przekroczy 37 mld zł**. To absolutny rekord, o 50% wyższy od najwyższego w historii.

•

Liczba miast w Polsce wzrosła do 1020. Od 1 stycznia przybyło siedem nowych: **Końskowola**, **Kurów** i **Wąwolnica** (pow. puławski, woj. lubelskie), **Kazanów** (pow. zwoleński, woj. mazowieckie), **Kobylnica** (pow. słupski, woj. pomorskie), **Sobków** (pow. jędrzejowski, woj. świętokrzyskie) i **Zaniemyśl** (pow. średzki, woj. wielkopolskie).

•

1881 osób zginęło w 21 528 wypadkach, do których doszło w ubiegłym roku. Wypadków było o 592 więcej niż w roku poprzednim.

•

116 dni wolnych od pracy w 2025 r. to rekord w tym wieku. A do tego jeszcze 26 dni urlopu. Japończycy nie wierzą, że tak można.

•

Według oficjalnych informacji od początku wojny na Ukrainie rozpoczęto 100 tys. dochodzeń prokuratorskich w sprawie dezercji żołnierzy z frontu. AFP podaje, że może chodzić o 200 tys. osób.

•

Ponad 270 tys. nielegalnych imigrantów deportowano z USA w okresie wrzesień 2023-wrzesień 2024. Najwięcej, bo ponad 400 tys., deportowano ich jednak za administracji Obamy. Donald Trump zapowiada, że liczby te będą wielokrotnie większe.

•

Polska Grupa Zbrojeniowa została dokapitalizowana kwotą **478 mln zł** na programy modernizacji zdolności obronnych Polski **(„Rzeczpospolita").**

•

O 203 mld dol. – do 432,4 mld dol. – wzrósł w zeszłym roku majątek Elona Muska.

•

Symbolem ponurych rządów Zbigniewa Ziobry jest zawieszona przez ministra Bodnara **prokurator Teresa Rutkowska-Szmydyńska**, nadmiernie zaangażowana w takie sprawy, jak postępowanie dotyczące Zdzisława K. oskarżonego o wykorzystanie seksualne małoletniej.

•

Patryk D., 27-letni kierowca porsche, który potrącił śmiertelnie bezdomnego na ul. Marszałkowskiej w Warszawie, został prawomocnie skazany na dwa lata i trzy miesiące więzienia oraz pięć lat zakazu prowadzenia samochodu.

•

Kontrola Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Stowarzyszeniu Filmowców Polskich wykazała, że dyrektorka Biura SFP Ewa Ziembicka od stycznia 2020 r. do końca marca 2023 r. zarobiła ponad 5,5 mln zł plus 600 tys. premii i nagród.

•

Wznowiono pobór opłat dla pojazdów na autostradzie A1. Stawki są takie jak przed 2023 r.

•

Pierwsze dziecko najszybciej rodzą kobiety w Mołdawii (średnio 25,1 roku), Bułgarii i Albanii (26,6). A najpóźniej we Włoszech (31,7) i w Hiszpanii (31,6). W Polsce średni wiek w chwili urodzenia pierwszego dziecka to 28,2 roku. **(„Angora").**

PRZEBŁYSKI

Ruch obrony przed ochroną

To jeszcze nie jest prima aprilis. Choć pasuje jak ulał. Przemysław Czarnek, Paweł Szefernaker i Adam Andruszkiewicz zostali wytypowani przez dojną zmianę, czytaj: prezesa K., do ruchu ochrony wyborów prezydenckich. Przy takich nazwiskach nie śmieszy nawet

lis pilnujący kurnika. Skoro jednak najbardziej wiarygodni pisowcy to ta trójka, najwyższy czas się organizować. Zanim będzie za późno. Zakładajcie oddziały ruchu obrony przed nimi. I pilnujcie wyborów.

Sachajko – gadułka rekordzista

Numer jeden na liście tych, którzy najbardziej obrzydzili oglądanie obrad Sejmu. Jarosław Sachajko. Poseł gadułka. Potrafi zabierać głos kilkanaście razy dziennie. Sens w tym jest tylko taki, że bije rekordy występów na mównicy. Żwawy 54-latek nie ma oporów przed mówieniem o wszystkim. Poseł od 2015 r. Za każdym razem kandydował z innego komitetu: Kukiz'15, PSL i PiS.

A lubi kandydować. Choć bez efektu. Jak na prezydenta Zamościa (2018) czy do Parlamentu Europejskiego (2019). Nie boi się eksperymentować z modą. Ostatnio nosi czarny garnitur i czarny krawat. Stosownie do czarnej rozpaczy, jaka na jego widok ogarnia posłów na Wiejskiej. I telewidzów.

Ile kosztuje nas Duda?

Mija mu dziesiąty rok na posadzie i podobno cały czas się uczy, ale efektów nie da się dostrzec. Nawet przez lunetę. Utrzymywanie kancelarii, czyli dworu Andrzeja Dudy, jeszcze prezydenta, kosztowało podatników jakieś 2 mld zł. I co dostaliśmy za te gigantyczne pieniądze? Kabotyńskie minki i psucie wszystkiego, na co miał wpływ. Doprowadzenie do ruiny wymiaru sprawiedliwości to odpowiedzialność Ziobry. Ale rzesza neosędziów to już osobisty wkład Dudy w psucie sądownictwa. Duda żył sobie po pańsku. I nie chce z tego zrezygnować. Wymyślił sobie członkostwo w MKOl. Po Szewińskiej. Nie powiedzieli mu, że wybory będą tam dopiero w 2026 r. I że rekomendacja Piesiewicza to dla działaczy olimpijskich coś gorszego od pocałunku śmierci.

Stowarzyszenie Księgarzy Polskich Okręg w Warszawie oraz AUTOR

ZAPRASZAJĄ NA WIECZÓR AUTORSKI

Rafała Skąpskiego

połączony z prezentacją książek „Trzeci Wokulski" oraz „Sprawa Witosa"

Książki zaprezentują Piotr Dobrołęcki i Jerzy Kisielewski

Czwartek, 16 stycznia, godz. 17.00

Klub Księgarza, Rynek Starego Miasta 22/24

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, YOUTUBE (2), MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3e4bb4f431

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

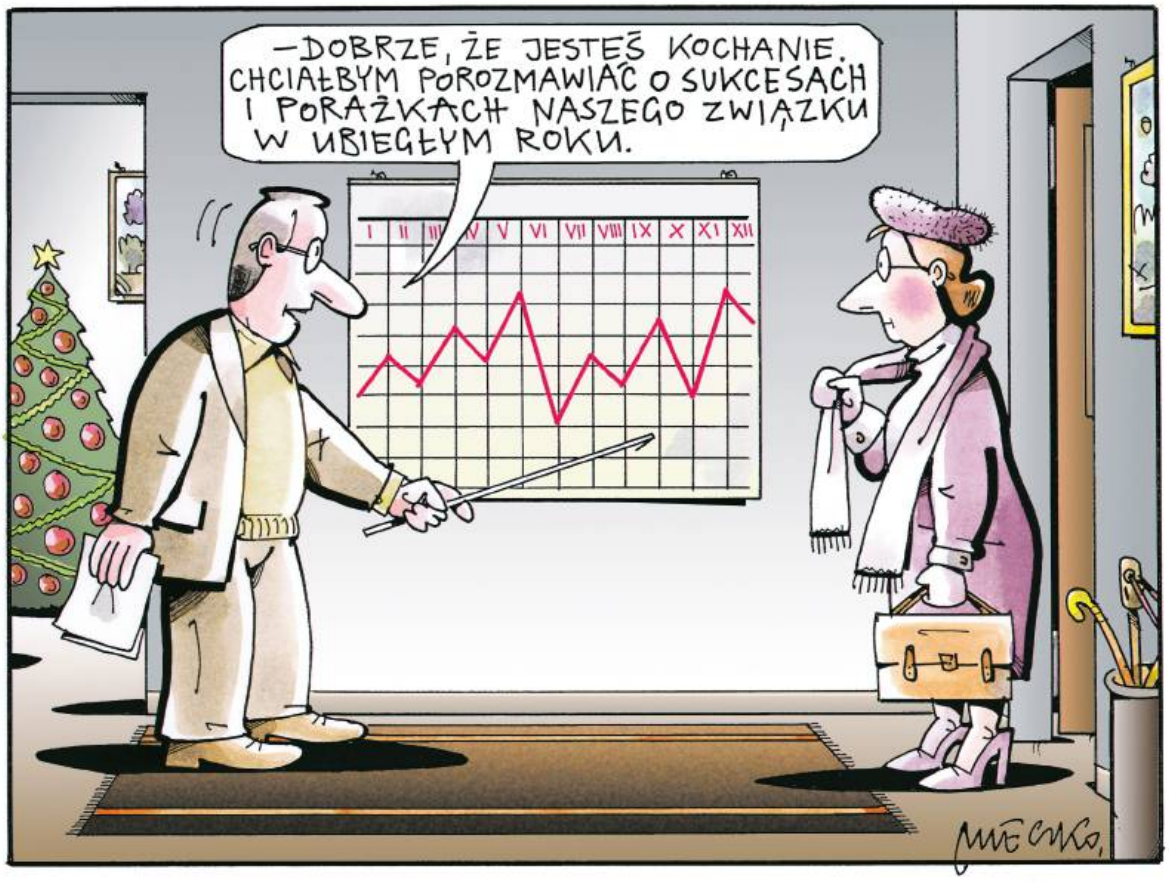

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Gdzie się podziali ateiści?

DOROTA WÓJCIK,
prezeska zarządu Fundacji Wolność od Religii

W Polsce nierówność osób bezwyznaniowych wpisana jest do wielu aktów prawnych uprzywilejowujących osoby i instytucje religijne. Wpisana jest również w sposób funkcjonowania wielu instytucji publicznych. Nierówność spotyka osoby bezwyznaniowe w publicznych przychodniach, szpitalach, właściwie we wszystkich kluczowych sferach życia, jak adopcja dzieci, domy opieki, placówki szkolno-wychowawcze, opieka nad osobami bezdomnymi, wsparcie osób w chorobie alkoholowej i wielu innych, gdzie potrzebujący, którzy chcą skorzystać z pomocy, narażeni są na indoktrynację religijną. W niektórych sferach państwo właściwie abdykowało na rzecz instytucji religijnych albo instytucje państwowe funkcjonują tak, jakby były prywatnymi instytucjami wyznaniowymi, poza kontrolą.

ANDRZEJ DOMINICZAK,
prezes Towarzystwa Humanistycznego

Ateizm przepadł? Nie przepadł, choć niezaprzeczalnie zniknął z pierwszych stron gazet i publicystyki. Spośród wielu przyczyn podam trzy. Po pierwsze, dlatego że przestał być nowością, ciekawostką i sensacją. Wyszedł z mody. Jakby mógł konkurować o uwagę mediów, gdy katolicka Polska na co dzień zaspokaja, i to w nadmiarze, nasz apetyt na silne doznania. Po drugie, większość polskich ateistów uparcie trwa w archaicznym pojmowaniu tego pojęcia i twierdzi, że ateizm to tylko brak wiary i nic z tego nie wynika. Jak nie wynika, to nie wynika! Ateizm stał się nudny. Ile w końcu można powtarzać, że Bóg nie istnieje, co nie jest żadną nowością nawet dla wielu tzw. katolików. Trzecia przyczyna jest polityczna. Większość rządzącej koalicji jest przeciwna podgrzewaniu sporów światopoglądowych przed majowymi wyborami. Rządzący politycy nie chcą zrazić części potencjalnych wyborców.

NINA SANKARI,
Fundacja im. Kazimierza Łyszczyńskiego

Statystyki (w tym GUS i ISKK) pokazują, że w Polsce szybko przybywa ateistów, ale media ich nie widzą. Na Dniach Ateizmu 2023 w Warszawie zebrali się prelegenci z sześciu kontynentów na czele z ateistą nr 1 na świecie, prof. Richardem Dawkinsem. „Terrific conference – powiedział Dawkins. – A gdzie są media?”. Naszych billboardów (20) przeciwko religijnie motywowanej nienawiści media również nie zauważyły. Nie widzą także pikiety w rocznicę zabójstwa Gabriela Narutowicza (ateisty), którą organizujemy co roku od 10 lat. Maszerujemy niewidzialni w paradach równości, protestach kobiet itp. Polska Temida jest zezowata, nie ślepa, bo nie widzi akurat ateistów, a wyroki może wydawać na podstawie Pisma Świętego. Lista niewidzących jest długa. Może więc pytanie powinno brzmieć: kto i dlaczego nie widzi ateistów?

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 3e4bb4f431

Oddział 1. Armii Wojska Polskiego na ulicach wyzwolonej Warszawy, 17 stycznia 1945 r.

Komu przeszkadza wyzwolenie Warszawy?

17 stycznia 1945 r. był symbolem odrodzenia Polski po najstraszliwszej z dziejowych tragedii

Paweł Siergiejczyk

Mają rację ci, którzy twierdzą, że Polacy lubują się w czczeniu klęsk, a nie zwycięstw. Polityka historyczna III RP niestety potwierdza tę złośliwą opinię. Mamy bowiem marcowy Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych, czyli tych nielicznych uczestników podziemia, którzy nie pogodzili się z wynikiem II wojny światowej i liczyli na wybuch trzeciej. Mamy obchodzoną co roku z coraz większym rozmachem rocznicę masakry polskich żołnierzy pod Monte Cassino, która nie miała przecież żadnego wpływu na wynik wojny. Mamy wreszcie dzień 1 sierpnia, który już od dawna nie stanowi okazji do poważnej refleksji i zadumy nad tragedią powstania warszawskiego, lecz stał się dniem bezmyślnych przebieranek i radosnych koncertów, w dodatku uprawianych nie tylko w stolicy, ale w całej Polsce. Nie mamy za to świąt upamiętniających prawdziwe polskie sukcesy, tyle że bezkrwawe: Października 1956 r. czy porozumień Okrągłego Stołu z 1989 r.

Niechciana data

Ofiarą tej bezmyślnej cenzury historycznej padają też rocznice, które na ich nieszczęście obchodzono w czasach PRL. Chodzi o takie daty jak październikowa bitwa pod Lenino czy majowe święto zwycięstwa nad Trzecią Rzeszą. Do tych niechcianych dat należy też 17 stycznia 1945 r., czyli symboliczny dzień wyzwolenia Warszawy przez żołnierzy Armii Czerwonej i Wojska Polskiego. Symboliczny – bo wyzwolono wówczas morze ruin, które pozostały po powstaniu warszawskim i celowym zniszczeniu lewobrzeżnej części stolicy przez hitlerowców. Jednak ten symbol dla ówczesnych Polaków – a także dla następnych pokoleń – miał bardzo ważne znaczenie.

> Rocznica wyzwolnienia Warszawy w styczniu 1945 r. została wykreślona z kanonu pamięci historycznej III RP.

Uwolnienie stołecznego miasta spod obcej władzy stanowi dla każdego zniewolonego narodu moment kluczowy. Dlatego wszystkie polskie zrywy niepodległościowe miały na

eprasa.pl 3e4bb4f431

celu wyzwolenie Warszawy. Jeżeli to się udawało, to zwykle na krótko (jak w czasie powstań kościuszkowskiego czy listopadowego), a upadek stolicy oznaczał kres marzeń o własnym państwie. Nieprzypadkowo też druga niepodległość w listopadzie 1918 r. na poważnie zaczęła się od wyzwolenia Warszawy, a odparcie armii bolszewickich na przedpolach stolicy w sierpniu 1920 r. ocaliło młode państwo polskie.

Dlaczego więc rocznica uwolnienia Warszawy w styczniu 1945 r. – po ponad pięciu latach najkrwawszej i najbrutalniejszej w naszych dziejach okupacji – została wykreślona z kanonu pamięci historycznej III RP? „Historycy" z IPN i powielający ich tezy propagandziści dowodzą, że żadnego wyzwolenia wtedy nie było, gdyż okupację niemiecką zastąpiła sowiecka. To pogląd tak absurdalny, że nie powinno się z nim w ogóle dyskutować, lecz niestety w ostatnich latach staje się coraz popularniejszy. Trzeba więc za każdym razem przypominać, że nie da się na jednej szali położyć „dwóch zbrodniczych totalitaryzmów", skoro jeden z nich – ten hitlerowski – zlikwidował państwo polskie i planował uczynić z Polaków bezwolną masę „gorszych rasowo" niewolników, drugi zaś – ten stalinowski – mimo licznych zbrodni i niegodziwości ostatecznie dał jednak naszemu narodowi możliwość odbudowania państwa i powrotu do normalnego życia narodowego (choć oczywiście pod hegemonią Moskwy). Mówienie o „dwóch okupacjach" jest zatem kompletnym fałszowaniem rzeczywistości i wynika wyłącznie z antykomunistycznej i antyrosyjskiej obsesji, której ulega coraz większa część naszego społeczeństwa.

Defilada wśród ruin

Trzeba więc jasno powiedzieć: 17 stycznia 1945 r. był symbolem odrodzenia Polski po najstraszliwszej z dziejowych tragedii. Dwa dni później pośród ruin zburzonego miasta odbyła się defilada oddziałów 1. Armii Wojska Polskiego, której przypadł historyczny zaszczyt wyzwolenia stolicy. Tego zaszczytu nie dostąpili

Zrujnowane budynki na Starym Mieście.

Uliczny fryzjer na Marszałkowskiej, przy zbiegu z ul. Wspólną.

Fragment ruin Śródmieścia, prawdopodobnie strona parzysta ul. Świętokrzyskiej na wysokości ul. Mazowieckiej. Widoczna na zdjęciu kolejka z wagonikami służyła do wywożenia gruzu.

FOT. EAST NEWS, NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (3)

eprasa.pl 3e4bb4f431

żołnierze gen. Andersa, gen. Maczka czy gen. Sosabowskiego – ich nawet nie zaproszono na aliancką defiladę zwycięstwa w Londynie w 1946 r., bo rząd brytyjski uznawał już wtedy nie władze emigracyjne, lecz Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej z wicepremierem Mikołajczykiem, utworzony w czerwcu 1945 r. w wyniku negocjacji moskiewskich i urzędujący w Warszawie.

W tej samej Warszawie, którą władze odrodzonej Polski niebawem po jej wyzwoleniu postanowiły odbudować. Czy dzisiejsi Polacy są w stanie zrozumieć, jak ogromne znaczenie dla naszej tożsamości narodowej miała ta decyzja? Czy jesteśmy w stanie pojąć, jak wielki wysiłek włożyła zniszczona wojenną zawieruchą Polska oraz jej zdziesiątkowane i wygłodzone społeczeństwo, by znów mieć stolicę wielką i piękną – a tak naprawdę znacznie większą i piękniejszą niż ta przedwojenna? Czy suwerenna i demokratyczna III RP może się pochwalić porównywalnym osiągnięciem? To pytania retoryczne, skoro od tylu lat czekamy choćby na budowę pierwszej elektrowni atomowej, która w dzisiejszym świecie jest już standardem.

W IPN-owskiej nowomowie powojenną Polskę nazywa się po prostu „komunistyczną". Gdyby jednak jej władze naprawdę chciały budować nad Wisłą państwo komunistyczne, jego stolicą uczyniłyby zapewne proletariacką Łódź. A jeśliby odbudowały Warszawę, to na pewno bez Starego i Nowego Miasta i bez Traktu Królewskiego, które przypominają Polakom, że wszystko, co najważniejsze w ich nowożytnej historii, wydarzyło się właśnie tutaj. Powojenna Warszawa nie stała się jednak „komunistyczna" – stała się znowu polska. Z polskimi zabytkami, pomnikami, muzeami, teatrami, uczelniami, bibliotekami, stadionami – tyle że dostępnymi, jak nigdy wcześniej, najszerszym masom społeczeństwa, które dzięki temu miały możliwość uzyskania niespotykanego dotąd awansu społecznego i kulturalnego. Nie jest przesadą stwierdzenie, że po II wojnie światowej ostatecznie ukształtował się naród polski. A rola odbudowanej i ciągle rozbudowywanej stolicy była w tym procesie nie do przecenienia.

Nie mamy świąt upamiętniających prawdziwe polskie sukcesy, tyle że bezkrwawe: Października 1956 r. czy porozumień Okrągłego Stołu z 1989 r.

Nowoczesna stolica

Kilka lat temu, na fali pisowskiej „dekomunizacji" realizowanej z bolszewicką gorliwością przez IPN, usunięto nazwę ulicy 17 Stycznia na warszawskim Okęciu, zastępując ją ulicą Komitetu Obrony Robotników. Oczywiście KOR także zasługuje na upamiętnienie, ale warto sobie uświadomić, że nie byłoby nawet gdzie założyć komitetu, gdyby trzy dekady wcześniej nie wyzwolono ani nie odbudowano Warszawy. Dlaczego więc w dzisiejszej Polsce jedne fragmenty narodowej przeszłości się wymazuje, a inne eksponuje? Czy Polacy nie mają prawa do uczciwej historii? A przede wszystkim, czy nie mają prawa do dumy z prawdziwych osiągnięć? Bo powojenna odbudowa – nie tylko Warszawy, lecz w ogóle państwa i życia narodowego – to jedno z największych osiągnięć w naszych ponadtysiącletnich dziejach.

Antykomunistyczny fanatyzm stara się wymazać tę „oczywistą oczywistość", przesłaniając bezprecedensowy sukces tamtej odbudowy rzekomym bohaterstwem „żołnierzy wyklętych". Do jakiego poziomu absurdu spadliśmy jako wspólnota narodowa, że naprawdę wyklęta jest dziś pamięć o tych, którym zawdzięczamy powrót do grona narodów cieszących się własnym państwem i posiadaniem własnej, jednocześnie historycznej i nowoczesnej stolicy.

Paweł Siergiejczyk

200 tysięcy ofiar i ruiny miasta upominają się o prawdę

Tom I 60 zł

Tom II 70 zł

Dwa tomy drugiej serii PRZEGLĄDU „Zakłamana historia powstania"

Artykuły znanych autorów i nieznane dokumenty pokazujące tragedię powstania warszawskiego. Błędy polityków i wojskowych. Straszne skutki, o których się nie mówi, za to sprawcom tej tragedii buduje się pomniki. Fałszywa polityka ciągle wygrywa z prawdą.

PAKIET ~~130 zł~~ 110 zł

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl** lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821. Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

epraso.pl 5e4bb4f431

Co naprawdę dzieje się w Państwowej Komisji Wyborczej?

Sędzia Marciniak stosuje sztuczki, żeby tylko PiS dostało pieniądze

Rozmawia Robert Walenciak

RYSZARD KALISZ
– polityk, adwokat. Poseł SLD na Sejm w latach 2001-2015, w latach 1998-2000 szef Kancelarii Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, w latach 2004-2005 szef MSWiA. Od 2024 r. członek Państwowej Komisji Wyborczej.

Andrzej Domański, minister finansów, zwrócił się do PKW o wyjaśnienie, co tak naprawdę jest napisane w uchwale z 30 grudnia 2024 r. Pomoże pan ją rozszyfrować? Czy minister Domański powinien wypłacić PiS pieniądze?

– Od początku, tj. od 2018 r., uważam, że osoby, które nazywają się sędziami, a zostały powołane przez pana prezydenta na podstawie art. 197 konstytucji bez wniosku uprawnionego organu, czyli Krajowej Rady Sądownictwa ukształtowanej zgodnie z konstytucją, sędziami nie są. Przyjęło się je nazywać neosędziami. Uważam też, podobnie jak prof. Włodzimierz Wróbel, że Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych jest sądem specjalnym, który jest zakazany w polskiej konstytucji. Jednocześnie wielokrotnie zarówno Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu, jak i Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu (ostatni raz w grudniu 2023 r.) stwierdziły, że Izba ta nie jest sądem. Przypominam także, że uchwała z końca stycznia 2021 r. połączonych Izb Sądu Najwyższego stwierdzała, że orzeczeń takich osób nie można traktować jako sądowych. Dokument, który otrzymała Państwowa Komisja Wyborcza, podpisało siedem osób. Żadna z nich zgodnie z konstytucją nie jest sędzią Sądu Najwyższego.

Mówi pan o piśmie z Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych skierowanym do PKW, nakazującym przyznanie subwencji PiS. Podpisani pod nim członkowie Izby to neosędziowie.

– Tak.

Skoro pan mówi, że Izba Nadzwyczajna jest zgromadzeniem towarzyskim, to dlaczego w latach poprzednich, kiedy zatwierdzała wyniki wyborów parlamentarnych, samorządowych, eurowyborów, wszystko było w porządku? Nikt niczego nie kwestionował, a teraz wszystko się neguje?

– Nie powiedziałem, że jest zgromadzeniem towarzyskim. Nie jest Izbą Sądu Najwyższego. Nie wszystko było w porządku. Powiedziałem już: od 2018 r. miałem pogląd, że to nie są sędziowie. Nie było natomiast instrumentów prawnych, które mogłyby ten stan podważać. Władzę dzierżyło wtedy Prawo i Sprawiedliwość. A pan prezydent nominował te osoby na sędziów. Współpracownicy Andrzeja Dudy często mówią, że sama nominacja przez pana prezydenta konwaliduje wszelkiego rodzaju wcześniejsze uchybienia. Dodam więc, że nie jest to prawda. Pan prezydent nie ma takiej mocy. Ma tylko takie uprawnienia, które są wskazane w konstytucji. Nigdzie tam nie znajdziemy prawa do konwalidacji, szczególnie w art. 179, który stanowi, że sędziowie są powoływani przez prezydenta na wniosek Krajowej Rady Sądownictwa, której skład jest zgodny z art. 187, ust. 1 konstytucji. A od 2018 r. takiego organu w Polsce nie ma.

Wybory europejskie i samorządowe odbyły się w roku 2024, za Tuska.

– Akurat w przypadku tych wyborów mamy do czynienia z domniemaniem ich ważności. I decyzje Sądu Najwyższego mogą służyć tylko obaleniu tego domniemania, czyli musi on orzec, że wybory były nieważne. Gdy tego nie zrobi, wybory są ważne.

Ale przecież wcześniej, na podstawie orzeczenia Komisji Nadzwyczajnej, daliście pieniądze Konfederacji.

– Dotyczyło to też Porozumienia. Słowo „daliście" jest niezbyt właściwe, bo osobiście byłem przeciw. Jest to jednak związane z zupełnie inną sytuacją, ponieważ uchwały dotyczące tych komitetów wyborczych historycznie odnosiły się do wyborów z roku 2019. I dlatego nie miały

eprasa.pl 3e4bb4f431

większego znaczenia. Ale oczywiście pogląd niektórych kolegów z PKW też ewoluował.

Porozmawiajmy zatem o ewoluowaniu poglądów. Dlaczego 16 grudnia PKW mówi jedno, a 30 grudnia coś innego, choć nic pomiędzy tymi datami się nie zmieniło? Co tu się dzieje?

– Powiem o faktach. 16 grudnia 2024 r. większością 5:4 przyjęliśmy stanowisko PKW o odroczeniu rozpatrywania na podstawie art. 145 par. 6 Kodeksu wyborczego sprawozdania Komitetu Wyborczego PiS za wybory w 2023 r., do czasu uregulowania przez władzę ustawodawczą i władze wykonawcze, czyli rząd i prezydenta, statusu tzw. Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych oraz neosędziów. Głosowałem za tym odroczeniem. Pięć dni później, dokładnie 21 grudnia, w sobotę, o godzinie 12 z minutami, dostałem mejl od jednego z dyrektorów Krajowego Biura Wyborczego, że pan przewodniczący zarządza głosowanie w trybie obiegowym nad uchwałami, m.in. uchwałą dotyczącą sprawozdania PiS.

Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych jest sądem specjalnym, który jest zakazany w polskiej konstytucji.

Głosowaliście nad nią już 16 grudnia. Po co więc ta reasumpcja? Na jakiej podstawie?

– No właśnie! To nie była reasumpcja. Wykorzystałem przepisy Kodeksu wyborczego i regulaminu PKW i złożyłem sprzeciw w poniedziałek, 23 grudnia, rano, więc to głosowanie nie mogło się odbyć. Pan przewodniczący Sylwester Marciniak napisał wówczas długie, prawie dwustronicowe oświadczenie, bezpodstawnie krytykujące mnie ad personam. W ostatnim zdaniu napisał: „Następne posiedzenie odbędzie się 30 grudnia 2024 r.”. Po kilku dniach, w piątek, otrzymałem porządek obrad kolejnego posiedzenia.

Tego 30 grudnia.

– Czytam ten porządek obrad i w punkcie trzecim widzę przyjęcie sprawozdania Komitetu Wyborczego PiS – jak zaznaczono wyraźnie – po orzeczeniu Sądu Najwyższego. Wynika z tego, że pan przewodniczący Marciniak w porządku obrad przesądzał, że pismo siedmiu neosędziów jest orzeczeniem Sądu Najwyższego. I odbyło się to posiedzenie 30 grudnia. Na samym początku złożyłem wniosek, by zdjąć z porządku obrad punkt trzeci, ponieważ w rzeczonej sprawie PKW zajęła już stanowisko 16 grudnia, odraczając decyzję. Po dyskusji pan przewodniczący powiedział, że głosowanie mojego wniosku odbędzie się przed rozpatrzeniem punktu trzeciego. Ale później, po punkcie pierwszym i drugim, od razu przeszedł do głosowania nad punktem trzecim!

Pomimo pańskiego wniosku o usunięciu tego punktu z porządku obrad.

– Tak jest. Mój wniosek nie był poddany pod głosowanie. Głosowanie nad punktem trzecim odbyło się – znany jest jego wynik. Zagłosowały cztery osoby, w tym dwóch zgłoszonych przez PiS członków PKW: pan sędzia Wojciech Sych z Trybunału Konstytucyjnego i pan sędzia Marciniak jako przewodniczący. Przeciw głosowałem ja i dwóch adwokatów: pan mecenas Maciej Kliś i pan mecenas Paweł Gieras. Wstrzymało się dwóch kolegów profesorów: Ryszard Balicki i Konrad Składowski.

Kto napisał uchwałę nr 421, którą PKW przyjęła 30 grudnia?

– Punkt pierwszy przygotowało Krajowe Biuro Wyborcze, a punkt drugi został zgłoszony przez jednego z profesorów.

Gratuluję! Tam są dwa punkty – drugi zaprzecza pierwszemu.

– Punkt drugi dodano do uchwały później.

I tak to sklejono. Prof. Ewa Łętowska o uchwale z 30 grudnia mówiła, że to Pytia delficka.

– Otóż to.

A o co chodzi prof. Balickiemu, który najpierw, wstrzymując się od głosu, daje pieniądze PiS, a potem mówi, że gdyby był ministrem finansów, toby ich nie dał?

– Gdy się zastanawiam nad sposobem rozumowania prof. Balickiego, myślę, że nie jest tak, że on najpierw daje pieniądze, a później nie chce ich dać. W różnego rodzaju tekstach prawnych używa się pojęć typu: „za wyjątkiem”, „nie dotyczy” itd. I tak mamy w oświadczeniu PKW z 30 grudnia punkt pierwszy o wykonaniu, a w punkcie drugim jest stwierdzenie, że nastąpi ono wtedy, kiedy skargę KW PiS rozpatrzy zgodny z konstytucją skład Sądu Najwyższego.

Do czego więc prof. Balicki przyłożył rękę, wstrzymując się od głosowania 30 grudnia? Bo PiS uznało, że do tego, by ich wersja prawa była górą. A teraz okazuje się, że nie.

– Przyłożył rękę do tego, by była uchwała składająca się z dwóch części immanentnie ze sobą powiązanych.

Czyli w uchwale jest napisane, że oczywiście decyzje Sądu Najwyższego powinny być przez PKW wykonywane, ale ta Izba to nie jest Sąd Najwyższy.

– No widzi pan!

Minister Andrzej Domański nie podjął decyzji, lecz poprosił o wyjaśnienie. W świetle pańskich słów jak najbardziej uzasadnione.

– W piśmie skierowanym do wszystkich członków PKW wskazał, że brzmienie uchwały z 30 grudnia 2024 r. wzbudza daleko idące wątpliwości. Poprosił o przesłanie protokołu z tego posiedzenia oraz udzielenie wyjaśnień co do jej treści.

Z PKW szybko wysłano do ministra Domańskiego pouczenie, że ma wypłacić PiS pieniądze. To było pismo PKW czy sędziego Marciniaka?

– Takie pismo wysłał pan przewodniczący. O treści odpowiedzi dowiedziałem się z mediów.

Czy w związku z tym będzie pan nalegał, by ministrowi Domańskiemu odpowiedzi udzieliła PKW, a nie jeden jej członek?

– Jeszcze przed wysłaniem odpowiedzi przez pana sędziego Sylwestra Marciniaka jeden z członków PKW napisał taki wniosek. Bez skutku. Zgadzam się z tym, że pismo ministra finansów powinno być rozpatrzone na posiedzeniu plenarnym Państwowej Komisji Wyborczej,

eprasa.pl 3e4bb4f431

Ryszard Kalisz w drodze na posiedzenie Państwowej Komisji Wyborczej. Warszawa, 16 grudnia 2024 r.

a odpowiedź powinna być udzielona po przegłosowaniu.

Po co tyle zamieszania w tej sprawie?

– Gdyby to tylko ode mnie zależało, tej uchwały w ogóle by nie było. Stoję cały czas na gruncie uchwały o odroczeniu z 16 grudnia. Nie odmawiam natomiast profesorom dobrych chęci.

Tak pan uważa?

– Tak, bo wielokrotnie z nimi rozmawiałem! Występuję w przestrzeni medialnej 35 lat, a oni podeszli do sprawy po profesorsku, jakby to miało być oceniane tylko przez innych naukowców.

To znaczy, że są niewolnikami własnej grupy zawodowej?

– To źle powiedziane. Proszę zwrócić uwagę: w piątce zgłoszonej przez kluby parlamentarne Koalicji 15 Października jest dwóch profesorów i trzech czynnych adwokatów. 30 grudnia profesorowie się wstrzymali, a adwokaci zagłosowali przeciw.

Zawężają interpretację art. 144 Kodeksu wyborczego. Skoro kodeks nic nie mówi o korzyściach niematerialnych, nie powinniście zabierać PiS dotacji.

– Nie wracajmy do tego! Uchwała z sierpnia jest przyjęta, to temat zamknięty. Teraz mamy problem z Sądem Najwyższym. Nie z treścią orzeczenia, ale z tym, czy jest postanowienie, czy go nie ma.

Może w takim razie w sierpniu niesłusznie zabraliście pieniądze PiS?

– Decyzja była całkowicie uzasadniona. Przemyślana, zgodna z prawem i w pełni ze stanem faktycznym. Dostarczono nam do PKW wiele dokumentów dotyczących finansowania kampanii wyborczej przez KKW PiS w wyborach do parlamentu w 2023 r. Nad tym materiałem odbyła się bardzo intensywna dyskusja merytoryczna. Powiem wprost – jeżeli mówimy o piknikach wojskowych, to ostały się dwa. Chociaż, moim zdaniem, powinno być osiem. Itd. Wnioskowałem również, żeby wziąć pod uwagę Fundusz Sprawiedliwości. Koledzy mnie przegłosowali. Czyli widać, że nie było to tak jednoznaczne – to była głęboka decyzja o charakterze merytorycznym. Na tym tle orzeczenie tzw. Izby Nadzwyczajnej podważające decyzję PKW jest miałkie. Ono w ogóle nie odnosi się do istoty problemu. Sprowadza się do tezy, że w przyszłości wybory będą nierówne. Nie odnosi się do tego, do czego powinno się odnieść – że wybory w 2023 r. były nierówne. Powtarzam jednak: gdy Izba przysłała nam to orzeczenie, nie analizowaliśmy go. Zastanawialiśmy się, czy jest ona sądem.

Przecież PKW nie ma kompetencji, by oceniać, czy Izba Nadzwyczajna jest sądem, czy nie. Dlaczego więc wy to oceniacie?

– Nie zgadzam się z tym dlatego, że musi być wykonana dyspozycja konkretnego przepisu ustawowego. W tym przypadku chodzi o art. 145 par. 6. Kodeksu wyborczego. Jest w nim mowa o postanowieniu Sądu Najwyższego. Jeżeli do PKW przychodzi dokument, który jest nazwany jak dokument z Sądu Najwyższego, a wiadomo, że pochodzi od zupełnie innych osób, które, po pierwsze, sędziami nie są, a po drugie, nie są Sądem Najwyższym, to nie możemy go przyjąć. Nie możemy zamknąć oczu i powiedzieć, że jakieś grono niemające uprawnień ma determinować zmianę decyzji PKW.

Tusk powiedział, że mamy czasy trochę prawa i trochę bezprawia.

– Wszystko jest zgodne z prawem. Mówię to jako współtwórca konstytucji. Wszystkie moje poglądy mają oparcie w konstytucji. Ktoś może inaczej je interpretować, ale to, że ta Izba nie jest sądem, a siódemka w niej zasiadająca to nie są sędziowie, jest oparte na konstytucji. Tworzyłem te konkretne przepisy, dyskutowałem nad nimi, wystarczy zajrzeć do sprawozdań Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego z tamtego czasu, by mieć świadomość wykładni autentycznej. Problem leży w tym, że poprzednia władza, chcąc przejąć pełnię rządów, zniszczyła bezpieczniki konstytucyjne: Trybunał Konstytucyjny, Krajową Radę Sądownictwa. A za tym poszedł Sąd Najwyższy.

Jest pan zaskoczony zawziętością PiS w tej sprawie? W tej walce o pieniądze?

– Nie oceniam tego. Jestem człowiekiem doświadczonym. Nie robią na mnie też żadnego wrażenia te wszystkie strachy, kłamstwa na temat mój i mojego dorobku. Hejt przeciwko mnie jest ogromny! Nie przejmuję się tym, chociaż są tam groźby wobec mnie i mojej rodziny, jednoznacznie wskazujące na daleko idące działania. Grożą mi sprawami cywilnymi, pozbawieniem majątku, wnioskami do prokuratury. To tylko świadczy o tych, którzy wygrażają, piszą i publikują te bzdury. Działam na podstawie prawa i w granicach prawa. Już o nic się nie biję. Walczę tylko o demokratyczną Rzeczpospolitą, w której rządy prawa będą stosowane w pełni.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER, FILIP NAUMIENKO/REPORTER

eprasa.pl 3e4bb4f431

Robert Walenciak

Równo 10 lat temu, w styczniu 2015 r., pisaliśmy w „Przeglądzie": „Od 15 lat w najbardziej prestiżowym miejscu Berlina straszy stary budynek polskiej ambasady". Wspomniane miejsce to Unter den Linden 70-72, znajdujące się 300-400 m od Bramy Brandenburskiej. W otoczeniu ambasad Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Francji. Tekst kończyliśmy słowami: „Berlińska kompromitacja trwa". Uznajmy to zresztą za bardzo delikatne określenia – budynek był opuszczoną ruderą, więc Niemcy codziennie mogli kontemplować obraz polskich możliwości.

AMBASADA W BERLINIE – 25 lat wstydu

Historia budowy ambasady w Berlinie to rzecz śmieszna i straszna zarazem

Czas wstydu, trwający, jak łatwo obliczyć, 25 lat, na szczęście się kończy. 17 stycznia ma się odbyć otwarcie nowo zbudowanej ambasady.

Zapowiada się zresztą gorąco, bo minister Radosław Sikorski i prezydent Andrzej Duda już czynią sobie uszczypliwości i przepychają się w przypisywaniu sobie sukcesu.

„Ambasada w Berlinie to przedsięwzięcie wybitnie związane z ministrem Sikorskim, który je zaczął i za chwilę zakończy", mówił niedawno rzecznik Ministerstwa Spraw Zagranicznych Paweł Wroński.

Swoją wersję wydarzeń zaprezentował też Andrzej Duda: „To są decyzje, które zostały podjęte w ciągu ostatnich ośmiu lat i zrealizowane w ciągu ostatnich ośmiu lat". I dodał, że w MSZ „głośno się mówi", że Radosław Sikorski zamierzał sprzedać działkę, na której dzisiaj budynek stoi. „Na szczęście w tym miejscu zbudowano nową polską ambasadę, bo jest to miejsce bardzo godne i ważne w Berlinie", podsumował.

Cóż, w tych deklaracjach nie ma zbyt wiele prawdy. Śledzę sprawę budowy ambasady w Berlinie od lat. Przyglądam się też różnym MSZ-owskim pomysłom Radosława Sikorskiego, również tym dotyczącym sprzedaży budynków ambasad i konsulatów. I nigdy nie słyszałem o zamiarze sprzedaży działki przy Unter den Linden. Takiego pomysłu nawet nie rozważano. Owszem, PiS mówiło, że za Sikorskiego istniały plany zamiany działki z Uniwersytetem Warszawskim, minister Witold Waszczykowski skierował nawet w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury, ale nic z tego się nie urodziło.

Lecz Radosław Sikorski też powinien miarkować się w opowieściach, jakoby rozpoczął budowę ambasady. Bo to nie on. On za to długo zaczynał ją budować. I nie zaczął.

Choć niewątpliwie w opowieści o tym, co się działo przez 25 lat z działką przy Unter den Linden, jak straszyliśmy berlińczyków walącą się ruiną, Sikorski jest ważnym aktorem.

Przejdźmy zatem do tej opowieści.

•

Piękną działkę o powierzchni 4,2 tys. m kw. zawdzięczamy socjalistycznej przyjaźni. Otrzymaliśmy ją w 1964 r. od Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Wcześniej na działce stał gmach pruskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, ale został zniszczony w czasie wojny. Na działce Polska wybudowała biurowiec klasy Lipsk – na owe czasy był to standard – i to z podwyższoną jakością. Zielonkawe szyby kojarzyły się z nowoczesnością. Do czasu.

W połowie lat 90. wszystko było już jasne. Że stolica Niemiec to

eprasa.pl 3e4bb4f431

Budynek klasy Lipsk zestarzał się w błyskawicznym tempie, teraz wreszcie zastąpi go nowoczesna siedziba ambasady RP.

Berlin, że Unter den Linden jest najbardziej reprezentacyjną aleją i że biurowiec Lipsk, który zestarzał się w błyskawicznym tempie, do tego miejsca nie pasuje.

Zaczęto więc się zastanawiać, czy go remontować, czy też zburzyć i w to miejsce postawić coś nowego.

Po miesiącach wahań wybrano wariant drugi. Decyzję oparto na dwóch przesłankach. Po pierwsze, Lipsk zbudowano w starej technologii, z użyciem m.in. azbestu. Po drugie, wiadomo było, że nawet odnowiony budynek nie będzie reprezentacyjny, a Unter den Linden za chwilę zajaśnieje najpiękniejszymi rezydencjami.

W 1997 r., w czasach koalicji AWS-UW, rozpisano więc konkurs na projekt ambasady. Ze strony MSZ sprawę nadzorował dyrektor generalny Michał Radlicki. W warunkach konkursu zapisano, że nowa ambasada powinna mieć 800 m kw. powierzchni biurowej. Ministerstwo na jej budowę przeznaczyło 40 mln zł.

Konkurs wygrał projekt przygotowany przez pracownię architektów Zbigniewa Badowskiego, Marka Budzyńskiego i Adama Kowalewskiego (BBK). Co prawda, budynek miał być większy, niż zakładano, liczył ok. 900 m kw., ale wstępny projekt spodobał się w ministerstwie.

Kłopoty pojawiły się później. W MSZ postanowiono bowiem, że w gmachu nowej ambasady powinno znaleźć się również miejsce na siedzibę Instytutu Kultury. Parter zaś powinien być przeznaczony na wystawy, wernisaże itp. MSZ zażyczyło więc sobie dokonania przeróbek i w ten sposób powierzchnia ambasady rozrosła się do 1,4 tys. m kw.

Te zmiany akceptował dyrektor generalny i to on w roku 2000 zdecydował o wyburzeniu biurowca przy Unter den Linden (choć jeszcze nie zaczęto go wyburzać) i o budowie nowej siedziby. Siedziba ambasady została przeniesiona do dawnej misji wojskowej w willi w zachodnioberlińskiej dzielnicy Grunewald.

Jednocześnie zmienił się koszt budowy nowej ambasady, który miał wynieść już nie 40 mln zł, lecz 42 mln dol., czyli ponad 168 mln zł.

MSZ takimi pieniędzmi nie dysponowało, ale nikt się tym nie przejmował. Za to do umowy z pracownią BBK podpisywano kolejne aneksy, m.in. podwyższający ogólną kwotę należności o prawie 8 mln zł. Ostatecznie architektom zapłacono 16,6 mln zł. Jak tłumaczył inspektorom Najwyższej Izby Kontroli urzędnik ministerstwa, suma ta wzięła się stąd, że aneksy uwzględniały przeróbki zgłaszane przez inwestora, ponadto był to procent od wartości całego obiektu. Co zachęcało do umieszczania w nim drogich materiałów, bo przecież budynek w centrum Berlina musi wyglądać reprezentacyjnie. Dodatkowo 2 mln zł ministerstwo musiało zapłacić niemieckiej firmie architektonicznej. Wydano więc 18,6 mln zł. Niemal połowę tego, co MSZ przeznaczyło początkowo na budowę nowej siedziby!

•

Rychło okazało się, że pieniądze wyrzucono w błoto. Otóż po zamachu 11 września 2001 r. na World Trade Center zmieniły się normy bezpieczeństwa zagranicznych przedstawicielstw państw NATO. A projekt, którym dysponowało nasze MSZ, tych norm nie spełniał. I nie dało się go przerobić tak, by je spełnił.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych zostało więc z projektami, które do niczego się nie nadawały, i bez pieniędzy.

W 2001 r. nowy szef MSZ Włodzimierz Cimoszewicz mógł tylko załamywać ręce. Z kolei NIK po kontroli, skierowała wnioski do prokuratury, zarzucając ministerialnym urzędnikom niegospodarność.

FOT. BLUSHCZ/REPORTER, BEATA ZAWRZEL/REPORTER

eprasa.pl 3e4bb4f431

Ekipa Cimoszewicza musiała zatem jakoś się zderzyć z tematem. Najpierw przymierzano się do budowy ambasady według pierwszego projektu, tego na 800 m kw. Ale okazało się to niemożliwe. Powrócono więc do idei przebudowy starego budynku. Wynajęto niemiecką firmę, by orzekła, czy nadaje się on do remontu i modernizacji. Odpowiedź była pozytywna. Zaczęto więc szykować się do relizacji tego planu. Pierwszy przetarg, w roku 2003, odwołano. Podobnie jak drugi, dwa lata później. Okazało się bowiem, że modernizacja będzie niewiele tańsza niż budowa nowej siedziby.

MSZ znów zostało z pustymi rękami. I pustostanem przy Unter den Linden.

•

W 2005 r. Anna Fotyga, nowa minister spraw zagranicznych, powołała specjalny zespół, który miał jeszcze raz sprawdzić, czy projekt pracowni BBK nie spełnia nowych norm bezpieczeństwa. Po kilkunastu miesiącach urzędnicy uznali, że nie spełnia.

Całe 25 lat można uznać za popis niekompetencji urzędników i polityków. Nie potrafiono ustalić, jakie funkcje ma pełnić gmach ambasady ani przeprowadzić przetargów.

A potem MSZ objął Radosław Sikorski. Do sprawy ambasady wziął się z przytupem. Już w 2008 r. ogłosił, że Polska wzniesie nowy budynek, i to z pieniędzy budżetowych. 7 maja 2008 r. Sikorski mówił w Sejmie: „Jestem przekonany, że w odróżnieniu od poprzedników nie będę też potrzebował kolejnych 10 lat na zbudowanie ambasady w Berlinie".

W tym tonie wypowiadał się też szef jego gabinetu politycznego Piotr Paszkowski. Gdy dziennikarze zwracali uwagę, że pustostan w centrum Berlina kompromituje Polskę, potwierdzał: „To wyjątkowo bulwersujący widok, który niszczy wizerunek Polski. Dlatego naszym priorytetem jest rozwiązanie tego problemu". Zapewniał przy tym, że do końca 2009 r. powstanie projekt nowej ambasady, a placówka zostanie otwarta w roku 2012.

Kolejne działania MSZ w sprawie ambasady możemy liczyć tempem przemówień ministra Sikorskiego w Sejmie:

13 lutego 2009 r.: „W tym roku realizować będziemy kilka kluczowych inwestycji, m.in. budowę ambasady naszego kraju w Berlinie".

8 kwietnia 2010 r.: „W najbliższych tygodniach przedstawimy wieloletni plan finansowania budowy naszej ambasady w Berlinie".

16 marca 2011 r.: „Po rozstrzygnięciu konkursu architektonicznego wreszcie rozpoczniemy budowę nowej ambasady w Berlinie".

29 marca 2012 r.: „Tydzień temu ruszył, oby ostateczny, konkurs architektoniczny na budowę ambasady w Berlinie".

20 marca 2013 r.: „Rozstrzygnęliśmy międzynarodowy konkurs na nową ambasadę w Berlinie".

Oszałamiające tempo…

Ale bądźmy wobec Sikorskiego sprawiedliwi. Co prawda, jesienią 2012 r. nie oddał nowej ambasady do użytku, jak obiecywał, ale za to zaprezentował jej makietę. A to przy okazji ogłoszenia wyniku konkursu na koncepcję architektoniczną placówki. Wygrała go pracownia JEMS Architekci. Ogłoszenie nastąpiło z wielką pompą, tak jakby obwieszczano wybudowanie ambasady. Choć to była tylko makieta.

Następnie, po wielu miesiącach, powołano pełnomocnika ds. budowy. Do jego zadań należało rozpisanie i przeprowadzenie przetargów: na zburzenie starego biurowca (on wciąż stał!) i na wykonanie nowego gmachu. Wszystko we współpracy z Senatem Berlina.

Ale potem przyszedł Grzegorz Schetyna i pełnomocnika odwołał. Sprawa stanęła w miejscu, bo się okazało, że koszt budowy zamiast 160 mln zł ma wynosić 247 mln zł. Piękne przestrzelenie.

•

To i tak nic w porównaniu z tym, co się działo, gdy przyszło Prawo i Sprawiedliwość oraz minister Witold Waszczykowski.

Nowy szef MSZ wyrzucił projekt Sikorskiego do kosza, twardo argumentując, że jest przeskalowany, zbyt wielki, że hulać będzie wiatr. A 70 urzędników będzie pracować w gmachu o powierzchni prawie 14 tys. m kw. – przypadać więc będzie 200 m kw. na jednego. Czy to ma sens? Trzeba nam zatem mniejszego budynku. Jednocześnie Waszczykowski złożył do prokuratury zawiadomienie o niegospodarności urzędników MSZ w związku z działaniami dotyczącymi projektowanej ambasady w latach 2012-2015. Zawiadomienie dotyczyło 10 osób, z byłym szefem placówki na czele.

Wszystko zaczęło się więc od nowa. Zwłaszcza że Waszczykowski preferował model publicznoprawny. Szukano w związku z tym partnera, który mógłby sfinansować budowę. Nic się nie udało, stracono kolejne dwa lata. 20 września 2017 r. premier Mateusz Morawiecki zadecydował, że ambasadę postawimy sami. I po tej decyzji budowa ruszyła.

To znaczy, jeszcze nie ruszyła. Trzeba było parę lat poczekać. Najpierw wyciągnięto z kosza projekt Radosława Sikorskiego. Potem znów ogłoszono przetarg itd.

Działania te trwały do listopada 2020 r. „Zgodnie z ustalonym harmonogramem generalny wykonawca przejął teren budowy 4 listopada 2020 r. i rozpoczął już prace porządkowe", ogłosił dumnie Dariusz Pawłoś, attaché prasowy ambasady RP w Niemczech. I poinformował, że zakończenie budowy nastąpi w 2023 r. A koszt przedsięwzięcia wyniesie 60 307 820 euro brutto. Czyli – o czym nie wspomniał – ok. 20 mln zł więcej, niż zakładano w roku 2016.

W 2025 r. horror związany z budową zostanie więc zakończony.

•

Spodziewajmy się kłótni o to, kto do budowy się przyczynił i kto jest ojcem sukcesu. To będzie fałszywa

eprasa.pl 3e4bb4f431

NOWY ROK Z PRZEGLĄDEM

- INNY PUNKT WIDZENIA
- WYJĄTKOWY
- NIEZALEŻNY
- NAJLEPSI AUTORZY

Kup roczną e-prenumeratę PRZEGLĄDU na sklep.tygodnikprzeglad.pl

- Nowy numer już w każdą sobotę
- E-book „Cierń szansy. Nie przepraszamy za PRL" **GRATIS**
- Dostęp do wykupionych numerów nawet po wygaśnięciu prenumeraty
- Możliwość opcji **KUP NA PREZENT**

Zakup dostęp do naszego ARCHIWUM

Znajdziesz w nim wszystko od początku istnienia **PRZEGLĄDU**

Pełna oferta na tygodnikprzeglad.pl zakładka **ARCHIWUM**

Otrzymasz dostęp do bieżącego i archiwalnych numerów

awantura, bo wszystkie ekipy MSZ działały fatalnie. Nad budową ambasady nie wisiało żadne fatum, to nie był pech, tylko zwykła nieudolność. Te 25 lat można uznać za popis niekompetencji urzędników i polityków.

Po pierwsze, nie potrafiono ustalić, jakie funkcje ma pełnić gmach ambasady. A koncepcja się zmieniała: czy to ma być sama ambasada, czy z konsulatem, czy z Instytutem Polskim, czy z powierzchnią wystawową itd. Po drugie, nie potrafiono przeprowadzić przetargów i współpracować z Senatem Berlina. Pisali o tym inspektorzy NIK: „Brak było podstawowych dokumentów, które są niezbędne, jeżeli inwestycje chce się umieścić w planie". Po trzecie, wszyscy solidarnie podstawiali sobie nogi. Po czwarte, pieniądze… Koszt budowy rósł z roku na rok, nikomu to nie przeszkadzało. Waszczykowski i PiS krzyczeli, że Sikorski chciał wydać miliony na budowę, po czym sami wydali na tę samą budowę kilkadziesiąt milionów więcej.

Nie pchajcie się więc, panowie, przed kamery, to nie wypada.

•

I tylko z kronikarskiego obowiązku warto przypomnieć, że pierwsze przymiarki do budowy nowej ambasady miały miejsce w roku 1997, za czasów koalicji SLD-PSL, gdy ministrem był Dariusz Rosati. Planowano współpracę z Deutsche Bankiem, z jego odnogą zajmującą się nieruchomościami. Podpisano nawet w tej sprawie list intencyjny. Na polskiej działce miały stanąć, za niemieckie pieniądze, dwa budynki. Jeden planowano przekazać Polakom na ambasadę, a drugi oddać w użytkowanie na 30 lat Niemcom, którzy wynajmą powierzchnię biurową i na tym zarobią. Zresztą mieli już najemcę – Komisję Europejską, która szukała miejsca na swoje przedstawicielstwo w Berlinie.

Plan upadł. Został zablokowany w wyniku kampanii jednego tygodnika, kilku posłów i kilku oficerów służb specjalnych. Co chcieli przez to osiągnąć, to ich tajemnica.

Sytuację wykorzystali Węgrzy. Na ich działce za pieniądze Deutsche Banku zostały wzniesione dwa budynki. W jednym znalazła się ambasada Węgier, w drugim… siedziba przedstawicielstwa Komisji Europejskiej. Za trzy lata ten budynek do nich wróci. I pewnie nadal będą go wynajmować.

Cóż, Polska to bogaty kraj.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygdnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3e4bb4f431

Odlot prezesa Kaczyńskiego

PiS za 800 mln zł wybudowało w Radomiu lotnisko, z którego nikt nie chce latać

Andrzej Sikorski

To miała być jedna ze sztandarowych inwestycji PiS, świadcząca o potędze Polski i zerwaniu z imposybilizmem trawiącym struktury państwowe. W mieście powiatowym pomiędzy Warszawą a Kielcami rząd postanowił wybudować międzynarodowy port lotniczy, obsługujący każdego roku nawet 3 mln osób (z możliwością rozbudowy do potrzeb 10 mln). To bardzo śmiałe posunięcie, na które nie zdecydowałby się żaden inny kraj na świecie. W Radomiu nie ma bowiem niczego, co przemawiałoby za budową lotniska o takich gabarytach. Tym bardziej że poprzednie lotnisko (w które wpompowano 160 mln zł) zbankrutowało po zaledwie czterech latach działalności, pozostawiając po sobie kilkadziesiąt milionów złotych długów i niespłaconych wierzycieli. Z Radomia można było polecieć do Berlina, Wrocławia, Gdańska, Lwowa i Pragi, ale przewoźnicy zrezygnowali, tłumacząc, że rejsy są dla nich nieopłacalne z powodu braku podróżnych – ostatni lot odbył się jesienią 2017 r. Spektakularny upadek lotniska sprawił, że Radom stał się obiektem kpin i niewybrednych żartów.

W mieście powiatowym pomiędzy Warszawą a Kielcami rząd postanowił wybudować międzynarodowy port lotniczy, obsługujący każdego roku nawet 3 mln osób.

Lotnisko w podzięce

O budowie nowego portu lotniczego nie zdecydowały ani fachowe analizy, ani raporty pokazujące rachunek ekonomiczny czy potrzeby transportowe kraju – decyzję taką podjął prezes PiS i nieformalny władca Polski Jarosław Kaczyński. „Pamiętam, kiedy razem z posłem Adamem Bielanem poszliśmy do prezesa Kaczyńskiego, by przekonać go do pomysłu budowy nowego lotniska w Radomiu. Powiedział wtedy: tak, Radom to miasto, które poniosło ogromne straty w okresie PRL, były wydarzenia czerwcowe, ścieżki zdrowia, potem zabrano Radomiowi status miasta wojewódzkiego (…). Zrobimy wszystko, by pokazać mieszkańcom Radomia, że nowe władze dbają o to miasto (…). Budowa tego lotniska to jest nowy dowód na to, że chcemy się odwdzięczyć bohaterom radomskiego czerwca za tę piękną kartę w historii Polski", mówił poseł Marek Suski, który był też ministrem w KPRM i szefem gabinetu politycznego premiera.

Dla prezesa PiS lotnisko w Radomiu miało być zadośćuczynieniem za krzywdy doznane w PRL i III RP, dla Suskiego najważniejszym argumentem było to, że miasto położone jest ponad 100 km na południe od Warszawy, leży więc blisko południa Europy i krajów afrykańskich, do których Polacy najczęściej latają. Ta właśnie bliskość miała wpływać na decyzje o tym, że linie lotnicze i pasażerowie wybiorą nie warszawskie Okęcie, a lotnisko w Radomiu (sic!).

Przed absurdalną inwestycją w szczerym polu ostrzegali eksperci. Wskazywali, że rząd powinien raczej inwestować w rozwój lotniska w Modlinie, położnego ok. 30 km od Warszawy. Jednak z przyczyn politycznych (udziałowcem lotniska jest samorząd województwa mazowieckiego, obsadzony wówczas przez koalicję PO-PSL), PiS nie chciało się na to zgodzić i torpedowało plany rozbudowy Modlina.

„Nigdy nie będziemy latać z Radomia. Budowa lotniska pośrodku niczego to jeden z najgłupszych pomysłów w historii Polski, który przypomina działania komunistów w latach 50. XX w. Zamiast inwestować w Modlin, polski rząd marnuje miliardy wyjęte z kieszeni podatników na budowę pałacu, z którego nikt nie będzie latał. Czy LOT przeniesie się do Radomia? Nie. I Ryanair też nie ma takiego zamiaru" – mówił Michael O'Leary, dyrektor generalny linii lotniczych Ryanair w rozmowie z Fly4free.pl.

Tu na razie jest ściernisko

Jednak politycy PiS nie przejmowali się ostrzeżeniami. Zburzono „stary" terminal (oddany do użytku w 2014 r.), a na jego gruzach zaczęto wznosić nowy obiekt. Oczywiście wszystko przy odpowiedniej oprawie propagandowej. Pierwszą łopatę (w maju 2019 r.) na placu budowy wbił premier Mateusz Morawiecki w towarzystwie m.in. wicemarszałka Senatu Adama Bielana i posła Marka Suskiego.

„Dla Radomia to dzień historyczny. Przełamujemy pewną klątwę, która została w 1976 r. rzucona przez komunistów na Radom. Po protestach robotniczych komuniści wydali niepisany wyrok na Radom, wtedy zablokowane zostały tutaj inwestycje. Zostało zablokowane wszystko, co mogło przyczynić się do rozwoju tego miasta. Dzisiaj tę historię przełamujemy. Radom jako miasto niezłomne tamtego czasu

eprasa.pl 3e4bb4f431

24 kwietnia 2023 r. – uroczyste otwarcie przez PiS Portu Lotniczego Warszawa-Radom im. Bohaterów Radomskiego Czerwca 1976 roku.

odzyskuje zabraną przez komunistów godność i szansę rozwojową", mówił Morawiecki. „Tu na razie jest ściernisko, ale będzie międzynarodowe lotnisko", wtórował premierowi Adam Bielan.

Dygnitarze kreślili świetlaną przyszłość regionu. Dzięki lotnisku do Radomia mieli ściągnąć inwestorzy z całego świata, tworząc tysiące nowych, dobrze płatnych miejsc pracy. Powiatowe miasto miało zaś przekształcić się w europejską stolicę biznesu.

Wiosną 2023 r. port lotniczy był gotowy. Oprócz nowoczesnego terminalu wybudowano drogę startową, drogi kołowania, płyty postojowe i wieżę kontroli lotów. Koszt wyniósł ok. 800 mln zł, choć – jak pierwotnie planowano – inwestycja powinna zamknąć się w kwocie 430 mln zł.

Zorganizowano huczną imprezę otwarcia, która przekształciła się w partyjny wiec wyborczy. Przybyli najważniejsi politycy PiS, na czele z prezesem Jarosławem Kaczyńskim, premierem Matuszem Morawieckim i marszałkinią Sejmu Elżbietą Witek.

„Rząd PiS potrafi realizować wielkie projekty. O czasie, w budżecie zakładanym przez fachowców. To nie pierwsza taka inwestycja i nie ostatnia. Otwieramy Polskę na świat. Tu za kilka godzin wyląduje pierwszy samolot. To lotnisko będzie żyło, tworzyło nowe szanse rozwojowe. Za przełamanie tej klątwy, za doprowadzenie tego projektu do końca, za wiarę i wolę raz jeszcze dziękuję parlamentarzystom tej ziemi, przede wszystkim parlamentarzystom PiS, bo wierzyli w to, że jest to możliwe", prawił Morawiecki. Premier wspomniał też o złych politykach Platformy Obywatelskiej, krytykujących i wyśmiewających budowę.

W imieniu Andrzeja Dudy głos zabrała szefowa jego kancelarii Grażyna Ignaczak-Bandych, odczytując list prezydenta. „Za sprawą tego lotniska, jednego z najnowocześniejszych i najbardziej komfortowych w Polsce, Radom i sąsiednie ośrodki zyskują połączenie z miastami w Europie, Azji i Afryce. Mieszkańcy odległych metropolii dostają nowy, dogodny sposób na dotarcie do naszego kraju oraz jego stolicy", napisała głowa państwa.

Wielka ściema

Problem w tym, że mieszkańcy odległych metropolii prawdopodobnie nie mają pojęcia, że takie miasto jak Radom istnieje. Dopuszczono się więc oszustwa. Lotnisko otrzymało oficjalną nazwę Port Lotniczy Warszawa-Radom im. Bohaterów Radomskiego Czerwca 1976 roku. Nieobytych z polską geografią obcokrajowców może to wprowadzać w błąd, sugerować że Radom jest częścią Warszawy. PLL LOT sprzedawały podróżnym z zagranicy bilety do Warszawy-Radomia.

Pierwszą łopatę (w maju 2019 r.) na placu budowy wbił premier Mateusz Morawiecki.

eprasa.pl 3e4bb4f431

Port Lotniczy Warszawa-Radom tylko trzykrotnie był pełen ludzi. Zazwyczaj świeci pustkami.

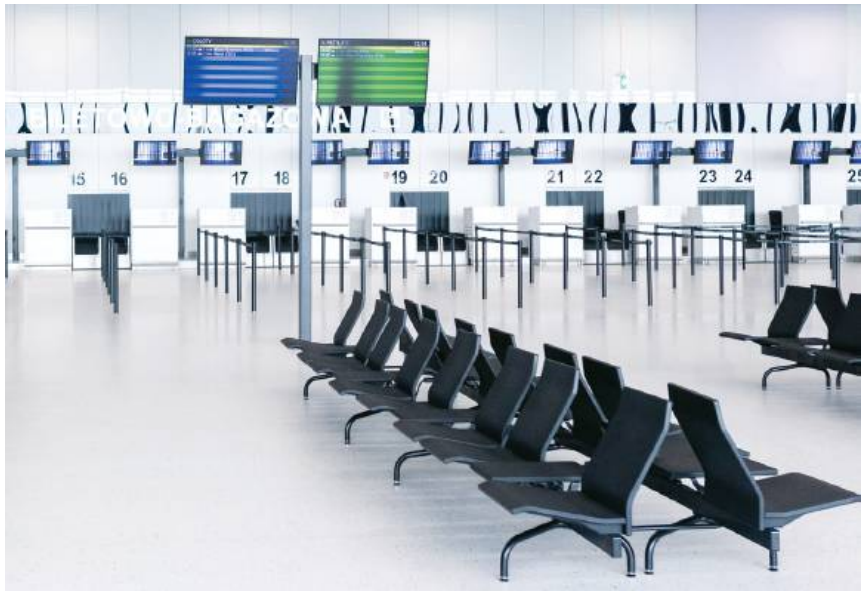

Ludzi naciągano kłamliwą reklamą w języku angielskim i polskim: „Najnowszy port lotniczy w Polsce i jednocześnie znajdujący się najbliżej Warszawy". A przecież Okęcie oddalone jest ledwie o ok. 7 km od ścisłego centrum stolicy, natomiast Modlin o ok. 30 km.

Jeszcze lotnisko nie ruszyło pełną parą, a już zaczęto zmieniać i likwidować ubogą siatkę połączeń. Obecnie regularnym połączeniem można polecieć tylko do Rzymu i Larnaki. Piękne hale świecą pustkami. Przez kilka dni w tygodniu w Radomiu nie startuje ani nie ląduje choćby jeden samolot. Także biura podróży nie są chętne do korzystania z lotniska, z którego od kwietnia 2023 r. do końca listopada 2024 r. odprawiono niewiele ponad 213 tys. pasażerów. Dla porównania – na Lotnisku Chopina odprawia się nawet 78 tys. pasażerów dziennie. Radomskie lotnisko, zamiast przynosić zysk, generuje ogromne straty. To już ponad 60 mln zł.

Specjaliści twierdzą, że inwestycja w Radomiu nigdy nie będzie rentowna. Władze Polskich Portów Lotniczych S.A. (spółka jest jego właścicielem i to ona była formalnym inwestorem) nie mają co do tego już żadnych złudzeń, a prezes Andrzej Ilków dzieło swoich poprzedników nazwał „decyzją polityczną na poziomie szaleństwa". Obecnie ambitne plany są takie, aby chociaż zminimalizować straty i w ciągu pięciu lat dojść do wyniku 400-500 tys. pasażerów obsługiwanych rocznie – co wydaje się mało realne. Jak bowiem zmusić ludzi i linie lotnicze do korzystania z położonego daleko od wiekich miast portu lotniczego?

Specjaliści twierdzą, że lotnisko w Radomiu nigdy nie będzie rentowne.

Minister infrastruktury Dariusz Klimczak w wywiadzie dla radia RMF mówił tajemniczo, że nie chce zdradzać szczegółów, ale pracuje nad planem ratunkowym dla Radomia i nie pozwoli, aby 800 mln zł na budowę lotniska zostało wyrzucone w błoto. Ale to nie są jedyne wydatki. W mieście trwa budowa węzła kolejowo-drogowego, który ma ułatwić dotarcie do portu lotniczego. Koszt to 180 mln zł. Drogowcy będą musieli też zaprojektować i wybudować odcinek drogi ekspresowej S12 (biegnącej od granicy z Niemcami do granicy z Ukrainą) tak, by płynnie połączyć ją nie tylko z Radomiem, ale i lotniskiem, co będzie kosztować dodatkowo kilka miliardów złotych. Jak na razie Port Lotniczy Warszawa-Radom im. Bohaterów Radomskiego Czerwca 1976 roku był tylko trzykrotnie pełen ludzi. Pierwszy raz, gdy udostępniono go zwiedzającym, jeszcze przed oficjalnym oddaniem do użytku, potem podczas hucznego otwarcia i trzeci raz, gdy obiekt odwiedziła ekipa filmowa amerykańskiego reżysera Jesse'go Eisenberga, który kręcił sceny do filmu „Prawdziwy ból". Scenariusz napisany przez Jarosława Kaczyńskiego godny jest mistrza Stanisława Barei.

Andrzej Sikorski

FOT. WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS,TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER (2)

eprasa.pl 3e4bb4f431

Z Galicji

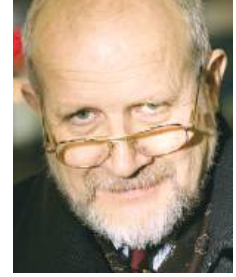

Jan Widacki

Nie tylko „wyższe szkoły zarabiania pieniędzy”

W felietonie „Wyższe szkoły zarabiania pieniędzy” („Przegląd” nr 2) prof. Andrzej Szahaj zwrócił uwagę na zjawiska patologiczne towarzyszące funkcjonowaniu niepublicznych (czytaj: prywatnych) wyższych uczelni. Absolutnie ze wszystkim, co napisał profesor, się zgadzam. Co więcej, uważam, że zjawisk patologicznych w tej sferze jest znacznie więcej, niż przedstawionych we wspomnianym tekście. Mało tego, obawiam się, że zjawiska patologiczne w tej dziedzinie będą z czasem narastać. Trzeba jednak pamiętać, że prywatne (skończmy z eufemizmem: niepubliczne) uczelnie są jedynie elementem systemu nauki i szkolnictwa wyższego. Patologie występujące w tym segmencie są z zasady pochodną patologii systemu jako całości.

Patologie występujące na uczelniach prywatnych są z zasady pochodną patologii systemu jako całości.

Należy zacząć od ustawy, wszak to ona wyznacza ramy wspomnianego systemu i tworzy jego wewnętrzne mechanizmy. Fatalna ustawa, nazwana megalomańsko i przewrotnie Konstytucją dla nauki, zrywa z akceptowaną w całym cywilizowanym świecie i w całej polskiej tradycji zasadą, że istotą nauczania akademickiego jest to, że nauczający sam czynnie uprawia dyscyplinę, której naucza. Dziś można być profesorem na etacie dydaktycznym, nie prowadzić badań, nie publikować prac naukowych i nie tylko wykładać studentom. Można być jeszcze promotorem lub recenzentem prac magisterskich i doktorskich, recenzentem w habilitacjach i w przewodach profesorskich.

Uczelnia, która uzyskała uprawnienia do doktoryzowania i habilitowania w co najmniej sześciu dyscyplinach naukowych, ma prawo do nazwy uniwersytet. Nazwy tej nie straci, nawet gdy utraci prawo habilitowania i doktoryzowania. Ale prawo do bycia uniwersytetem można zdobyć w prostszy sposób. Zamiast mozolnie w procesach parametryzacji (do których też można zgłosić wiele zastrzeżeń) zdobywać w kolejnych dyscyplinach kategorie uprawniające do doktoryzowania i habilitowania, każda szkoła wyższa, o ile tylko ma odpowiednio dużo pieniędzy, może sobie kupić istniejący już uniwersytet i stworzyć z nim federację, stając się automatycznie uniwersytetem.

Niektóre małe uczelnie prywatne, niemające nawet własnej kadry, otwierają za zgodą władz, formalnie zgodnie z prawem, rozsiane po kraju filie, w których nauczają zatrudnieni na podstawie umowy o dzieło ludzie o nieznanym dorobku naukowym. Albo nawet z jakimś dorobkiem, ale z dziedzin zgoła innych niż otwierany kierunek studiów. W dodatku z reguły co najmniej połowa zajęć odbywa się online. Poziom tych studiów jest więcej niż marny, a uczelnie te razem ze swoimi filiami bywają faktycznie fabrykami dyplomów licencjackich lub magisterskich. Teoretycznie to wszystko jest pod kontrolą Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego oraz Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Jak więc widać, kontrola ta jest zupełnie nieskuteczna i nieefektywna, w niektórych co najmniej przypadkach w dodatku nieuczciwa, o czym świadczą toczące się śledztwa.

Nie jestem przeciwnikiem prywatnych uczelni. Sam w takiej pracuję od wielu lat. Działa wiele prywatnych uczelni, które poziomem naukowym i dydaktycznym nie odbiegają od tego, co prezentują uczelnie państwowe. Im nie tylko trzeba pozwolić istnieć, powinny także dostawać wsparcie od państwa. Muszą jednak równocześnie podlegać rzetelnej, kompetentnej kontroli i ocenie dokonywanej przez organy państwowe. Aby taka kontrola i ocena były realne, trzeba najpierw uzdrowić cały chory od dawna system polskiej nauki i szkolnictwa wyższego. Może nowy minister/nowa ministra nauki i szkolnictwa wyższego zechce wysłuchać, co środowisko naukowe ma do powiedzenia w tej kwestii, i zwoła jakąś choćby namiastkę kongresu nauki? A może zwróci się o opinię do Polskiej Akademii Nauk lub Polskiej Akademii Umiejętności? Może przeprowadzi chociaż jakąś ankietę wśród pracowników nauki? Obawiam się, że skończy się na dyskusji między dwoma felietonistami lewicowego tygodnika „Przegląd”, do którego nie zagląda lewicowy minister nauki.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3e4bb4f431

W POLITYCE ZDROWY ROZSĄDEK NIE OBOWIĄZUJE

Politycy przebijają satyryków pod każdym względem

Rozmawia Marek Książek

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ
– poeta, pisarz, satyryk, artysta kabaretowy

Czy z satyrykiem można porozmawiać poważnie?

– Ze mną można, a nawet trzeba, bo jestem bardzo poważnym człowiekiem. Satyrycy z reguły są bardzo poważnymi ludźmi, co widać szczególnie w zderzeniu z politykami, bo jak oglądasz Sejm, to widzisz, że ci posłowie przebijają nas pod każdym względem.

Nie tylko w Sejmie, że wspomnę o galimatiasie związanym z kupowaniem dyplomów MBA w Collegium Humanum. Ty chyba na taką specjalną ofertę się nie załapałeś?

– Nie miałem takiej potrzeby, co więcej, już wiele lat temu przerwałem studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Olsztynie w sposób, powiedziałbym, dosyć zabawny. Mieliśmy takiego profesora od pedagogiki, który nie zaliczał egzaminu nawet za pół pytania, na które student nie odpowiedział. Mnie trafiły się trzy pytania, na dwa typowo pedagogiczne odpowiedziałem bez problemu, ale profesor chciał mnie złapać na pytaniu o system oświatowy w… Bułgarii. A że już wtedy myślałem o uprawianiu profesji, jaką wykonuję dzisiaj, zdobyłem się na odwagę i uczciwie odparłem: „Panie profesorze, jeśli system oświatowy w Bułgarii będzie mi potrzebny w pracy zawodowej, to przysięgam panu, że pojadę do Bułgarii i sprawdzę to na własnej skórze”. Na co on zareagował bardzo życzliwie, bo postawił mi w indeksie tróję, ale zarazem dodał: „Mnie nie będzie przeszkadzało spotykanie pana na korytarzach WSP, ale nie widzę dla pana miejsca na tej uczelni”. W ten sposób delikatnie wybił mi z głowy studiowanie pedagogiki.

Ułatwiając podjęcie decyzji o poświęceniu się karierze satyryczno-kabaretowej?

– Dzięki niemu zaoszczędziłem raczej wiele wysiłku i kłopotów związanych z dalszym studiowaniem, jako że już w tym czasie pomieszkiwałem w Warszawie i musiałbym dojeżdżać na zajęcia do Olsztyna. W rezultacie byłem mu nawet wdzięczny, a gdy spotkałem go później na którymś zjeździe absolwentów pedagogiki, serdecznie się przywitaliśmy, a nawet przeszliśmy na „ty”.

Ale studiowanie w Collegium Humanum dawało więcej możliwości; ludzie z kasą mogli zdobyć dyplom bez pojawiania się na uczelni. A te dyplomy uprawniały do zasiadania w radach nadzorczych spółek, co wiązało się z kolejnymi dochodami. Co ciekawe, z takiej okazji korzystali ludzie różnych zawodów i z różnych opcji politycznych, podobno nawet Szymon Hołownia, choć stanowczo temu zaprzecza.

– Przecież nie ma pieniędzy oznakowanych logo PiS, PO, SLD czy Trzeciej Drogi. Pieniądze to pieniądze, jednakowo śmierdzą. Albo pachną, zgodnie z dewizą pecunia non olet. Zarabiały obie strony: ta sitwa na Collegium Humanum i potencjalni nabywcy dyplomów. Jeśli był to nieczysty interes, na co wskazują dotychczasowe ustalenia, to jednak na krótką metę. Takie sprawki wcześniej czy później wychodzą na światło dzienne i aż mi się nie chce wierzyć, by ktoś liczył, że to się nie wyda. Ale takie irracjonalne zachowania się zdarzają; niektórzy nawet liczą, że Jarosław Kaczyński będzie trwał wiecznie, choć każdy musi zdawać sobie sprawę, że przynajmniej przyroda na to nie pozwoli.

O właśnie, niedawno przewidywałeś publicznie, czyli w wywiadzie prasowym, że jeśli prezes Kaczyński wystawi kandydaturę „człowieka bez imienia” na fotel prezydenta, czyli niejakiego Karola Nawrockiego, to się przeliczy. A on wystawił, więc sądzisz, że się przeliczy?

> Jeśli można czegoś się spodziewać po jakichkolwiek wyborach, to zmiany garniturów władzy.

eprasa.pl 3e4bb4f431

Krzysztof Daukszewicz – (ur. 1947 w Wichrowie na Warmii), współtwórca kabaretu Gwuść w Szczytnie, autor piosenek, ballad i książek satyrycznych, w tym „Przeżyłem Panie Hrabio", serii „Między Worłujem a Przyszłozbożem", „Meneliki", „Jak płynie wódeczka na wsi i w miasteczkach", „Nareszcie w Dudapeszcie", „Ziobranoc Europo" i – napisanej wraz z żoną Violettą Ozminkowski – „Sposób na przetrwanie". Pisał felietony do „Przeglądu". W 1991 r. otrzymał Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki, a w 2021 r. Nagrodę im. Henryka Panasa ufundowaną przez olsztyńskie oddziały Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej i Związku Literatów Polskich.

– Gdybym mógł tak łatwo przewidywać, założyłbym w domu centrum wróżbiarskie i zarabiał grube pieniądze, nawet bez dyplomu MBA. Chociaż zdarzało mi się co nieco przewidzieć, że wspomnę o liście do Hrabiego sprzed ponad 30 lat, gdy pisałem: „A na pytanie Pana Hrabiego: Co w takim razie oznaczają w naszym kraju słowa pluralizm i demokracja, to odpowiadam, że co to jest pluralizm i demokracja, to wie tylko Lech Wałęsa, ale wygląda na to, że prawidłową odpowiedź schowali na później bracia Kaczyńscy".

I te słowa okazały się prorocze? Co prawda Lech Kaczyński od dawna nie żyje, ale Jarosław wie najlepiej, jak w praktyce stosować demokrację i pluralizm, choć to drugie słowo nie jest już tak modne jak wtedy, gdy w charakterystyczny sposób powtarzał je Wałęsa.

– Teraz się śmieję, że z biegiem lat Jarosław Kaczyński coraz bardziej upodabnia się do Lecha Wałęsy. Można to porównać. Znalazłem taki cytat z Wałęsy chyba sprzed trzech dekad, kiedy mówił: „Wiem, że przykładem dykcji i wymowy nie jestem, ale przykładem sensu słów chyba tak". Natomiast Jarosław Kaczyński przed wyborami do europarlamentu powiedział: „Idziemy tam, żeby powiedzieć nie, ale nie mówimy nie, bo jesteśmy na tak". I powiedz, czym to zdanie różni się od poprzedniego?

Można powiedzieć, że obaj są mistrzami słowa, że dorzucę jeszcze frazę Kaczyńskiego: „Nas nie przekonają, że białe jest białe, a czarne – czarne". Tymczasem ze środowiska PiS, jak można się domyślać, wyciekł raport o podejrzanych znajomościach Karola Nawrockiego i teraz prezes Jarosław może mieć problem z określeniem kolorów.

– Nie sądzę, paradoksalnie kandydatowi PiS może to pomóc na zasadzie: „Nieważne, co o mnie mówią, ważne, żeby po nazwisku". Ten mechanizm polega na tym, że wielu ludzi prostych, w sensie umysłowym, nie obchodzą figury słowne, logiczne i obyczajowe, nie przeszkadza im iloraz inteligencji kandydata poniżej 100, to ich nie uwiera. Wychodzi taki Trump i obiecuje cuda-wianki, a wyborcy mu wierzą i Kamala Harris nic nie może na to poradzić, chociaż bez wątpienia jest kobietą mądrą. Taka jest tendencja w świecie, który niestety skręca w stronę nacjonalizmu i może to się skończyć kolejną rozpierduchą, a potem albo wszystko się uspokoi, albo ludzkość wróci do jaskiń.

W Polsce jest podobnie. Znaczny odsetek wyborców, wbrew zdrowemu rozsądkowi, głosuje na nieodpowiedzialnych, a co gorsza – skorumpowanych polityków.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 3e4bb4f431

– Zacznijmy od tego, że w polityce zdrowy rozsądek nie obowiązuje. Kiedyś w liście do Hrabiego napisałem, że skłonny byłbym podzielić opinię jego ojca Konstantego Jaremy, który powiedział, że gdyby wybory mogły naprawdę coś zmienić, toby zostały zlikwidowane. Od wieków wszystko idzie utartym torem i jeśli można czegoś się spodziewać po jakichkolwiek wyborach, to zmiany garniturów władzy. Dlatego taki gość, który z piwem w ręku patrzy w telewizor i słyszy, że Trump lub polski polityk nakradł miliony dolarów, dochodzi do wniosku, że i on może kraść, a ten polityk będzie go chronił. Bezkarny przywódca pozwoli na więcej.

Tak właśnie niektórzy mówili o PiS: „Kradną, ale się dzielą". Jednak tamta ekipa jest powoli rozliczana przez nową koalicję, o czym świadczą liczne komisje śledcze. Sądzisz, że te komisje okażą się skuteczne?

– Uważam, że tymi wszystkimi przekrętami PiS powinni się zająć prokurator i sądy, a nie komisje śledcze, gdzie występujący w roli „oskarżonych" czy świadków panowie mają okazję wybielić siebie, na dodatek promując własne ugrupowanie. Tak przecież wylansowało się kilka osób, poczynając od Zbigniewa Ziobry, który zasiadał w komisji Rywina. Tak się wtedy wyszkolił, że teraz lekceważy komisję do spraw Pegasusa, nie stawiając się na wezwania, bo co mu można zrobić? A jak już ci świadkowie wreszcie zostaną doprowadzeni i przymuszeni do zeznań, kpią w żywe oczy ku uciesze gawiedzi. W rezultacie transmitowane godzinami obrady kilku komisji śledczych praktycznie kończą się niczym, a odczytywanie wniosków końcowych tylko rozmywa cały problem. Takie przynajmniej jest odczucie społeczne.

Te odczucia społeczne rozpoznajesz, jeżdżąc po kraju na występy kabaretowe i spotkania autorskie, bo przecież jesteś autorem wielu książek satyrycznych. Rozmawiasz z gośćmi tych spotkań?

– Raczej to ja do nich mówię, a oni mnie słuchają. Ale na te spotkania przychodzą ludzie, którzy mają poglądy podobne do moich. Śmieję się nawet, że na moje koncerty przychodzi Nasza Klasa, która wykształciła się w swoim czasie, nabrała nawyków obywatelskich, czuje się odpowiedzialna za nasze państwo, za Polskę.

I co, na takim spotkaniu nie pojawi się zwolennik PiS, Solidarnej Polski albo Konfederacji, nie zakłóci atmosfery krytycznym głosem?

– Owszem, są takie przypadki, ale sporadycznie. Takie zaczepki ze strony sympatyków prawicy przytrafiają się jednak poza salą spotkań. Na przykład kiedyś na Powązkach, gdy szedłem z kwiatami na grób mojej żony Małgosi [z domu Kreczmar – przyp. MK], zaczepił mnie taki bysio bez szyi i zapytał z pretensją w głosie: „O, Daukszewicz! Co pan tu robi? To jest cmentarz dla Polaków!". Innym razem grałem jakiś event, a tam goście szybciej pili, niż ja mówiłem, i trudno było nawiązać z nimi kontakt, tyle że na takich występach generalnie unikam tematów politycznych. Raczej opowiadam o menelikach i tego rodzaju przygodach. A tu po koncercie podchodzi do mnie facet, nawalony jak messerschmitt, z pretensjami: „Dlaczego pan cały czas czepia się tych z PiS?". Zdziwiłem się: „Proszę pana, przecież ja dziś w ogóle nie mówiłem o Kaczyńskim ani o jego kolegach". A on bełkotliwie: „Nie mówił pan? A wie pan dlaczego? Dlatego, że pan nimi gardzi!".

Czyli na występy „pana Krzysia" przychodzą raczej wyznawcy jednej opcji, zwanej demokratyczną, co mi przypomina widownię „Szkła kontaktowego", w którym wiele lat byłeś stałym komentatorem. Zdarzało się, że ktoś do was dzwonił, próbując zakłócić błogi spokój rozmówców w studiu?

– Zdarzało, ale rzadko. Miałem kiedyś taki przypadek, tuż przed Świętem Zmarłych, gdy broniłem Tuska, że zadzwonił pan Robert – jak zapamiętałem – i „na żywo" dosłownie zmieszał mnie z błotem. Następnego dnia byłem na Powązkach, gdzie od 1979 r. kwestuję na renowację starych grobów, i tego dnia zebrałem do puszki rekordową kwotę pieniędzy. Każdy wrzucał datek ze słowami: „A to za tego chama!". Prawda jest taka, że jeśli ktoś ma określone poglądy polityczne, np. liberalne, to nie wytrzyma pięciu minut, oglądając w telewizji zaciekłego prawicowca. Można więc przyjąć, że tak się tworzy również widownia „Szkła kontaktowego". I odwrotnie – ten sposób myślenia o Polsce nie odpowiada „konserwie", która przerzuca się na inny kanał, ostatnio na TV Republika.

Jakiś czas temu pożegnałeś się ze „Szkłem kontaktowym", gdy spotkał cię nieuzasadniony atak ze strony jednego z dziennikarzy TVN po tym, jak przytoczyłeś żart Kaczyńskiego na temat płci. Ale to historia i ciekawi mnie, czy już uświadomiłeś sobie, że istnieje życie po „Szkle kontaktowym"?

– Życie istniało i przed „Szkłem kontaktowym", bo nie wziąłem się znikąd. Zarekomendował mnie mój przyjaciel, znany krakowski satyryk Bruno Miecugow, bo wiedział, na co mnie stać. A jego syn Grzegorz uznał, że pasuję do tego formatu i będę w takiej audycji dobrze się czuł. Jako komentator byłem tam zapraszany całe 19 lat. Bywałem w „Szkiełku" raz w tygodniu; wpadało się na godzinkę, czyli było to zajęcie uboczne. Głównie gram w salach koncertowych albo pracuję w domowym zaciszu nad kolejną książką. Na przykład teraz przymierzam się do podręcznika o sposobach opowiadania dowcipów.

O, to ciekawe, przekazujesz czytelnikom wiedzę z autopsji, jak opowiadać dowcipy?

– Z dowcipami jest tak, że mogą być obyczajowe lub polityczne, a chodzi o to, żeby były śmieszne. Mają one przede wszystkim walor medyczny, bo ludzie, którzy się

Największy luz, jeśli chodzi o satyrę polityczną, panował w TVP za pierwszych rządów SLD. Tej formacji nie obchodziło, co mówią o niej artyści kabaretowi.

eprasa.pl 3e4bb4f431

nie śmieją, szybciej umierają, co stwierdzili już mędrcy w czasach starożytnej Grecji.

Ale występy kabaretów, które prezentują nam różne kanały telewizji, wcale nie są śmieszne, przynajmniej dla wyrobionej pod tym względem publiczności. Ona nie przyjmuje serwowanej nam sieczki.

– Dzisiejsze media idą na łatwiznę, na oglądalność, płyną z prądem prostych, nawet prostackich gustów widzów. Zabrzmi to paradoksalnie, ale powiem ci, że największy luz, jeśli chodzi o satyrę i humor polityczny, panował w telewizji za pierwszych rządów SLD, za Leszka Millera. Wtedy tej formacji nie obchodziło, co mówią o niej artyści kabaretowi, ponieważ tamta lewica miała większe problemy na głowie, zwłaszcza po aferze Rywina. Pamiętam, że wówczas w telewizji mówiłem takie rzeczy, z których obecni decydenci telewizyjni nawet grama by nie puścili. Potem przyszło pierwsze PiS i ograniczyło swobodę wypowiedzi satyryków, PO trochę odpuściła, ale nowe rządy PiS przykręciły śrubę i praktycznie pozbawiły kabarety elementów myślenia, co zostało do dzisiaj.

Mamy za to niezły kabaret w życiu politycznym, jak zauważyłeś na wstępie. Niedawno media ujawniły, że co prawda były szef TVP Jacek Kurski otrzymał rozwód kościelny z poprzednią żoną, ale Trybunał Metropolitalny w Gdańsku zakazał mu zawierania nowego małżeństwa w kościele „z przyczyn natury psychicznej". Jednak abp Leszek Głódź ten zakaz uchylił, podobno komentując przy okazji, że „w Kościele da się wszystko załatwić".

– Jacek Kurski nie ma poglądów politycznych! On kocha pieniądze i tylko pieniądze. Przecież był w konflikcie z Kaczyńskim i do niego wrócił. Ale Jarosław Kaczyński kocha tych, którzy kochają pieniądze, bo ci za szmal robią to, co im każe. I tu koło się zamyka. A że Kurski dostał rozwód kościelny i po raz drugi wziął w kościele ślub z drugą kobietą, to wiadomo, że wykorzystał umiłowanie kleru do mamony, bo przecież sam doskonale zna jej siłę. To tak jak w niewybrednym dowcipie o facecie, który przyniósł psa do kościoła, żeby go ochrzcić. Ksiądz mówi: „Ale wiara nie pozwala na taki obrządek!". Na co parafianin: „Rozumiem, proszę księdza, daję 100 tys. zł, żeby ochrzcić to wierne stworzenie". Proboszcz odpowiada: „No dobrze, tylko muszę zapytać biskupa". Zadzwonił do kurii i mówi, jak się rzeczy mają, a na to biskup: „Zgoda, a jak gość da 200 tys., to od razu przygotujemy psa do bierzmowania". W tym żarcie jest pewna przesada, ale wiele przykładów poświadcza, że istotnie „w Kościele da się wszystko załatwić".

Jacek Kurski nie ma poglądów politycznych! On kocha pieniądze. A Jarosław Kaczyński kocha tych, którzy kochają pieniądze, bo za szmal robią, co im każe.

Skoro mówimy o sprawach kościelnych, musimy liczyć się z tym, że zaraz zacznie się ostra walka o fotel prezydenta RP, chociaż jednocześnie Jarosław Kaczyński deklaruje, że czas zakończyć wojnę polsko-polską i jakby on miał to sprawić. Mamy jego słowa przyjąć na wiarę? Możemy spodziewać się wieczystego pokoju?

– Najchętniej oczekiwałbym świętego spokoju! Natomiast nie muszę nikogo przekonywać, że Kaczyński to nie jest typ, który walczy o pokój. To nie jest gołąbek pokoju, bo jego pożywką jest nieustający konflikt. On w ogóle lubi zarządzać konfliktem. Jeśli nie ma konfliktu, to on nie wie, co dalej ma robić. Nie mam pojęcia, jak miałyby wyglądać jego zabiegi o uzyskanie pokoju pomiędzy zwaśnionymi stronami, ale ja już teraz tego się boję.

Ale sam pewnie jesteś w nastroju pokojowym. I twórczym, bo sam niedawno wspólnie z żoną Violą wydaliście książkę „Sposób na przetrwanie"? Może piszecie drugą część?

– Nie, nie, Viola pisze własną książkę. Czytałem fragmenty i mogę powiedzieć, że zapowiada się świetna powieść, ale więcej nie mogę zdradzić. Ja z kolei siedzę nad książką, którą nazwałem „Dojczyzna", traktuje o ostatnich dwóch latach w naszym kraju. Też zapowiada się ciekawie.

Marek Książek

Pierwsza książka w Polsce wydana po wyborach

58 zł

Porozrywane Stany

Błyskotliwa analiza „amerykańskiej duszy" i politycznych wyborów

Eliza Sarnacka-Mahoney, dziennikarka i pisarka związana z Polską i USA

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 3e4bb4f431

Czy prezydent Zełenski uwolnił Europę od rosyjskiego gazu?

Donald Trump poinformował Unię Europejską, że musi kupować amerykańską ropę i gaz

Grzegorz Rudnik

W nocy z 31 grudnia 2024 r. na 1 stycznia 2025 r. Gazprom wstrzymał przesył gazu przez terytorium Ukrainy. Była to konsekwencja odmowy przedłużenia przez Kijów podpisanej w 2019 r. umowy na tranzyt „błękitnego paliwa" z Rosji do Słowacji, Węgier i Austrii.

Decyzja nie była zaskoczeniem, gdyż strona ukraińska od dawna deklarowała rezygnację z tego kontraktu, który, choć przynosił jej dochód od 800 mln do miliarda dolarów rocznie, jeszcze większe profity zapewniał Kremlowi. A działo się to w warunkach okrutnej wojny wywołanej rosyjską agresją.

Tranzyt rosyjskiego gazu do Europy przez terytorium Ukrainy był jedną z osobliwości tej wojny. Żołnierze obu stron zajadle mordowali się w Donbasie. Rosyjskie rakiety i drony niszczyły infrastrukturę energetyczną Kijowa, na co Ukraińcy odpowiadali atakami na rosyjskie rafinerie i magazyny paliw. Przez trzy lata żadna ze stron nie ważyła się jednak tknąć gazociągów i obsługujących ich stacji przesyłowych.

Gdy 6 sierpnia 2024 r. ukraińskie siły zbrojne podczas ofensywy w obwodzie kurskim przejęły kontrolę nad stacją pomiarową gazu w Sudży, w zachodniej prasie pojawiły się alarmistyczne publikacje na temat spodziewanych konsekwencji ekonomicznych. Obiekt ten był kluczowym elementem systemu przesyłającego gaz do Europy Zachodniej. Rzecz jasna, zgodnie z niepisaną umową nic się nie stało. Rosjanie stacji nie wysadzili, a Ukraińcy zadbali, by działała sprawnie. Bratysława, Wiedeń i Budapeszt mogły spać spokojnie.

Czy decyzja Zełenskiego o odmowie przedłużenia kontraktu z Gazpromem cokolwiek zmieniła?

Dla bogatych państw zachodnich niewiele, gdyż już wcześniej przestawiły się na droższy gaz amerykański i arabski. W bardzo trudnej sytuacji znalazły się natomiast Mołdawia i region Naddniestrza, które są w znacznym stopniu uzależnione od dostaw z Rosji. W Tyraspolu i Kiszyniowie zaczęto wyłączać światło, gdyż jedyna w regionie, należąca do rosyjskiego państwowego koncernu Inter RAO elektrownia mołdawska GRES znacząco zredukowała dostawy prądu. Co będzie dalej? Dziś władze w Kiszyniowie szukają gazu i energii elektrycznej u sąsiadów. Na pewno decyzja Kijowa zdenerwowała Słowaków, którzy kupując tani rosyjski gaz i sprzedając jego nadwyżki, zarabiali ok. 500 mln dol. rocznie, choć można trafić na informacje, że było to aż 1,5 mld dol. Co, jak na liczący 5 mln 427 tys. mieszkańców kraj, jest wynikiem przyzwoitym.

Poza tym relacje premiera Ficy z prezydentem Zełenskim oraz innymi ukraińskimi politykami od dawna były złe. W grudniu ubiegłego roku Bratysława zagroziła Kijowowi, że jeśli się nie opamięta, wstrzyma dostawy energii elektrycznej i przemyśli kwestię dostaw uzbrojenia. Zełenski tym się nie przejął.

Najmniej ucierpiały Węgry, które w rosyjski gaz będą się zaopatrywały gazociągiem Turecki Potok. Przyjdzie jednak bratankom zapłacić trochę więcej, gdyż koszty tranzytu przez Turcję są wyższe.

Za to europejscy politycy decyzję Kijowa przyjęli z uznaniem – niech Madziarzy dostaną po kieszeni, tak samo jak Niemcy, Francuzi, Polacy, Holendrzy i inni.

W zachodnich mediach pojawiły się publikacje, że prezydent Zełenski swoją decyzją „uwolnił Europę od rosyjskiego gazu". Przy okazji miliony Europejczyków dowiedziały się, dlaczego w ostatnich latach tak bardzo wzrosły im koszty utrzymania i z jakiego powodu europejski przemysł znalazł się w kryzysie. To wina uzależnienia od taniego „totalitarnego" rosyjskiego gazu, który – ze względu na wprowadzone sankcje przyszło zastąpić droższym, „demokratycznym", amerykańskim surowcem.

W listopadzie 1981 r. kanclerz Niemiec Helmut Schmidt podpisał umowę RFN-ZSRR na dostawy 10 mld m sześc. gazu rocznie, przez kolejne 25 lat, po promocyjnych cenach.

Bo Polska to niepewny partner

Wstrzymanie tranzytu gazu przez Ukrainę nie zamyka prawie 50-letniej historii gazociągów biegnących przez ten kraj. Warto ją przypomnieć. Największe gazociągi – orenburski i jamburski – budowane były na przełomie lat 70. i 80. ubiegłego wieku w ramach „kontraktu stulecia", jaki Związek Radziecki podpisał z grupą najbogatszych państw Zachodu, w tym z Francją i Niemcami.

eprasa.pl 3e4bb4f431

Gdy 6 sierpnia 2024 r. ukraińskie siły zbrojne podczas ofensywy w obwodzie kurskim przejęły kontrolę nad stacją pomiarową gazu w Sudży, w zachodniej prasie pojawiły się publikacje na temat spodziewanych konsekwencji ekonomicznych.

W tamtym czasie paryska prasa zastanawiała się, dlaczego magistrale te nie biegną przez Polskę, co pozwoliłoby znacząco obniżyć koszty i skrócić czas budowy. „Bo Polska to niepewny partner", brzmiała odpowiedź urzędników francuskich. Wolno podziwiać ich przenikliwość. W 1979 r. wojska radzieckie wkroczyły do Afganistanu, rok później powstała Solidarność, a w kolejnym roku nad Wisłą wprowadzono stan wojenny. Wydarzenia te nie opóźniły tempa budowy gazociągu orenburskiego biegnącego przez Uralsk, Iwano-Frankowsk, Użhorod do Słowacji, Czech, Austrii i Niemiec. Budowały go także polskie firmy. Gazociąg jamburski powstał nieco później. Jego budowę próbowała zatrzymać administracja prezydenta Reagana, oferując państwom Europy Zachodniej tani amerykański gaz.

Europejczycy odmówili, gdyż oferta Moskwy była korzystniejsza. W listopadzie 1981 r. kanclerz Niemiec Helmut Schmidt podpisał umowę RFN-ZSRR na dostawy10 mld m sześc. gazu rocznie, przez kolejne 25 lat, po promocyjnych cenach. Podobne kontrakty zawarły spółki francuskie, brytyjskie i holenderskie. Amerykanie nie mieli w Europie czego szukać.

Gdy w 1982 r., w ramach sankcji związanych z wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego, Waszyngton odmówił dostarczenia do ZSRR m.in. sprężarek koncernu General Electric dla stacji kompresorowych, bez których gazociąg orenburski by nie powstał, ówczesna premier Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher osobiście zadzwoniła do prezydenta Reagana, by zmienił decyzję. Stanęło na tym, że amerykańskie sprężarki dostarczy oficjalnie francuski koncern Alstom.

Te dwa gazociągi służyły Gazpromowi i państwom Europy Zachodniej do dziś i w przyszłości też mogą zostać uruchomione. Wstrzymanie przesyłu gazu nie oznacza, że historia się kończy.

Dla jednych wojna, dla drugich krowa dojna

W 2021 r. Rosja dostarczała ok. 45% całkowitego importu gazu do UE. W minionym roku eksport gazu ziemnego przyniósł Kremlowi 61,8 mld dol. Po wybuchu wojny w Ukrainie wolumen ten istotnie się zmniejszył, co nie oznacza, że państwa europejskie całkowicie zrezygnowały z usług Gazpromu i innych rosyjskich spółek gazowych. Na przykład w drugim kwartale 2024 r. Rosja, z dostawami do Europy ok. 12,7 mld m sześc. gazu, wyprzedzała Stany Zjednoczone. I na razie nie ma sposobu, by ten stan się zmienił. Apele, takie jak Norberta Röttgena, polityka CDU, członka komisji spraw zagranicznych Bundestagu, który postulował wprowadzenie całkowitego zakazu importu rosyjskiego gazu do całej Unii Europejskiej, lub polityka FDP Michaela Krusego, proponującego wprowadzenie specjalnej akcyzy, którą płaciłyby państwa importujące rosyjski gaz, na nic się zdały.

Istnieje wiele sposobów, by skutecznie obejść represje zastosowane przez państwa zachodnie.

W 2022 r., gdy wprowadzono sankcje na zakup rosyjskiej ropy naftowej, w obrocie pojawiły się mieszanki ropy: łotewska, estońska, a nawet belgijska, których handel nie podlegał ograniczeniom. Nikt nie zadawał pytania, skąd Łotysze i Belgowie mają ropę naftową.

W przypadku gazu jest podobnie. Nie ma przecież ograniczeń na handel gazem z Azerbejdżanu, Kazachstanu czy z Turcji. Zresztą Ankara, członek NATO, jest jednym z największych graczy na gazowym rynku. Gazociągiem Turecki Potok rosyjskie błękitne paliwo trafia do Grecji, Włoch i do państw bałkańskich.

Okazuje się, że Polska była największym w Unii Europejskiej importerem gazu LPG, powszechnie stosowanego w domach, rolnictwie i przemyśle oraz jako autogaz.

W 2021 r. Rosja dostarczała ok. 45% całkowitego importu gazu do UE. W zeszłym roku eksport gazu ziemnego przyniósł Kremlowi 61,8 mld dol.

FOT. KIRILL CHUBOTINUKRINFORM/DDP IMAGES/FORUM

eprasa.pl 3e4bb4f431

Od stycznia do października 2024 r. polscy odbiorcy zapłacili za rosyjski gaz LPG ok. 2 mld zł. W grudniu zeszłego roku weszło na niego embargo i kierowcy pewnie nie będą zachwyceni, jeśli jego cena wzrośnie o jakieś 20-30%. A takie są prognozy na ten rok.

Czy rosyjski gaz LPG można zastąpić innym? Oczywiście! Na przykład dostawami z Norwegii albo ze Stanów Zjednoczonych. Tylko cena będzie wyższa.

Na swobodny handel rosyjskimi surowcami energetycznymi pozwala Szwajcaria. W sierpniu 2022 r., po agresji Rosji w Ukrainie, PKN Orlen powołał w szwajcarskim raju podatkowym, w kantonie Zug, spółkę córkę – Orlen Trader Switzerland (OTS). Oficjalnie za jej pośrednictwem nasz narodowy koncern paliwowy miał handlować produktami ropopochodnymi. Skończyło się skandalem. Od maja 2023 r. spółka wypłaciła ok. 1,6 mld zł zaliczek pośrednikom handlu ropą naftową za dostawy, których większość miała być zrealizowana do końca 2023 r., a pozostałe do końca stycznia 2024 r. Firmy nie zrealizowały zobowiązań ani nie rozliczyły się z Orlen Trader Switzerland mimo wezwania do zwrotu zaliczek. Od zeszłego roku sprawą zajmuje się prokuratura, a dwaj byli członkowie zarządu spółki, Samer A. i Marcin O., od grudnia są poszukiwani listami gończymi. Szanse na ich ujęcie należy ocenić jako małe.

Nie jest tajemnicą, że w kantonie Zug aż roi się od spółek, których właścicielami są rosyjskie koncerny paliwowe i energetyczne. Transakcje z nimi zawierane są jak najbardziej legalne.

A wojna i sankcje sprawiają, że handel rosyjskimi surowcami energetycznymi jest bardziej opłacalny niż w czasach pokoju. Stąd przysłowie „Dla jednych wojna, a dla drugich krowa dojna". Obecnie mamy dwa problemy, które musi rozwiązać Gazprom. Pierwszy, to znalezienie sposobów na dostarczenie błękitnego paliwa odbiorcom. Drugi, to poszukiwanie rozwiązań na bezpieczne rozliczenia. I to chyba się udaje. Na 2025 r. rosyjski rząd prognozuje dochody ze sprzedaży ropy i gazu na poziomie 113 mld dol. Tylko w pierwszym półroczu 2024 r. Gazprom odnotował dochód netto w wysokości 11,3 mld dol., co było potrojeniem wyniku w porównaniu z analogicznym okresem roku 2023. Dlatego odmowa przedłużenia przez Kijów kontraktu na tranzyt gazu zbytnio Kremla nie zmartwiła.

Polacy, mam dla was propozycję

W czasie jednej z ostatnich konferencji prasowych prezydent Putin rzucił pomysł, że jeśli byłaby wola, to Gazprom może przesyłać gaz do Niemiec biegnącym przez Polskę gazociągiem jamalskim. Dziś wydaje się to absurdalne i nierealne, lecz w przyszłości, kto wie…

Według danych Europol Gaz SA aktualna roczna przepustowość tego gazociągu wynosi 32,96 mld m sześc. rocznie. Przy czym, w przeciwieństwie do gazociągów Nord Stream, jest on w nienaruszonym stanie. Istnieje też obecnie nieużywany gazociąg biegnący przez Łotwę i Litwę, który – jeśli byłaby taka wola – mógłby znów tłoczyć gaz na Zachód.

Taka perspektywa nie odpowiada Stanom Zjednoczonym, które chcą stać się głównym dostawcą gazu do Europy. Problem w tym, że gaz amerykański zawsze będzie droższy od rosyjskiego, gdyż najpierw trzeba go skroplić, a następnie przewieźć statkami do Europy i poddać procesowi przywracania do stanu lotnego. A to kosztuje.

Drogi gaz doprowadził do tego, że w Niemczech całe gałęzie przemysłu znalazły się w kryzysie – od motoryzacyjnego poczynając, na chemicznym kończąc. W Polsce Grupa Azoty SA znalazła się niemal na granicy upadłości, ponieważ gaz ziemny, niezbędny do produkcji nawozów sztucznych okazał się zbyt drogi i niewielu rolników chciało kupować rodzime nawozy azotowe. Konkurencja cenowa ze strony rosyjskich czy kazachskich producentów była zbyt silna. Poza tym UE na razie nie wprowadziła embarga na rosyjskie nawozy sztuczne. I nie wiadomo, czy tak się stanie, gdyż rolnicy w Europie Zachodniej także chcą kupować taniej.

Dostępem do taniego rosyjskiego gazu zainteresowani są Węgrzy i Słowacy, którzy dzięki kontraktom z Gazpromem dobrze zarabiali. Nie wiemy, jak zachowają się Austriacy, którzy także na potęgę sprowadzali rosyjski gaz.

Największe problemy będą mieć Mołdawia i Naddniestrze, dla których odcięcie rosyjskich dostaw oznacza katastrofę. To biedne kraje, których nie stać na zakup tego paliwa po cenach europejskich.

Jak widać, gaz wywołuje poważne problemy polityczne. Węgrami i Słowacją rządzą politycy, którzy nie ukrywają sympatii do prezydenta Rosji. W Austrii może powstać prawicowy rząd sympatyzujący z Kremlem. Nawet jeśli w Niemczech wyborów nie wygra prawicowa AfD (Alternatywa dla Niemiec), która przeciwstawia się udzielaniu pomocy Ukrainie, a jej politycy podziwiają Władimira Władimirowicza, to nowemu rządowi przyjdzie liczyć się z nastrojami społecznymi.

Do tego pod koniec grudnia 2024 r. prezydent elekt Donald Trump publicznie poinformował Unię Europejską, że musi zobowiązać się do zakupu znacznych ilości amerykańskiej ropy i gazu, bo jeśli tego nie zrobi, będzie musiała stawić czoła wysokim cłom. Po czym zajął się Grenlandią, Kanadą i Kanałem Panamskim. Dlatego, jeśli w tym roku Bóg nas nie wysłucha, to niech nas ręka boska broni.

Grzegorz Rudnik

Czy rosyjski gaz LPG można zastąpić innym? Oczywiście! Na przykład dostawami z Norwegii albo ze Stanów Zjednoczonych. Tylko cena będzie wyższa.

eprasa.pl 3e4bb4f431

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Sprzedaj pan tę Grenlandię!

Huragany chaosu przetaczają się przez świat, a Trump nawet jeszcze nie zaczął urzędować. W ubiegłym tygodniu na topie był zakup Grenlandii i Kanału Panamskiego. Deklaracje publiczne są takie, że Trump chce kupić, a jak się nie da po dobroci, to nie wyklucza użycia siły wojskowej. Grenlandia to ogromny temat. I bogactwo. Ale politycznie jest autonomicznym terytorium zależnym Danii. Amerykanie już kilka razy mieli na nią chrapkę, jednak ostatnie szarże prezydenta elekta budzą wyraźny niepokój nawet poważnych komentatorów. Oddzielenie fantasmagorii od realnych zamierzeń rozgrywających się w pomarańczowej głowie kolejnego prezydenta USA to gra skazana na porażkę.

Grenlandia jest największą niekontynentalną wyspą świata o powierzchni ponad 2 mln km kw., zamieszkaną przez niespełna 56 tys. osób, w 90% przez rdzennych Inuitów. Nimi Trump głowy sobie nie zaprząta – na pierwsze spotkanie wysłał z wycieczką syna, którego witała garstka mieszkańców w trumpowskich czapeczkach. Sama Grenlandia obfituje w złoża bogactw mineralnych, takich jak np. gaz i ropa. Co jednak może jeszcze istotniejsze, pokryta dzisiaj lodem i śniegiem wyspa ma bardzo obiecujące pokłady metali rzadkich, na które zapotrzebowanie wciąż rośnie. O dostępne tańsze ich źródła woła głośno kilka interesów miliardera technologicznego Elona Muska (telefonia, rakiety kosmiczne, banki, energia).

Ta historia jest jak z kosmosu, ale taki przecież jest i Donald Trump.

Co prawda amerykańskie władze jeszcze nie ujawniły, by Inuici gromadzili broń masowego rażenia, co wymagałoby inwazji wojsk amerykańskich (vide Irak), ale argument o bezpieczeństwie ekonomicznym na stole już leży. Może nie argument, lecz fraza – w wiadomych ustach to żadna różnica. Nieprzewidywalność Trumpa tylko nakręca atmosferę kuriozalnego zagrożenia. Na tyle, że władze Francji zdecydowały się zabrać głos. I tak Jean-Noël Barrot, minister spraw zagranicznych, w kontekście wypowiedzi Trumpa powiedział we francuskim radiu: „Nie ma wątpliwości, że Unia Europejska nie pozwoliłaby innym narodom świata, kimkolwiek one są, zaatakować swoich suwerennych granic". Premier Danii Mette Frederiksen powiedziała z kolei w duńskiej telewizji, że „Grenlandia należy do Grenlandczyków" i że jedynie miejscowa ludność może decydować o jej przyszłości. Nie można zapominać, że USA mają na Grenlandii bazę wojsk powietrznych Thule z elementami systemu wczesnego ostrzegania przed pociskami balistycznymi, którą wykorzystuje również dowództwo Sił Kosmicznych. Cała ta historia jest jak z kosmosu, ale taki przecież jest i Donald Trump.

W tle grenlandzkiej zadymy mamy jeszcze pyskówkę na temat Kanady, którą prezydent elekt chciałby widzieć jako 51. stan USA (czyli jednak nie Polskę). Równie bojowe deklaracje uderzają we władze Panamy. Wciąż jeszcze wydaje się to dość egzotyczne i nierzeczywiste – nie wiem tylko, czy Panamczykom i mieszkańcom Grenlandii równie bliskie jest tak absurdalne poczucie humoru, czy jednak zaczyna im powoli towarzyszyć trumpowski cień. Trump nie omieszkał zaznaczyć, że zakusy grenlandzko-panamsko-kanadyjskie motywowane są oczywiście dobrem „wolnego świata" – gorzej zatem być nie może.

Nagle mnie tknęło – przecież to wszystko nie jest aż tak niedorzeczne, jak mogłoby się wydawać. Wszak całą potęgę USA zbudowano na zawłaszczeniu ziemi „niczyjej", wymordowaniu rdzennych mieszkańców, ewentualnie zamknięciu ich w rezerwatach, przejęciu złóż ropy i innych bogactw naturalnych. W tym aspekcie mrzonki Trumpa wynikają z samego rdzenia amerykańskiego snu o potędze, a wszystko podlane zostało antychińskim i antyrosyjskim sosem. Jeśli odcedzimy pierwiastki szaleństwa, to otrzymamy samą istotę amerykańskiej hegemonii. W Kanadzie są przecież źródła majątku rodzinnego Trumpów – to tam bawarski dziadek tłukł kasę na prowadzeniu domu publicznego, Cóż więc dziwnego jest w tym, że wnuczek poczuwa się do tej więzi i tradycji?

Jest jeszcze Meksyk. Choć za pierwszej kadencji nie udało się odgrodzić murem za meksykańskie pieniądze, to teraz Trump zabierze Meksykanom zatokę i nazwie ją Amerykańską. Może za chwilę całą planetę przemianuje na amerykańską? Spełni wówczas swoje wyborcze hasło z idiotycznych czapeczek Make America Great Again. Słowny prezydent. Samospełniający się. Planeta Ameryka i jej kapitan. Jakże miłośnicy Trumpa by urośli… Andrzej Duda gubernatorem Grenlandii? Albo chociaż szefem jej komitetu olimpijskiego? Ileż problemów mogłaby ta wizja rozwiązać… Muszę się skarcić za niedowiarstwo – dopiero teraz dociera do mnie wielkość tych zamysłów, ich ranga globalna, siła, przekaz i moc.

W tym wszystkim umyka mi, że Szymon Hołownia ogłosił, kiedy będzie można na niego głosować w wyborach prezydenckich. Jeśli świat po wojnie grenlandzkiej dojdzie już do siebie, urny będą czekać 18 maja. Zobaczymy. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3e4bb4f431

Atlas mózgu dla każdego

Pilotażowe Polskie Centrum Neurotechnologiczne miało być częścią Polskiego Technopolis – zalążkiem polskiej Doliny Krzemowej

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

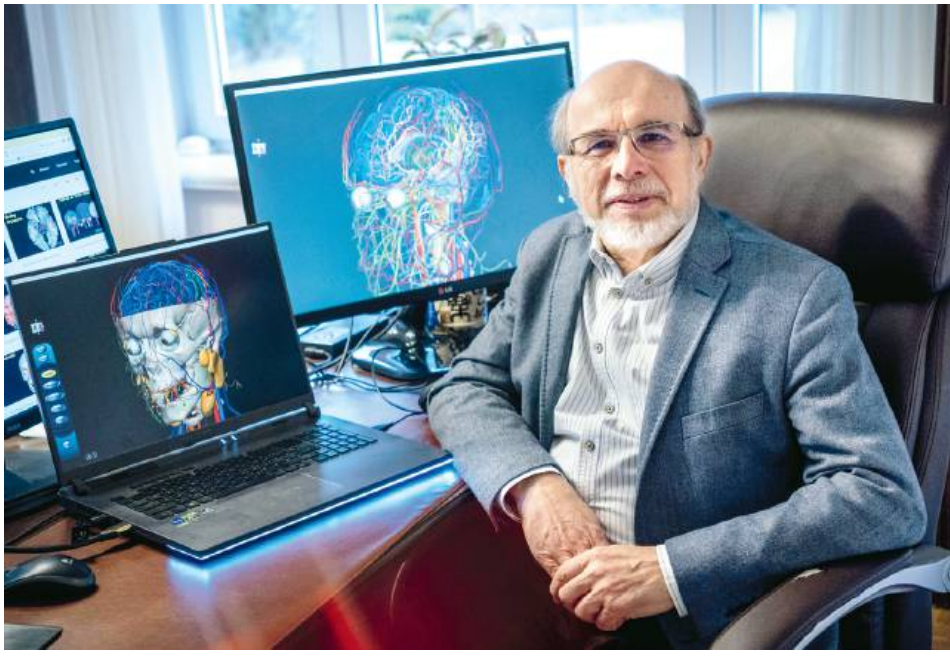

PROF. WIESŁAW NOWIŃSKI
– naukowiec, informatyk, innowator i wizjoner, budowniczy pomostów między nauką i medycyną, twórca atlasów mózgu ludzkiego

Umawiając się na rozmowę, zastrzegł pan, że wolałby ograniczyć się do tematów technologicznych i nie poruszać medycznych. Tymczasem był pan uczestnikiem wielu kongresów medycznych, otrzymał wiele nagród od czołowych towarzystw medycznych, a w najnowszej edycji „Gray's Anatomy" („Henry Gray's anatomy of the human body"), zwanej biblią lekarzy, ma być zamieszczony rozdział o mózgu pana autorstwa.

– Chciałbym uniknąć nieporozumień, ponieważ piszą do mnie osoby szukające ratunku dla swojego zdrowia. Medycyna nie jest moją wyuczoną specjalizacją, nie mam stopnia medycznego. A to, że podręcznik „Henry Gray's anatomy of the human body" zostanie uzupełniony rozdziałem wykorzystującym atlasy mózgu, jest wynikiem moich prac nad modelowaniem i wizualizacją tego organu oraz zapewne rozgłosu związanego z otrzymanymi przeze mnie prestiżowymi nagrodami, zarówno z dziedziny medycznej, jak ogólnonaukowej, radiologicznej, patentowej, wynalazczej itd.

Jak z perspektywy informatyka spogląda pan na ludzki mózg? Dostrzega pan w nim podobieństwa do komputera? Czy też odwrotnie – komputer stworzono na obraz i podobieństwo mózgu? I w końcu: czy komputer to maszyna myśląca?

– Podobieństwa są raczej dosyć odległe. Pierwsze modele komputerów były synchroniczne, a mózg jest asynchroniczny. Komputery mają procesory i pamięć. Pierwsze procesory przechowujące pamięć funkcjonowały oddzielnie. Tymczasem nie wiemy dokładnie, gdzie w mózgu zlokalizowana jest myśl. Jeśli chcemy wykonać w komputerze jakąś operację, to wiemy, co należy zrobić. Pamięć RAM przechowuje informacje potrzebne do działania danego programu – bez niej żaden komputer nie będzie działać. Jak jest z naszą pamięcią, zapamiętywaniem i uczeniem się? Wiemy, że ważną rolę odgrywają synapsy czy neuroprzekaźniki, ale w tej kwestii dysponujemy tylko hipotezami. Kolejne porównanie: mózg ludzki ma ok. 20 watów mocy, natomiast największe i najsilniejsze komputery wymagają wielu megawatów i trzeba je chłodzić. Najpotężniejszy superkomputer w Europie, znajdujący się Finlandii, ogrzewa dzięki temu całe miasto. W obrazowaniu budowy mózgu nie osiągnęliśmy więc jeszcze doskonałości: nasze modele czy mapy mózgu pokazują szczegóły wielkości do pół milimetra. Tymczasem gdyby zejść na poziom synaps mózgowych i neuronów całego mózgu ludzkiego, trzeba by ukazać obraz na poziomie mikronów. Jak takie obrazowanie przetwarzać we współczesnych komputerach? Potrzebne byłyby jakieś bardzo wydajne maszyny. Dziś jesteśmy w stanie zobrazować działania mózgu muszki owocowej *Drosophila melanogaster*, który ma 100-130 tys. neuronów. Mózg człowieka zawiera ok. 86 mld neuronów – policzono, że do jego pełnego

eprasa.pl 3e4bb4f431

zobrazowania, stosując metody pracy tożsame jak u muszki owocowej, potrzebowalibyśmy 17 mln lat!

Jednak się nie poddajemy – powstają coraz lepsze, dokładniejsze, bardziej wyrafinowane i wyspecjalizowane atlasy mózgu oraz jego poszczególnych części.

– Tak, postęp jest nadzwyczajny. Niczego jednak nie da się zrobić bez zaplecza finansowego i ludzkiego. Myślę, że rozsądnym praktycznym rozwiązaniem jest komercjalizacja tego, co powstaje w laboratoriach – połączenie nauki z biznesem. Przykładowo: miałem pomysł, by tworzyć wstępne atlasy dla kardiologów albo atlas wątroby czy też całego brzucha – nie było jednak zainteresowania komercyjnego. W Singapurze, gdzie przepracowałem kilkanaście lat w rządowej agencji naukowej A*STAR (Agency for Science, Technology and Research), spotkałem się z podejściem bardzo pragmatycznym. Po kilku latach pozwolono mi stworzyć własne laboratorium; byłem rozliczany nie tylko z publikacji, ale także z patentów, licencji do nowych technologii, ze współpracy krajowej i międzynarodowej ze szpitalami i różnymi firmami. To właśnie te jednostki zainwestowały w konkretne badania. Nie były to granty za określone punkty uzyskane z publikacji artykułów, które komercyjnie niewiele znaczą, ale za oczekiwane rezultaty. Dzięki temu mogłem planować moje badania długofalowo.

Wrócił pan do kraju w 2015 r. z konkretnymi planami.

– Chciałem powołać Polskie Centrum Neurotechnologiczne, a na dalszym etapie Narodowe Technopolis. Zyskałem początkowo obietnice wsparcia ze strony Narodowego Centrum Badań i Rozwoju. Projekt zakładał poważne zmiany w organizacji prac naukowych, badawczych i wdrożeniowych. Celem było wyzwolenie kreatywności intelektualnej zamkniętej w umysłach Polaków. Zarysowany w szczegółach projekt budowy Polski innowacyjnej miał połączyć doświadczenie wybitnych rodaków powracających do kraju z talentami naszej młodzieży, a także zintegrować naukę, innowacyjność i przedsiębiorczość. Projekt wspierał prof. Witold Kieżun, który miał koncepcję realnego zreformowania naszego państwa, jednak nie doczekał jego realizacji. Przewidziałem miejsce na stworzenie pilotażowego Polskiego Centrum Neurotechnologicznego, które byłoby częścią Polskiego Technopolis – innowacyjno-technologicznej wizytówki Polski, zalążkiem polskiej Doliny Krzemowej. Jednak próba stworzenia takiego miejsca w kraju, przy współudziale m.in. Mayo Clinic – najlepszej kliniki i instytutu medycznego na świecie – oraz czwartego w rankingu Johns Hopkins Hospital i firmy Philips (Healthcare and Research), nie powiodła się. Przez krajowych recenzentów instytucje te zostały ocenione jako przeciętne. Polska spadła w kategorii innowacyjności na przedostatnie miejsce w Europie, a jednocześnie wciąż nie dostrzega się u nas, że specjalnie ukierunkowane prace badawcze i eksperymenty naukowe mają olbrzymią wartość rynkową. Tymczasem, jak wskazuje doświadczenie, naukowiec w Polsce poświęca od 60 do 80% swojego czasu i energii na sporządzenie wniosku o grant. Otrzymuje go najczęściej na trzy lata, bez żadnej gwarancji, że projekt badawczy przyniesie jakieś konkretne korzyści i będzie kontynuowany.

Wróćmy do atlasów mózgu, które stanowią dziś ważną pomoc naukową, dydaktyczną oraz praktyczną, czym wzbudziły uzasadnione zainteresowanie świata medycznego. Mówiąc o nich, używa pan sformułowania, że są to odpowiednio opracowane trójwymiarowe skany mózgów żywych ludzi.

– Razem ze swoim zespołem stworzyłem ponad 50 prototypów atlasów mózgu ludzkiego, w tym 35 produktów komercyjnych – wszystko w środowisku badawczo-rozwojowym. Opracowaliśmy atlasy mózgu żywego i martwego. Wykorzystaliśmy przy tym dane pacjentów, zwłaszcza do tworzenia atlasów chorobowych. Na początku wielokrotnie skanowałem także własny mózg, ponieważ trudno jest uzyskać zadowalający wynik i pełne dane podczas jednej sesji. Potrzebny jest do tego odpowiedni obiekt – łatwo dostępny przez dłuższy czas. Powstały też atlasy mózgu wykonywane post mortem – dzięki osobom, które oddały nauce organy do badania. Zakończenie procesów życiowych tworzy w mózgu rozmaite deformacje. W miarę prawidłowy obraz można uzyskać tylko do czterech godzin po śmierci. W praktyce pojawiły się jeszcze inne problemy, dotyczące np. wieku skanowanego mózgu. Niektórzy recenzenci atlasów zastanawiali się, czy dla celów chociażby dydaktycznych nie powinny powstawać skany mózgów młodszych osób, ponieważ z biegiem lat powiększają się np. komory z płynem rdzeniowo-kręgowym. Ale to były pytania stawiane na początku pracy przy atlasach, tworzonych z wielu rezonansów magnetycznych o mocy 3 i 7 tesli oraz na podstawie tomografii komputerowej o wysokiej rozdzielczości. Z czasem, gdy już zaczęliśmy opracowywać atlasy konkretnych przypadków patologicznych, np. udarów mózgu czy choroby Parkinsona, trzeba było wykorzystać skany mózgów pacjentów liczonych w setki. Np. w przypadku udarów mieliśmy 700 pacjentów, ale do atlasu trafiło 120, bo nie wszystkich można było monitorować przez cały rok. Jakość tych atlasów była na tyle wysoka, że kierownictwo uczelni zrezygnowało z zatrudniania recenzentów.

Nawiązując do badania mózgów osób zmarłych – kiedyś sądzono, że osoby wybitne mają w czaszce jakiś szczególnie rozbudowany „instrument". Ale to się nie sprawdziło choćby w przypadku Lenina.

– Badano go w Cécile & Oskar Vogt Institute of Brain Research w Niemczech i stwierdzono, że jego

Mózg człowieka zawiera ok. 86 mld neuronów – policzono, że do jego pełnego zobrazowania potrzebowalibyśmy 17 mln lat!

eprasa.pl 3e4bb4f431

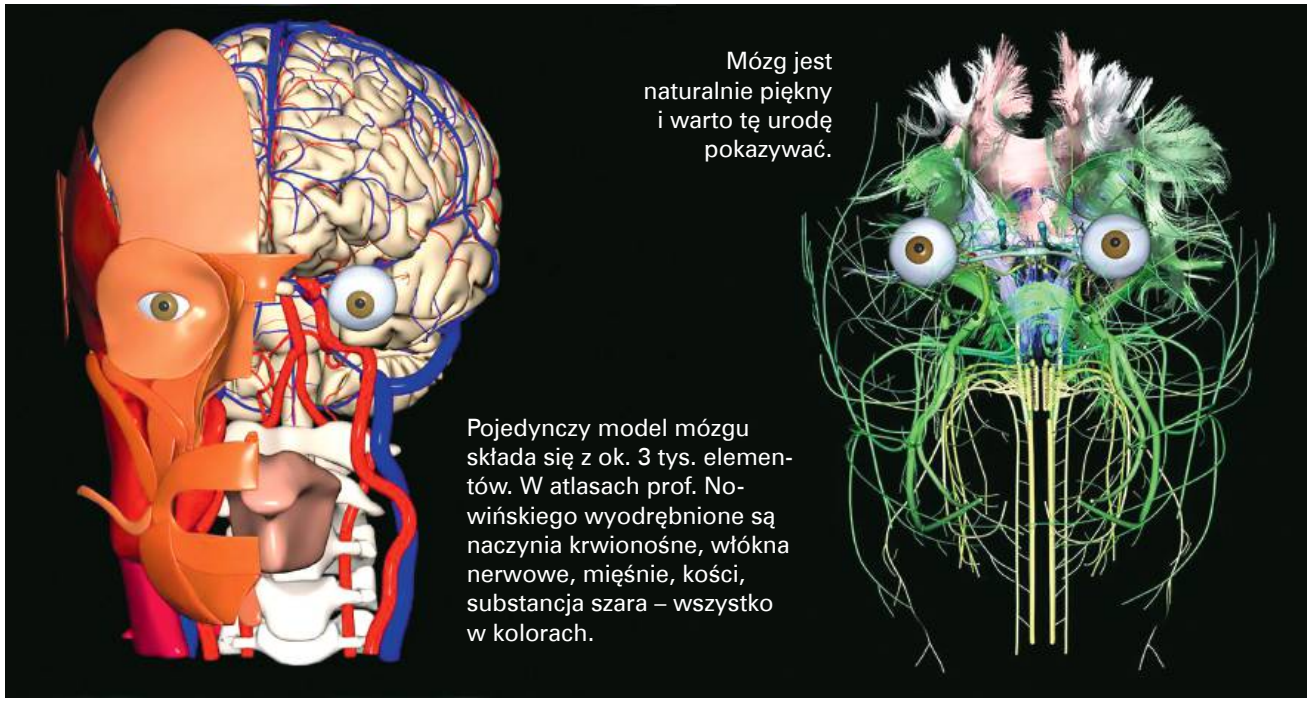

Mózg jest naturalnie piękny i warto tę urodę pokazywać.

Pojedynczy model mózgu składa się z ok. 3 tys. elementów. W atlasach prof. Nowińskiego wyodrębnione są naczynia krwionośne, włókna nerwowe, mięśnie, kości, substancja szara – wszystko w kolorach.

mózg jest mniejszy od średniego. Sprawdzono również mózg Alberta Einsteina. Także był nieco mniejszy – nie odbiegał rozmiarem od średniego, ale w zwojach miał dość nietypowy „zakręt" w części ciemieniowej, odpowiedzialny za wyobraźnię, co odbiegało od przeciętnej normy. Na przełomie XIX i XX w. krążyło wiele mitów uzależniających poziom umysłowy człowieka od wielkości i kształtu czaszki oraz innych cech anatomicznych.

Współczesnego człowieka trapią liczne patologie mające związek z mózgiem. Oprócz udarów mamy choroby Alzheimera, Parkinsona, guzy mózgu, nie mówiąc już o całej gamie lżejszych schorzeń. To olbrzymie wyzwanie dla medycyny, ale także dla naukowców przygotowujących obrazy zaatakowanego chorobą centralnego organu nerwowego.

– Licencje do moich atlasów otrzymało 67 firm i instytucji. Są one wykorzystywane w ok. 100 krajach na całym świecie. Większość z nich dystrybuuje i promuje Thieme Medical Publishers – nasz wydawca z Nowego Jorku. Z różnych edycji moich atlasów korzystają największe koncerny medyczne, np. Medtronic, Brainlab, Elekta. Służą one lekarzom, pacjentom i studentom medycyny. Atlasy udarowe powstały na podstawie danych z Akademii Medycznej w Poznaniu. Koncepcja ich tworzenia była taka, by odwzorowywały działania lekarza, ukazywały stosowane terapie, pomagały w prognozowaniu stanu pacjenta podczas dalszych działań medycznych. Dane obrazowe powstałe przez skanowanie staraliśmy się połączyć z danymi nieobrazowymi, takimi jak wiek pacjentów, lekarstwa czy skale udarowe, które również są przekształcone w obrazy. Tu także postanowiono je pokazać w odpowiedniej sekwencji czasowej, np. po trzech, sześciu miesiącach, po roku itd.

Inaczej było z atlasem obrazującym chorobę Parkinsona. Słynny specjalista w dziedzinie neurologii, jeden z pionierów neurochirurgii i kandydat do Nagrody Nobla, dr Alim Louis Benabid z Francji, zbudował z nami probabilistyczny atlas funkcjonalny do leczenia choroby Parkinsona i innych chorób mózgu wpływających na narząd ruchu. Atlas, poprzez wizualizację, pokazuje zmiany anatomiczne, miejsca, które są uszkodzone i nie przesyłają sygnałów, jakie symptomy wywołuje dany stan itd. Jeszcze inaczej można posłużyć się atlasem w przypadku zobrazowania raka mózgu po to, by przygotować się do usunięcia guza, który nie tylko deformuje kształt tego organu, ale za każdym razem nieco inaczej wpływa na jego anatomię.

Zakończenie procesów życiowych tworzy w mózgu rozmaite deformacje. W miarę prawidłowy jego obraz można uzyskać tylko do czterech godzin po śmierci.

Przestrzeń do doskonalenia wizualizacji mózgu i jego części jest więc jeszcze ogromna.

– Tak. Jednak nie mamy obecnie technologii, by zobrazować podstawowe reakcje przestrzenno-czasowe. Nie potrafimy w pełni pokazać działania synaps, roli genów, substancji szarej i białej, połączenia tych struktur z naczyniami krwionośnymi i operacjami neuronów, które trwają kilka milisekund, choć w procesie ewolucji mechanizmy te tworzyły się przez miliony lat. Potrzebna jest

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl 3e4bb4f431

technologia przechodzenia z większą dokładnością przez wszystkie skale przestrzenne i czasowe oraz przez niezwykłą złożoność molekuł. Jeśli jakość zobrazowania mózgu się rozwinie, uzyskamy większą rozdzielczość i kontrast, otrzymamy lepszą możliwość stawiania diagnozy i dostarczymy radiologom lub chirurgom dodatkowych informacji.

Swoją pracą buduje pan pomost między informatyką a medycyną, a konkretnie neuroanatomią, wspierając się nowoczesnymi technikami grafiki komputerowej. Stara się pan przy tym utrzymać wysoki poziom estetyki tworzonych modeli. Wiemy przecież, że roboczy skan nie wyodrębnia naczyń krwionośnych, włókien nerwowych, mięśni, kości, substancji szarej, a w pana atlasach wszystko jest w kolorach. Na dodatek każdy model mózgu ma ludzkie oczy.

– Uważam, że mózg jest naturalnie piękny i warto pokazać tę urodę. W oddaniu tego piękna pomagały mi żona i dwie córki – każda coś wniosła. Młodsza zaprojektowała interfejs użytkownika takiego zobrazowania, gdy miała 15 lat – przyjął się on w kolejnych atlasach. Druga córka i żona pomogły w kolorowaniu. A trzeba pamiętać, że jeden model mózgu składa się z około 3 tys. elementów. Dzięki moim uzdolnionym paniom na największym kongresie medycznym w 2009 r. atlas otrzymał specjalną nagrodę Excellence in design (razem z Radiology Awards, tzw. Oskarem radiologicznym).

Oglądając taki atlas, można co prawda czasami mocno się przestraszyć, ale liczba pochwał i komplementów, jakie pan otrzymał, jest naprawdę imponująca. „Trzymasz przyszłość w swoich rękach", napisała o atlasach dr Anne G. Osborn.

– To jedno z najbardziej entuzjastycznych podziękowań za moją pracę. Anne G. Osborn jest uważana za największą na świecie neuroradiolożkę. Jest autorką 60 książek, założycielką i CEO firmy Amirsys, Inc. Dowodów zainteresowania i podziwu nie szczędzili mi także inni specjaliści z okołomedycznych dziedzin technicznych i neurologicznych. Niektórzy od razu proponowali mi zatrudnienie! Poczta Polska na 100-lecie Urzędu Patentowego RP wydała nawet znaczek z atlasem mózgu i umieściła mnie wśród dwóch żyjących wynalazców stulecia. Wciąż otrzymuję liczne wyrazy szacunku: niedawno zostałem zaproszony na konferencję o mózgu w Chinach i otrzymałem ponowne zaproszenie z Australii, gdzie proponują mi grant na staż naukowy i badania oraz niezłe warunki ekonomiczne. To dowód, że wyniki mojej działalności są przydatne i doceniane. Ludzie ci widzą, że zgromadzona przeze mnie przez lata wiedza na temat mózgu, uzupełniona możliwościami, jakie niesie sztuczna inteligencja, może zyskać jeszcze większą wartość komercyjną. Te zaproszenia to kusząca perspektywa, która daje mi ogromne poczucie satysfakcji. Jest to efekt wieloletnich wysiłków, a nie protekcji, powinowactwa czy szlachetnego urodzenia. I osiągnął to nie wychowanek słynnych uczelni, ale człowiek z Polski, który jest ceniony dzięki swojej ciężkiej pracy.

Skoro powiedziano, że trzyma pan przyszłość w swoich rękach, to jak ją pan widzi – czy możemy się spodziewać np. przeszczepów mózgu, co jest na razie objęte zakazem?

– Myślę, że to raczej bardzo daleka perspektywa, jeśli w ogóle kiedyś miałaby się stać realna. Raczej będziemy wymieniać lub poprawiać pewne części tego najważniejszego ludzkiego organu. Niezależnie od różnych trendów w nauce i rozwoju technik medycznych myślę, że w przyszłości każdy człowiek powinien mieć dostęp do atlasu swojego mózgu, tak jak powinien znać swoją grupę krwi. Dziś coraz większe znaczenie w diagnozowaniu, a raczej w profilaktyce chorób, które mogą się pojawić w przyszłości, mają badania genetyczne, ale na razie wykonuje się je tylko w szczególnych przypadkach. Podobnie jest z indywidualnym zobrazowaniem każdego mózgu, z którego dobry specjalista może wyciągnąć wiele ważnych dla nas informacji i wniosków na przyszłość.

Myślę, że w przyszłości każdy człowiek powinien mieć dostęp do atlasu swojego mózgu, tak jak powinien znać swoją grupę krwi.

Bronisław Tumiłowicz

KSIĄŻKI

Mateusz Brela
Mistrzostwo umysłu
Psychologia sukcesu w sporcie
Wydawnictwo Studio Emka, Warszawa 2024

Były zawodowy piłkarz, a obecnie aktywny psycholog sportu i edukator, konfrontuje swoje osobiste i zawodowe doświadczenia z teoretyczno-praktycznymi założeniami autorytetów psychoterapii i proponuje własną koncepcję treningu mentalnego MTBM. Założenia tego programu zostały tu przedstawione publicznie po raz pierwszy, a głównym celem autora jest zapewnienie czytelnikowi niezbędnych narzędzi do rozwijania kompetencji mentalnych, pozwalających efektywniej radzić sobie z wyzwaniami czekającymi na tych, którzy chcą przejść drogę do umysłowego mistrzostwa.

Mateusz Brela w sposób jasny i rzeczowy opisuje konkretne problemy psychologiczne, wskazując, jak można sobie z nimi poradzić. Podtytuł książki może sugerować, że jest ona adresowana do sportowców, ale jej przekaz zdecydowanie wykracza poza tę grupę. To lektura dla każdego, kto chce wprowadzić w swoim życiu zmiany, pokonać autosabotaż, odzyskać poczucie kontroli i zacząć działać zgodnie z własną wolą.

eprasa.pl 3e4bb4f431

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Włoch

Dyplomacja zakładników

Włoszka Cecilia Sala była tylko jedną z dziennikarek i dziennikarzy osadzonych w irańskich więzieniach

„Jestem Cecilia Sala. A to jest »Stories«, podcast Chora Media, który każdego dnia opowiada wam historię ze świata". Głos 30-letniej włoskiej dziennikarki przetrzymywanej od 19 grudnia 2024 r. w więzieniu Evin w Teheranie przyprawiał o dreszcze.

Cecilia Sala przebywała w Iranie na podstawie wizy dziennikarskiej, aby pracować nad nowymi odcinkami podcastu „Stories". Już wcześniej w swoich audycjach opowiadała o tłumieniu protestów irańskich kobiet i sytuacji politycznej w Republice Islamskiej. Zatrzymano ją w hotelu, kilka godzin przed wylotem, a później przewieziono do Evin, zakładu karnego o złej sławie, w którym przetrzymywani są dysydenci, dziennikarze, więźniowie polityczni i zakładnicy ważni dla państwa irańskiego.

Informację o aresztowaniu dziennikarki włoskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych podało do wiadomości publicznej dopiero 27 grudnia 2024 r. Tego dnia ambasadorka Włoch w Teheranie Paola Amadei odwiedziła Cecilię Salę w więzieniu i mogła ocenić jej stan psychofizyczny. Sala została osadzona w niewielkiej izolatce, gdzie przez całą dobę paliło się światło. Dziennikarka stwierdziła, że czuje się dobrze, ale prosiła włoski rząd o przyśpieszenie działań związanych z jej uwolnieniem. Dyplomaci znad Tybru liczyli na dyskretne rozwiązanie sprawy. Dłużej jednak nie dało się jej utrzymywać w tajemnicy.

Aresztowanie Cecilii Sali w Teheranie nastąpiło trzy dni po zatrzymaniu we Włoszech na wniosek Stanów Zjednoczonych irańskiego inżyniera Mohammada Abediniego Najafabadiego. Posiadający szwajcarski paszport Abedini został aresztowany na lotnisku Malpensa, dokąd przyleciał ze Stambułu. Jednocześnie w USA zatrzymano innego Irańczyka, który legitymował się paszportem amerykańskim, Mahdiego Mohammada Sadeghiego, uznanego za wspólnika Abediniego. Obaj mężczyźni zostali oskarżeni przed Sądem Federalnym w Bostonie o nielegalny eksport z USA do Iranu komponentów elektronicznych służących do produkcji dronów, co naruszyło embargo. Abedini jest ponadto oskarżony o pomoc irańskiemu Korpusowi Strażników Rewolucji Islamskiej, uznawanemu w Stanach Zjednoczonych za organizację terrorystyczną. Konkretnie miał pomóc w ataku terrorystycznym na bazę amerykańską w Jordanii, co doprowadziło do śmierci trzech żołnierzy USA.

Mohammad Abedini Najafabadi przebywa obecnie w mediolańskim więzieniu pod specjalnym nadzorem, oczekując na decyzję sądu apelacyjnego w sprawie jego ekstradycji do USA.

Dopiero 30 grudnia irańska agencja państwowa IRNA oficjalnie potwierdziła aresztowanie Cecilii Sali, powołując się na oświadczenie Generalnego Departamentu Mediów Zagranicznych Ministerstwa Kultury i Orientacji Islamskiej. W oświadczeniu stwierdzono, że Sala została zatrzymana za „naruszenie prawa Islamskiej Republiki Iranu". 1 stycznia 2025 r. włoskie MSZ formalnie zwróciło się do irańskich władz politycznych o „gwarancje dotyczące warunków przetrzymywania" i „natychmiastowe uwolnienie" dziennikarki. Jej uwolnienia domagają się też wysoka przedstawiciel Unii Europejskiej ds. polityki zagranicznej Kaja Kallas oraz Departament Stanu USA.

eprasa.pl 3e4bb4f431

8 stycznia Cecilia Sala opuściła irańskie więzienie Evin i powróciła do domu.

Strategia Iranu

Włoskie media szybko powiązały sprawę Sali z aresztowaniem Abediniego, nazywając to dyplomacją zakładników. Praktyka ta polega na aresztowaniu przez Iran cudzoziemców lub osób z podwójnym obywatelstwem, a następnie wykorzystaniu ich jako środka nacisku na państwa, których są obywatelami, w celu uzyskania przysług, okupu lub doprowadzeniu do uwolnienia irańskich więźniów za granicą.

Clément Therme z Paryskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych, autor raportu dotyczącego Europejczyków przetrzymywanych w Teheranie, uważa, że praktyka ta „stanowi jeden z fundamentów irańskiej polityki zagranicznej od 1979 r.". Doszło wtedy do tzw. kryzysu zakładników, gdy irańscy studenci islamscy zajęli ambasadę USA w Teheranie, przetrzymując personel dyplomatyczny przez 444 dni. Od tamtego momentu dyplomacja zakładników to „element asymetrycznej strategii Iranu wobec Zachodu".

Przez lata do irańskich więzień trafiło wielu obcokrajowców. Większość z nich przetrzymywano lub nadal jest przetrzymywanych w Evin na obrzeżach Teheranu. Każdy przypadek był traktowany oddzielnie i z dużą dyskrecją przez kraje, którym zależało na uwolnieniu swoich obywateli. Amnesty International podaje kilka z nich.

• Kylie Moore-Gilbert – australijsko-brytyjska prawniczka aresztowana pod zarzutem szpiegostwa była przetrzymywana w więzieniu w Evin w latach 2018-2020. Została uwolniona w zamian za trzech Irańczyków więzionych w Tajlandii pod zarzutem usiłowania morderstwa na izraelskich dyplomatach.

• Nazanin Zaghari-Ratcliffe – obywatelka irańsko-brytyjska była zakładniczką przez sześć lat, od kwietnia 2016 r. do marca 2022 r. Podejrzewa się, że jej przetrzymywanie wiązało się z długiem w wysokości 450 mln funtów, który Wielka Brytania miała wobec Iranu od lat 70., powstałym w wyniku anulowania umowy zbrojeniowej podpisanej jeszcze za rządów szacha. O umowę tę toczył się wieloletni spór prawny.

7 stycznia w Rzymie odbył się protest dziennikarzy na rzecz uwolnienia Sali.

• Jason Rezaian – dziennikarz „Washington Post" skazany za szpiegostwo w procesie za zamkniętymi drzwiami i uwolniony wraz z trzema obywatelami irańsko-amerykańskimi po tym, jak w styczniu 2016 r. Stany Zjednoczone zwróciły Iranowi 400 mln dol. za niedostarczony sprzęt wojskowy.

• Olivier Vandecasteele – doświadczony belgijski pracownik pomocy humanitarnej został aresztowany 24 lutego 2022 r. i skazany na 40 lat więzienia za szpiegostwo. Wymieniono go na dyplomatę Assadollaha Assadiego, skazanego na 20 lat więzienia za terroryzm.

W 2023 r. Tehran uwolnił pięciu obywateli USA pochodzenia irańskiego oskarżonych o szpiegostwo w zamian za pięciu obywateli irańskich przetrzymywanych w Stanach Zjednoczonych. W tym przypadku negocjacje dotyczyły także funduszy irańskich w wysokości 6 mld dol., zamrożonych na skutek sankcji w Korei Południowej, przesłanych następnie na sześć irańskich kont w Katarze.

Natomiast 15 czerwca 2024 r. triumfalnie powrócił do Teheranu Hamid Nouri, skazany w Szwecji w grudniu 2023 r. na dożywocie i uznany za winnego odegrania kluczowej roli w egzekucji irańskich więźniów politycznych w 1988 r. Zamordowano wówczas tysiące Irańczyków. W zamian uwolnieni zostali urzędnik Unii Europejskiej Johan Floderus, któremu groziło dożywocie lub kara śmierci za szpiegostwo, oraz Saeed Azizi, aresztowany i skazany na pięć lat za działalność przeciwko bezpieczeństwu narodowemu. Obaj powrócili do Szwecji. Komentując sprawę Nouriego, Amnesty International stwierdziła, że to „niszczycielski cios dla ocalałych oraz bliskich ofiar, który zachęci władze irańskie do popełniania dalszych przestępstw w świetle prawa międzynarodowego, w tym do brania zakładników bez obawy przed konsekwencjami".

Evin – miejsce, które nie powinno istnieć

Do więzienia Evin we wrześniu 2022 r. trafiła także inna włoska obywatelka, Alessia Piperno. Blogerka i podróżniczka została aresztowana podczas pobytu w irańskim Kurdystanie w czasie wielkich protestów po śmierci Mahsy Amini, zatrzymanej za niewłaściwe noszenie hidżabu i zmarłej w areszcie. Razem z Alessią Piperno aresztowano innych cudzoziemców, którzy nadal przebywają w więzieniu.

Włoska blogerka została zwolniona dopiero po 45 dniach, 10 listopada 2022 r., po intensywnych negocjacjach prowadzonych między dyplomacją włoską a irańską przy współpracy tajnych służb. O swoich przeżyciach mogła opowiedzieć dopiero po roku w książce

FOT. REUTERS/FORUM, ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 3e4bb4f431

zatytułowanej „Azadì. Dziennik podróży, uwięzienie i wolność” (*azadì* po persku oznacza wolność – przyp. aut.). „To miejsce nie powinno istnieć. To piekło na ziemi”, powiedziała o więzieniu Evin w pierwszym wywiadzie dla telewizji RAI 1.

„Skończyłam na oddziale 209, gdzie nie ma się dostępu do niczego, nawet do książek. To skrzydło więźniów politycznych, gdzie przetrzymywana jest Narges Mohammadi. Są inne miejsca, jak 2A, trochę »lepsze«. Czasem nie podawali nam wody”, wspominała Alessia Piperno w wywiadzie dla kanału informacyjnego Sky News 24.

Więzienie w dzielnicy Evin w Teheranie, od której wzięło nazwę, zostało zbudowane w 1972 r., a jego kierownictwo powierzono irańskim tajnym służbom SAWAK, bezpośrednio zależnym od szacha. Początkowo przeznaczone było dla ok. 320 więźniów, ale szybko się rozrosło i może pomieścić ponad 1,5 tys. osób. Obecnie jest pod kontrolą irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. Przetrzymuje się tu przeciwników politycznych, dysydentów, liderów mniejszości etnicznych i religijnych oraz zakładników, potrzebnych państwu irańskiemu. Więzienie znane jest z częstych doniesień o łamaniu praw człowieka. Mowa jest o pobiciach, molestowaniu seksualnym, odmawianiu opieki medycznej, różnych rodzajach tortur, a także stosowaniu środków odurzających. Trafiają tu również zwykli irańscy obywatele za spożycie alkoholu, seks pozamałżeński czy niezakrywanie głowy (w przypadku kobiet). To wykroczenia przeciw szarijatowi, za które w Iranie można otrzymać karę śmierci.

Według Reporterów bez Granic w irańskich więzieniach przebywa co najmniej 41 niezależnych dziennikarzy i blogerów.

Lista więźniów politycznych przebywających w Evin jest długa. Odbywa tu wyrok (10 lat i 9 miesięcy więzienia za działania na szkodę bezpieczeństwa narodowego i propagandę przeciwko państwu) Narges Mohammadi – irańska fizyczka i działaczka na rzecz praw człowieka, laureatka Pokojowej Nagrody Nobla w 2023 r. Otrzymała ją „za walkę z uciskiem w Iranie i walkę na rzecz promowania praw człowieka dla wszystkich”. Osadzone są także irańskie dziennikarki Elaheh Mohammadi i Nilufar Hamedi, które poinformowały opinię publiczną o śmierci Mahsy Amini. Oskarżono je o „kolaborację z USA, spisek wymierzony w bezpieczeństwo państwa oraz propagandę wrogą republice islamskiej” i skazano na długoletnie więzienie. Według Reporterów bez Granic w irańskich więzieniach przebywa co najmniej 41 niezależnych dziennikarzy i blogerów.

Meloni u Trumpa

2 stycznia br., po kilku dniach spekulacji medialnych, ambasador Iranu w Rzymie Mohammad Reza Sabouri potwierdził, że warunki osadzenia Cecilii Sali będą powiązane z warunkami, w których przebywa inżynier Mohammed Abedini Najafabadi, przetrzymywany w Mediolanie na wniosek Stanów Zjednoczonych. Po spotkaniu z premier Giorgią Meloni rodzice Cecilii Sali poprosili włoskie media o zachowanie ciszy. „Aby spróbować sprowadzić ją do domu, nasz rząd zmobilizował się do maksimum i teraz, oprócz wysiłków władz włoskich, konieczne są również poufność i dyskrecja”, napisali w komunikacie. Włoskie media w większości uszanowały ich prośbę. Na różnych szczeblach odbyły się rozmowy między Rzymem a Waszyngtonem. W związku ze sprawą Sali zwołano nadzwyczajny szczyt rządu, w którym oprócz premier Meloni uczestniczyli: minister spraw zagranicznych Antonio Tajani, minister sprawiedliwości Carlo Nordio, podsekretarz Alfredo Mantovano oraz służby bezpieczeństwa.

4 stycznia premier Giorgia Meloni złożyła utrzymywaną w ścisłej tajemnicy błyskawiczną wizytę w prywatnej rezydencji Donalda Trumpa w Mar-a-Lago na Florydzie, gdzie rozmawiała z prezydentem elektem. Według włoskiej agencji prasowej Adnkronos „motorem nieoficjalnej wizyty” była sprawa Sala-Abedini. Dzień później rzecznik irańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Esmail Baghaei oświadczył, że aresztowanie Cecilii Sali za „naruszenie prawa islamskiego” nie ma związku ze sprawą Mohammada Abediniego Najafabadiego i że prawdziwym zakładnikiem Zachodu jest właśnie niewinny obywatel Iranu niesłusznie przetrzymywany we Włoszech.

Cecilia Sala została uwolniona 8 stycznia 2025 r., o czym włoskie media poinformowały tuż przed południem. Tego samego dnia, po 20 dniach spędzonych w więzieniu Evin, powróciła do Włoch.

Dziennikarka w podcastach dla platformy Chora Media oddała głos kobietom, które od dziesięcioleci cierpią z powodu tego, co działacze na rzecz praw człowieka nazywają apartheidem płci. Wiele innych dziennikarek i dziennikarzy irańskich przetrzymywanych w więzieniu Evin potrzebuje naszego wsparcia.

Agnieszka Zakrzewicz

eprasa.pl 3e4bb4f431

Libia. Targowisko niewolników XXI wieku

Niewolnika można było kupić za zaledwie 400 dol. „To kawał chłopa, wielki, silny mężczyzna!”, zachwalał handlarz, prezentując towar

Sally Hayden

Z Sudanu do Włoch prowadziła, jak nazywał ją Essey, droga śmierci. Pierwszą trudnością było pokonanie 1,4 tys. km przez Saharę, co trwało tydzień. Żadnych szos, żadnych torów, tylko bezmiar piasku tak nieskończony, że zdawał się planem filmowym albo jakąś psychologiczną sztuczką. Jedzenia i wody pasażerowie mieli niewiele, siedzieli ciasno spakowani na tyle pojazdów w palącym blasku słońca. W każdej chwili ich dżipy marki Toyota Hilux mogły zostać zaatakowane przez jedną z milicji. Kiedy ktoś umierał, porzucano jego ciało. Gdyby ktoś wypadł z auta, kierowca by się nie zatrzymał.

Po zaledwie pół godzinie podróży pewien człowiek oznajmił, że chce wracać. Nie pozwolono mu. „Pamiętam go – mówił później Essey. – Nie wiem, czy żyje, czy zginął”. Ta odmowa uwzględnienia osobistej decyzji stanowiła jasny sygnał: od tej pory jesteście ładunkiem, towarem, który się kupuje albo sprzedaje.

Granica z Libią nie jest wyraźnie oznaczona, ale Essey się domyślił, że ją przekroczyli, ponieważ uzbrojeni Sudańczycy przekazali ich grupę Libijczykom, ludziom o jaśniejszej skórze. Znów ruszyli w drogę i dotarli do miasta oazy Kufra, węzła przemytu wielu osób, gdzie kazano im wejść do jakiegoś budynku. W środku znajdowały się już setki innych czekających na kolejne połączenie. Właśnie tutaj Essey rozmawiał z Merim, nastolatkiem z Asmary, stolicy Erytrei. Spytał go, jak wygląda sytuacja w mieście, nagle spragniony opowieści o miejscu, w którym wciąż mieszkali jego dziadkowie i z którego uciekła kiedyś jego matka. (...)

Wielu uchodźców pada ofiarą handlarzy niewolników. Zaledwie części z nich udaje się uzyskać oficjalną pomoc. Nz. migranci przed siedzibą Wysokiego Komisarza ds. Uchodźców w Trypolisie, październik 2021 r.

Następnie powieziono Esseya w głąb kraju. Kiedy jechali nieznanymi traktami, uzbrojeni strażnicy poinformowali grupę, że będzie trzeba zapłacić tysiąc dolarów poza kwotą, którą już uzgodniono. Nie było dyskusji, a zbliżający się przystanek miał być najgorszym w dotychczasowej drodze. Libijskie miasto Bani Walid, dawną fortecę Al-Kaddafiego, migranci nazywają miastem duchów, ponieważ mnóstwo ludzi zniknęło tu bez śladu, nie obowiązują w nim absolutnie żadne prawa. Na obrzeżach są rozsiane zamknięte zespoły zabudowań, m.in. hal magazynowych; w jednej można upchnąć do 3 tys. osób.

Szefem uzbrojonych mężczyzn, którzy zapędzili ich jak owce do tych magazynów, był Erytrejczyk z ksywką Wedi Babu. Krewni Esseya znali Wediego Babu osobiście, więc on założył, że może zaufać przemytnikowi, choć człowiek ten nie znajdował się w Libii. Podobno prowadził fajne życie w Dubaju, kierując współpracownikami na odległość.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3e4bb4f431

Wraz z Esseyem w magazynie w Bani Walidzie trzymano ok. 500 osób – kobiet i mężczyzn. Spali na wykładzinie rozłożonej bezpośrednio na ziemi. Były tylko cztery toalety ze złym odpływem. Zbiorniki z wodą należało przywozić ciężarówkami, dlatego szansa na prysznic przypadała w najlepszym razie raz na dwa tygodnie, a i tak Essey nie miał mydła. Szybko zaatakowały go różne infekcje, ubranie miał ciągle brudne. Czuł zmęczenie hałasem. Ludzie gadali dniem i nocą, bez przerwy. Upakowano ich tu tylu, że mieli mnóstwo powodów, by nie spać. Kłócono się o wszystko, nawet o to, kto zajmuje który skrawek podłogi. Essey ulegał wrażeniu, że życie jest paskudne. Czuł się wątły i kruchy w porównaniu z wieloma współtowarzyszami. Inni Erytrejczycy wyglądali na twardszych: niektórzy mieli za sobą służbę w wojsku albo pracę w więzieniu. Essey podupadł na zdrowiu, osłabł.

Niedługo po przyjeździe zapędzono go do kolejki do telefonu, by po raz pierwszy zadzwonił do rodziny. „Kupiłem cię – usłyszał od jednego z uzbrojonych strażników, zanim dotarł do aparatu. – Na razie jesteś bezpieczny". Groźba ta zawisła w powietrzu. Rozmowa telefoniczna miała potrwać zaledwie kilka bezcennych minut: nie było czasu na wymianę uprzejmości. Essey musiał wyjaśnić matce, gdzie jest i że dobił z tymi ludźmi targu, zanim poda jej kwotę, jaką ma zebrać, a także numer konta, na który powinna ją wpłacić. Każdy z uchodźców miał osobisty kod, który rodzina wpisywała, dokonując płatności. Bicie zaczęło się dopiero po kilku pierwszych rozmowach telefonicznych.

W ciągu dwóch pierwszych miesięcy rodzina Esseya zebrała 5 tys. dol., ale on w magazynie przesiedział siedem. Po dokonaniu każdej transakcji szmuglerzy znajdowali szereg wymówek, dlaczego opóźniają umieszczenie chłopaka na łodzi: a to sztorm na morzu, a to konflikt w nadmorskim mieście Sabrata. „*Inshallah bukra* – powiadali uzbrojeni mężczyźni, kiedy ich pytano. – Jeśli Bóg zechce, jutro". (…)

•

Wtedy wiedziano już, że Libia to targowisko niewolników XXI w. Czwarte największe państwo na kontynencie afrykańskim, którego ponad 90% zajmuje pustynia, zapewniało mnóstwo przestrzeni dla zakazanych interesów, mogły tam rozkwitać. Przemyt i handel ludźmi miały się tu dobrze od dawna. W maju 2017 r., kilka miesięcy po przybyciu Esseya, główna prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego, Fatou Bensouda, określiła Libię mianem targowiska, na którym handluje się istotami ludzkimi. Poinformowała Radę Bezpieczeństwa ONZ, że jej biuro zbiera dane dotyczące popełnianych tam zbrodni na migrantach i uchodźcach i że rozważa wszczęcie oficjalnego śledztwa, aby ustalić osoby za to odpowiedzialne. W tym samym roku CNN International pokazało coś, co zszokowało opinię publiczną na świecie. Dziennikarze stacji pod przykrywką sfilmowali aukcję migrantów w Libii: niewolnika można było kupić za zaledwie 400 dol. „To kawał chłopa, wielki, silny mężczyzna!", zachwalał handlarz niewolników, prezentując towar. W rezultacie na sesji nadzwyczajnej zebrała się Rada Bezpieczeństwa ONZ, stworzono też siły zadaniowe afrykańsko-unijne, ale w sumie niewiele to wszystko dało.

Handel ludźmi trwał. Kiedy człowiek jest zdesperowany, lekkomyślnie rzuca się na każdą możliwość, nawet oddaje się w szpony systemu, który go kupuje i sprzedaje. Libijczycy o nieco jaśniejszym kolorze skóry tych o ciemniejszej skórze nazywali *abid*, czyli „niewolnik". Uchodźcy, z którymi rozmawiałam, a którzy przejechali przez Libię, mówili, że nauczyli się reagować na to słowo.

Przemytnicy za swoje usługi mają różne ceny dla różnych narodowości. Somalijczycy i Erytrejczycy płacili tysiące, czasem nawet dziesiątki tysięcy dolarów. Podobnie Etiopczycy i Azjaci, zwłaszcza mieszkańcy Bangladeszu, natomiast zachodni Afrykanie i Sudańczycy mniej – zaledwie 300 dol. (…)

Często wiele zależy od szczęścia albo pecha. Pewien Sudańczyk opowiadał mi w Libii, że każdy, kto z nim podróżował, zapłacił co najmniej 3 tys. dol. w różnych ratach, ale jego znajomą Somalijkę skasowali aż na 60 tys. Dla kobiet i dziewcząt ceny były zazwyczaj wyższe, ponieważ rodziny bały się o ich bezpieczeństwo i cześć. Niektórzy szmuglerzy dawali możliwość zmniejszenia opłaty w zamian za seks. Po otrzymaniu pieniędzy przelewano je na rachunek bankowy w Dubaju, Chartumie lub Stambule systemem zwanym *hawala*, alternatywnym kanałem wymiany finansowej, który działa poza normalnym obiegiem i trudno go namierzyć. (…)

Tymczasem w Szwecji erytrejska dziennikarka i aktywistka Meron Estefanos adaptowała się do nowej, dziwnej rzeczywistości: kontaktowali się z nią regularnie ludzie z magazynów przemytników, którzy nie mieli do kogo się zwrócić. Pierwsze telefony od tych przerażonych nieszczęśników zaczęła odbierać w 2011 r.; byli to Erytrejczycy przebywający na egipskiej pustyni Synaj, przez którą biegł kiedyś popularny szlak migracyjny do Izraela. Opowiadano jej przez telefon o torturach, proszono o wpłatę nawet 40 tys. dol. za osobę. Według szacunków Estefanos w ciągu pięciu lat przyjaciele, rodzina i wspomożyciele z erytrejskiej diaspory wpłacili łącznie miliard

Kupowanie i sprzedawanie ludzi w Libii nie odbywało się po kryjomu. W internecie znalazłam dziesiątki postów ze wstrząsającymi zdjęciami jeńców.

Państwo, którego ponad 90% zajmuje pustynia, zapewniało mnóstwo przestrzeni dla zakazanych interesów.

eprasa.pl 3e4bb4f431

dolarów okupu, aby wyswobodzić uwięzionych. Gdy to Libia stała się głównym ośrodkiem przerzutu, szmuglerzy – zdaniem dziennikarki – uzyskali mniej więcej taką samą kwotę. „Wymuszenia [od uchodźców] trwają nieustannie", stwierdziła. (…)

•

Dopiero gdy rodzina wpłaciła pełen okup, Esseyowi pozwolono wyjść z hali magazynowej. Im dłużej tam przebywał, tym bardziej przyzwyczajał się do zasad funkcjonowania wielkiego kompleksu. Operowało w nim co najmniej pięciu wysokiej rangi przemytników. Każdy miał własne budynki: domy, czasem rozliczne magazyny do przechowywania migrantów. Essey wiedział, że znajdują się tylko 20 minut jazdy samochodem od miasta Bani Walid, ale wydawało się, jakby to był środek pustyni. Władze nigdy tu nie zaglądały, musiały jednak zdawać sobie sprawę z istnienia tej „spółdzielni".

Szczególnie złą sławę miało dwóch szmuglerów. Tewelde Goitom, pseudonim Welid, mały, tęgi mężczyzna, słynął z gwałtów na wielu kobietach i dziewczętach. Drugi, Kidane Zekarias Habtemariam, wysoki i łysy, zdawał się czerpać przyjemność z zadawania bólu – bił swoich podopiecznych jak zwierzęta. Ci dwaj żyli niczym królowie. „Czuli się potężni – wspominał Essey. – Znajdowali się wśród tłumu biedaków i kontrolowali ich. [Jeńcy] nie mogą nigdzie chodzić. Nie mają nic: jedzenia, wody, ubrań, a [przemytnicy] mają samochody, którymi jeżdżą tylko po obozie. Mają domy, napoje, wszystko".

Do magazynu Kidanego wpakowano łącznie ok. 900 mężczyzn, kobiet i dzieci. Toalety były trzy. „Absolutne przeludnienie, nie da się spać, nie ma miejsca na tyle osób – opowiadał Aaron, Erytrejczyk przetrzymywany tam od czerwca 2017 do maja 2018 r. – Temperatura jest bardzo wysoka, człowiek się dusi. Pije wodę z kibla, myje się w kiblu. Ludzie umierają z głodu".

Zaraz po przyjeździe Aaron usłyszał, że ma dług w wysokości 10 tys. dol.– znacznie większy, niż się spodziewał. „Osobiście nic by mnie to nie obeszło, gdyby tylko szmuglowali. Po to przecież wybrałem się do Libii – mówił ów młody człowiek, który w Bani Walidzie wylądował jako 19-latek. – Ale gwałcili dziewice. Bili ludzi na śmierć. Czerpali z okupów ogromne pieniądze od każdego z nas, a mimo to stosowali wszelkie narzędzia tortur… Głodzili ludzi, wielu z nich zmarło".

W trakcie dwuminutowych rozmów rodzice i rodzeństwo Aarona prosili o jakiekolwiek informacje. Niekiedy strażnicy specjalnie bili więźnia podczas takiej rozmowy, by jego krzyki zmiękczyły krewnych. „Nie musieli bić wielu, bili tylko kilku, ale mocno", mówił Aaron. Według niego Kidane pokazywał jak na wystawie ciężko rannych ludzi, aby inni wiedzieli, co ich czeka, jeśli szybko nie zapłacą. „Jednego gościa pobili kablami elektrycznymi. [Kidane] maltretował go tak, że ten prawie umarł. Własnymi rękami. Na szczęście [ten człowiek] przeżył".

Aarona, podobnie jak Esseya, uderzyło to, jak szybko kruszało w tym środowisku wszelkie człowieczeństwo. Z czasem doszedł do wniosku, że ci w magazynie już nie są istotami ludzkimi. Przypominali raczej „stado zwierząt czekających na rzeź albo sprzedaż", jak to ujął. Doświadczał „bicia, głodu, szaleństwa i tym podobnych", tak samo jak inni więźniowie. Widział umierających ludzi.

Kidane i Welid byli przyjaciółmi, łączyły ich żądza pieniędzy, sadyzm oraz przyjemność czerpana z zabawiania się osobami pozostającymi pod ich władzą. Czasem organizowali mecze piłkarskie; każdy osobiście wybierał sobie drużynę spośród słabowitych uchodźców. Jeśli któryś z zawodników nie trafił w bramkę, przemytnicy chętnie strzelali im pod nogi, celowo chybiając, ale jednocześnie ich terroryzując. Zwycięzca mógł sobie wybrać jedną spośród więźniarek i zgwałcić.

Do wykorzystywania seksualnego najczęściej dochodziło w barakach Welida. Byli więźniowie opowiadali mi, że znali osobiście kilka kobiet, które w wyniku gwałtu urodziły dziecko. Podobno Welid nagrywał te stosunki, a potem groził, że gdyby kobiety chciały zeznawać, zamieści filmy w internecie. Jeden z Erytrejczyków pamięta strażnika Welida chodzącego z telefonem, którym uwieczniał gwałty; inni strażnicy zachęcali potem wszystkich, by na to patrzyli. Pewnego razu Welid zauważył, że jeden z jeńców rozmawia z przyjaciółką, i kazał mu natychmiast odbyć z nią stosunek. Mężczyzna odmówił, więc został pobity. Niektóre kobiety nie miały innego wyjścia, jak tylko zapłacić za podróż do Europy własnym ciałem. Welid odmawiał wypuszczenia mężatek nawet wtedy, gdy mu zapłaciły, chyba że pozwolą się zgwałcić. Przemytnik wybierał sobie jakąś kobietę lub dziewczynę, która mieszkała w jego domu i gotowała mu posiłki; kiedy się nią znudził, znajdował inną. (…)

Przemytnicy za swoje usługi mają różne ceny dla różnych narodowości.

Welid miał dwa magazyny, w których uchodźcy przebywali średnio rok. Najbardziej zdesperowani próbowali odbierać sobie życie, ale w kompleksie panował taki tłok, że na ogół to zauważano i udaremniano. Kilku odważnych chciało zwiać, jednak szybko docierało do nich, że są bez szans. (…)

Smutna prawda w owym czasie była taka, że nawet ci, którym udawało się zapłacić okup i przetrwać w ekstremalnych warunkach niewoli, mieli coraz mniejszą szansę na przepłynięcie przez Morze Śródziemne. Uchodźcom wciąż się wydawało, że ten kontynent jest bastionem praw człowieka, gdzie będą mogli wieść wolne, szczęśliwe życie. Nie wiedzieli, że wydawane są ogromne sumy pieniędzy, aby nigdy tak się nie stało.

Wsparcie UE dla libijskiej straży przybrzeżnej miało istotny wpływ na działania szmuglerów w tym kraju. Po tym, jak straż zaczęła przechwytywać łodzie pełne uchodźców, zaczęto mówić, że morze jest zamknięte. Informację tę przekazywano

eprasa.pl 3e4bb4f431

kanałami szmuglerskimi, dlatego nowi uchodźcy chwilowo przestali napływać z Sudanu do Bani Walidu. Pozbawienie dopływu pieniędzy stało się dla szmuglerów bodźcem do jeszcze brutalniejszego eksploatowania ludzi, nad którymi mieli kontrolę. Zaczęli ich wymieniać między sobą. Wtedy za każdym razem mogli żądać nowego okupu w wysokości tysięcy dolarów bez względu na sumy wpłacone wcześniej.

W końcu nadeszła kolej Esseya. W sylwestra, ostatni dzień 2017 r., jego grupie oznajmiono, że stanowi teraz własność kogoś innego, ponieważ ich dotychczasowy przemytnik, Wedi Babu, dosłownie przegrał ich w dubajskim kasynie. 400 ludzi pozostało w swoim baraku, ale już nie mogło go opuszczać, cały proces zaczynał się na nowo. Cenę wywoławczą za szansę dostania się do Europy ustalono na 5 tys. dol., choć w rzeczywistości ludzie ci wiedzieli, że po prostu kupują sobie życie.

•

W całej Etiopii, Erytrei, Somalii i Sudanie rodziny występowały z publicznymi apelami do bogatszych krewnych albo żebrały na targach czy pod kościołami o pomoc, aby wykupić więźniów i umożliwić im opuszczenie Libii. (…) Coraz częściej stosowano też bardziej nowoczesną metodę zbierania środków: za pośrednictwem mediów społecznościowych. (…)

Zaczęłam przeszukiwać internet i znalazłam dziesiątki postów ze wstrząsającymi zdjęciami jeńców trzymanych w Libii, a obok nich numer telefonu członków rodziny, którym każdy mógł wpłacić darowiznę. Do zdobywania pieniędzy wykorzystywano Facebooka, WhatsAppa i Twittera. Oto kolejny dowód, że kupowanie i sprzedawanie ludzi w Libii nie odbywało się po kryjomu. Facebook jest w tym kraju popularny, podobnie jak w całej Afryce Północnej, jest platformą i debaty politycznej, i dezinformacji. (…) Najbardziej zaszokowało mnie tak bezczelnie jawne pokazywanie handlu ludźmi. Jakże ostry kontrast z tymi wszystkimi modelowanymi selfikami czy aktualizacjami statusu znanymi z Europy! Branża pozyskiwania niewolników prezentowała się w internecie każdemu, kto chciał ją zobaczyć.

Na zdjęciach, na które trafiłam, jeńcy mieli twarze przyciśnięte do ziemi albo błagalnym wzrokiem wpatrywali się w obiektyw. Jedna z kobiet, z rękami i nogami skrępowanymi z tyłu, leżała twarzą w kałuży rdzawych wymiotów albo krwi, obok walał się elektryczny oścień do poganiania bydła. Fotka miała ponad 1,2 tys. udostępnień, 273 lajki, serduszka i zapłakane emotki – ikony niezbyt pasujące do horroru, jaki ukazywała. Z sufitu zwisał skuty kajdanami mężczyzna, ktoś stojący poza kadrem przystawiał mu pistolet do głowy; to zdjęcie miało 418 polubień, emotki ze łzami i gniewem, 1,8 tys. komentarzy i 3,9 tys. udostępnień. Na innej facebookowej fotce, może mniej wstrząsającej niż inne, choć pod wieloma względami bardziej złowieszczej, widać dwoje ludzi siedzących z dziećmi. Cena za ich życie, zapisana nad głowami, wynosiła 4,4 tys. dol. (…)

Matki jeńców zakładały na WhatsAppie grupy, w których dzieliły się informacjami. Zdarzyło się, że każda kobieta należąca do takiego forum wyłożyła 10 dol. na uwolnienie pewnego somalijskiego sieroty, za którego nikt inny nie chciał zapłacić. (…)

Kiedy przesłałam Facebookowi zrzuty ekranu z postów torturowanych więźniów z pytaniem, czy platforma o tym wiedziała, jej rzecznik prasowy odparł, że najpierw muszą otrzymać stosowne linki i dopiero potem zajmą stanowisko. „To naprawdę smutny i złożony problem, którego jesteśmy świadomi, a który oznacza rozmaite konsekwencje dla wszystkich zainteresowanych stron – napisał w mejlu rzecznik. – Bez konkretnych linków do zawartości trudno jest w pełni ocenić tę sytuację. Pozostajemy jednak w pełni zaangażowani w rozwiązywanie problemów i stawianie czoła wyzwaniom”. (…)

•

Przemyt ludzi od zawsze był ogromnym biznesem, sięgającym mackami do całej północnej Afryki, przenikającym różne instytucje, organy bezpieczeństwa, gangi przestępcze i rządowe gabinety. Oprócz tych z Bani Walidu działają też inni szmuglerzy, może jeszcze straszniejsi, na innych szlakach przerzutowych. Niektórzy specjalizują się w Afrykanach z zachodu kontynentu. Posługują się zwykle tylko imionami – Abdusalem, Abdulaziz, Abdallah, John – a każdy okrył się ponurą sławą ze względu na preferowany rodzaj okrucieństwa. Byli więźniowie przesyłali mi zdjęcia swoich obrażeń: blizny po oparzeniach, uszkodzone kończyny, obcięte palce. Oczywiście przeżywali też katorgi psychiczne, które nie tak łatwo ująć na fotografii.

Niektórzy uchodźcy mówili mi, że sami prawie dali się wciągnąć w branżę przemytniczą. Jeśli jakiś szmugler kogoś polubi, może go zaprosić do współpracy. Kobiety, pieniądze, broń, narkotyki, dodatkowe porcje jedzenia – wszystko to znajduje się wówczas w zasięgu ręki. Możliwy jest nawet bezpłatny rejs przez Morze Śródziemne do Europy, o ile taki uchodźca odsłuży swoje. Ludzi tych nazywa się *capos*. Po włosku, czyli w języku byłych kolonizatorów Erytrei, znaczy to tyle co „szef”. (…) Część uchodźców rzeczywiście wpadała w pułapkę. Ekscytowała ich możliwość doświadczenia takiej władzy, jakiej nigdy nie zaznali w swojej dotychczasowej beznadziei; więcej niż chętnie zapominali, że zaledwie kilka dni wcześniej sami byli wyłącznie ludzkim towarem. Okładali pięściami innych jeńców, rozkazywali im albo nadzorowali pełne łez rozmowy telefoniczne z rodzinami; gdy kończył się przewidziany czas, wyłączali telefon. (…)

Dla uchodźców Europa jest bastionem praw człowieka, gdzie będą mogli wieść wolne życie. Nie wiedzieli, że wydawane są ogromne sumy, aby nigdy tak się nie stało.

eprasa.pl 3e4bb4f431

O nielicznej grupie najbardziej prominentnych szmuglerów krąży wiele opowieści. Mogą się wydawać plotkami, dopóki któryś z ocalonych nie potwierdzi ich przerażającej prawdziwości. Jeden z owych watażków zgwałcił tyle więzionych kobiet, że jego rywal schwytał i zgwałcił jego córkę – potraktował to jak nauczkę dla niego. Inni chełpili się koneksjami z rządami albo milicjami różnych afrykańskich krajów. Byli dumni ze swoich dokonań. (...)

Liczba ofiar śmiertelnych w Bani Walidzie cały czas rosła. W 2018 r. organizacja Lekarze bez Granic poinformowała, że co miesiąc dostarcza miejscowej fundacji dobroczynnej 50 worków na zwłoki. Fundacja ta zbiera porzucone na ulicach niezidentyfikowane ciała; od poprzedniego roku pochowano już ponad 730 osób. Również w barakach dochodziło do nieustannych tragedii, co zmuszało zwykłych na pozór ludzi do nadzwyczajnych aktów odwagi. Jednym z nim był Abdi, przetrzymywany ponad rok przez szmuglera „gorszego niż diabeł".

Przez pierwsze dwa miesiące uwięzieni otrzymywali makaron dwa razy dziennie. Potem raz dziennie. Wskutek niedożywienia przyjaciel Abdiego bardzo osłabł. „Nie mógł oddychać. Nie wstawał z pozycji leżącej, wypróżniał się tam, gdzie był. Potem zmarł mi na rękach", relacjonował mężczyzna. Abdi nalegał, aby przemytnicy pozwolili mu wziąć udział w pogrzebie przyjaciela. „Słyszałem, że po prostu wyrzuca się ich ciała", miał na myśli ciała tych, którzy zniknęli. Lekceważącym tonem szmugler odrzekł Abdiemu, że jego kolega nie jest jedynym zmarłym, po czym odmówił. „Jeśli nie zabierzesz mnie ze sobą, to lepiej mnie zabij!", krzyknął Abdi. Tę noc przespał obok ciała przyjaciela, a nazajutrz eskortował je aż do miejsca pochówku – grób wykopał sam.

•

Po ponad roku Essey znalazł się w ciężarówce chybotliwie zmierzającej nocą w kierunku wybrzeża. Około 180 osób upakowanych w kontenerach towarowych. Pędzący pojazd prowadził pijany kierowca. Jakieś 60 km na południowy wschód od Bani Walidu przeładowana ciężarówka wpadła do dziury w drodze, zachwiała się, zakołysała i przewróciła. Rozległ się ogłuszający huk, po nim nastąpiła seria głuchych uderzeń. Zginęło 19 osób, w tym dzieci. Po wszystkim kierowca puścił w obieg butelkę whisky, najwyraźniej wykazał w ten sposób coś w rodzaju skruchy. Dwa tygodnie później ci, którzy nadal żyli, znów znaleźli się na morskim brzegu. Ich nieszczęsny ponton wypłynął w morze.

Fragmenty książki Sally Hayden *Za czwartym razem zatonęliśmy*, przeł. Przemysław Hejmej, Post Factum / Sonia Draga, Katowice 2024

LIST

Pogarda dla rozumu Polaków

Niektórzy aspirujący do władzy politycy mają w tak głębokiej pogardzie rozum Polaków, że – zorientowawszy się, jak zmalała popularność ich własnych formacji politycznych – zaczęli udawać obywatelskość i niezależność. Jeden powtarza słowo w słowo poglądy prezesa partii i wychwala jego odrzucone przez wyborców rządy, będąc przy tym dyrektorem ogólnonarodowej instytucji pamięci (!). Drugi jest współprzewodniczącym ugrupowania politycznego i z nieodłącznym uśmiechem stawia się poza jego nawiasem. Obaj najwidoczniej sądzą, że Polacy łatwo dadzą się uwieść magii słów. Po części rzeczywiście tak jest: wystarczy zakrzyknąć wielkie słowo i już usta się otwierają do krzyku aprobaty, a ręce składają do oklasków – bez chwili refleksji, co za hasłami kandydata się kryje. Tak już na progu kampanii wyborczej ujawniają się najgorsze antytezy demokracji: kłamstwo, oszustwo, obłuda, chytrość, podstęp, przeniewierstwo. I to w sytuacji zagrożenia, która wymaga silnych charakterów. Jak to wróży Polsce na przyszłość?

Krzyżami okładają swoich przeciwników ci, w których sercach nawet z lupą nie można dostrzec chrześcijańskich wartości. A swoją drogą, liberalni wyznawcy swobód mogliby czasem się zająknąć, że jest takie chrześcijaństwo, także prawosławne i ewangelickie, i taki pielęgnujący je Kościół, bez którego trudno sobie wyobrazić polskość. I wykazać, że wrażliwość na głos trąbki ułańskiej nie jest równoznaczna z podfruwaniem na wyrwanym z pleców rycerza skrzydle husarskim. Znane są wielkie patriotyczne zasługi osób niereligijnych i wypominanie im braku „genów polskości" (nieświadomy – u historyka! – język himmlerowski), jak to uczynił w ślad za swoim mentorem, a poniekąd za wszystkimi „kaczystami", kandydat na prezydenta wszystkich Polaków, jest narodowym samobójstwem.

Inni się okładają niedoszłą edukacją. Jest naturalne, że politycy odczuwający jej brak chcieli zdobyć dyplom ukończenia studiów wyższych, a nawet to, że szukając tej możliwości na pewnej uczelni, nie musieli wiedzieć o jej głównym celu, jakim była szybka i ułatwiona produkcja kadr nowej „elity" politycznej. Władza ludowa też budowała swoją uczelnię, więc tradycje były. W przypadku jednego studenta znamienne jest to, że po pięcioletnich studiach w Szkole Wyższej Psychologii Społecznej nie wybrał możliwości doprowadzenia tych studiów do końca, ale szukał drogi na skróty. W przypadku drugim też nie byłoby żadnego uchybienia, gdyby były student, zamiast plątać się w zeznaniach, oświadczył po ludzku: tak, chciałem uzyskać dyplom koncesjonowanej uczeni. Tu również zabrakło szczerości.

Pamiętajmy, że zgodę na powstanie tej uczelni wydał Jarosław Gowin, a nie jeszcze jeden aspirant do godności prezydenckiej, który chciał co najwyżej korzystać z jej owoców, bo chodziły mu po głowie różne podobne instytucje, które równoważyłyby działalność dwóch istniejących akademii, warszawskiej i krakowskiej. Ta nowa miała być przewrotem kopernikańskim.

Andrzej Lam

eprasa.pl 3e4bb4f431

1

GRENLANDIA
jeszcze nie w USA

Donald Trump nie porzucił planu z poprzedniej kadencji prezydenckiej – odkupienia i przyłączenia do Stanów Zjednoczonych Grenlandii, autonomicznego terytorium zależnego Danii. „Posiadanie i kontrola nad Grenlandią jest absolutną koniecznością", stwierdził prezydent elekt. Oświadczył też, że nie wyklucza użycia przymusu ekonomicznego i militarnego w celu przejęcia kontroli nad Kanałem Panamskim i Grenlandią. Premier Grenlandii Múte B. Egede opublikował na Facebooku oświadczenie: „Grenlandia jest nasza. Nie jesteśmy na sprzedaż i nigdy nie będziemy". Natomiast duńska premier Mette Frederiksen stwierdziła, że Grenlandia należy do Grenlandczyków, ich dążenia do niepodległości są uzasadnione i dlatego ważne jest, aby przyszłość Grenlandii była kształtowana w [stolicy Grenlandii] Nuuk".

5

eprasa.pl 3e4bb4f431

1. Odchodzące w przeszłość psie zaprzęgi stanowią nie lada gratkę dla turystów.
2. Inuci, rdzenni mieszkańcy Grenlandii, stanowią 88% z niespełna 56 tys. mieszkańców wyspy.
3. Nuuk to jedna z najmniejszych stolic świata.
4. Grupa Inuitów w tradycyjnych strojach wita turystów.
5. Prognozy naukowców są pesymistyczne. Z powodu globalnego ocieplenia pokrywa lodowa szybko znika, powodując nieodwracalne zmiany w ekosystemie.
6. Długość utwardzonych dróg na Grenlandii jest symboliczna. Szybkie pokonanie dłuższych dystansów zapewnia komunikacja lotnicza.
7. Podstawowym środkiem transportu dla większości mieszkańców są quady i skutery śnieżne.

2

3

4

6

7

FOT. AP/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK (6)

eprasa.pl 3e4bb4f431

(Bez)zębne 600+

Minister Leszczyna rzuciła rekordowe 600 zł na leczenie zębów w ramach NFZ. Co z tego, skoro umowę z funduszem ma coraz mniej gabinetów, a na leczenie kanałowe nadal trzeba iść prywatnie?

Kornel Wawrzyniak

Za znieczulenie przy wyrywaniu zęba nie można dopłacić. Trzeba albo wybrać standard oferowany przez NFZ, albo z niego zrezygnować i płacić z własnej kieszeni.

Jeśli chodzi o świadczenia zdrowotne związane z leczeniem zębów, rok 2024 był rekordowy. Z puli 156,8 mld zł NFZ dorzucił na nie ok. 3,3 mld zł. To zmieniło stawkę roczną na leczenie zgryzu u jednego pacjenta, z dotychczasowych 55 zł na 88 zł. Podwyżka wywoływała u zorientowanych pusty śmiech – koszt najtańszej plomby wynosi ok. 100 zł. Sprawę niedofinansowania leczenia dentystycznego w ramach NFZ opisywaliśmy już w tekście „Polski zgryz" (nr 34/2023).

Rząd szpanuje kasą

Dotychczasowa sytuacja była tak fatalna, że w ramach NFZ głównie wyrywało się zęby. Żaden inny zabieg nie opłacał się ani gabinetom stomatologicznym, ani pacjentom. Niektórzy stomatoldzy twierdzili wręcz, że leczenie w ramach NFZ przy tak marnej jakości materiałów jest niezgodne z przysięgą Hipokratesa. W 2025 r. padł kolejny rekord zębnych wydatków. Według portalu Infor.pl od 3 stycznia pojawiło się tzw. 600+, co oznacza nawet 600 zł rocznie na leczenie zębów. Rekordowy jest też budżet. Według planu finansowego na 2025 r. na leczenie stomatologiczne Narodowy Fundusz Zdrowia ma przeznaczyć prawie 4 mld zł. I chociaż brzmi to imponująco w kontekście poprzednich lat i kwot niestarczających na porządną plombę, nie jest tak różowo, jak mogłoby się wydawać. Zacznijmy od tego, że według prognoz agencji badań rynku PMR Market Experts w 2024 r., wartość rynku usług stomatologicznych osiągnęła ok. 16 mld zł. 4 mld zł z Ministerstwa Zdrowia są więc jak kropla w morzu. W kolejnym badaniu PMR Market Experts prognozuje, że rynek usług dentystycznych w latach 2024-2029 będzie rósł średniorocznie o jakieś 9%.

> 4 mld zł z Ministerstwa Zdrowia to jak kropla w morzu.

Koszyk świadczeń stomatologicznych w ramach NFZ zmienił się. Nowych świadczeń jest wiele. Można tu wymienić m.in.: pantomogram dla pacjentów leczonych endodontycznie i protetycznie, świadczenia dla dzieci „niewspółpracujących", które będą poddawane znieczuleniu ogólnemu, nowe zasady odbywania wizyt adaptacyjnych przez najmłodszych. Będą też protezy overdenture oparte na korzeniach i rozszerzone procedury w przypadku zwichniętych zębów. Większość nowych pozycji dotyczy pomocy dla najmłodszych. Mamy wiele procedur i wielkie pieniądze, które mają być przeznaczane na leczenie.

Ostatecznie dużo to nie zmieni, organizacja pomocy dentystycznej w ramach NFZ pozostaje bowiem taka sama jak dotychczas. Warto w tym kontekście zwrócić uwagę na pewien szczegół retoryczny. Decydenci chwalą się poszerzeniem zakresu świadczeń, co ma pozwolić, tu podkreślmy, „zaoszczędzić" pacjentom pieniądze. Takie sformułowanie uwierzytelnia tylko fakt, że nasze społeczeństwo

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3e4bb4f431

od dawna przyzwyczajone jest do sprywatyzowanej opieki stomatologicznej. Rządzący potwierdzają jedynie, że doskonale znają obecny stan rzeczy. Nie ma w Polsce publicznego dbania o zgryz. Państwowo można co najwyżej ograniczyć część kosztów związanych z leczeniem uzębienia. Dodatkowo przez cały zeszły rok konsekwentnie z miesiąca na miesiąc rosły ceny usług stomatologicznych. We wrześniu 2024 r. portal Infodent informował, że dynamika wzrostu cen wyniosła 8,6% rok do roku. Powiększenie zębnego budżetu przez NFZ jest więc niczym innym jak odpowiedzią na zmiany zachodzące na rynku usług stomatologicznych, z zachowaniem lekkiej górki.

Gruby portfel w pustym sklepie

Dlaczego 600 zł dorzucone do leczenia zębów niewiele wniesie? Powody są przynajmniej dwa. Po pierwsze, chodzi o niewystarczającą liczbę placówek stomatologicznych współpracujących z NFZ. W 2023 r. działało zaledwie 5,6 tys. gabinetów dentystycznych z refundowanymi zabiegami. Na dodatek mówimy tutaj głównie o większych miastach. Zupełnie inną liczbę podaje Główny Urząd Statystyczny – 2,8 tys. gabinetów. Dysproporcja między danymi wynika z tego, że GUS opiera się na sprawozdaniach placówek, które pracują wyłącznie dla NFZ. Ministerstwo kierowane przez Izabelę Leszczynę chwali się tymczasem, że jeżeli pacjent zgłosi się do dentysty (pracującego oczywiście w ramach funduszu) z bólem, powinien otrzymać pomoc tego samego dnia.

Przyglądaliśmy się już na naszych łamach, jak wygląda to w praktyce. Jedna z rozmówczyń, 33-letnia Amelia, malarka z Warszawy, cztery razy była odsyłana z bólem zęba na pogotowie stomatologiczne. Wszystko dlatego, że stomatolog współpracujący z NFZ, do którego się zgłaszała, miał tak potężną kolejkę, że nie było gdzie wcisnąć nawet szpilki. Jeśli chodzi zaś o pomoc doraźną i nocne dyżury, to w tekście „Gminy przyjmą zęby" (nr 16/2024) obliczyliśmy na podstawie informacji ze strony Pacjent.gov.pl, że w całej Polsce jest zaledwie 40 placówek ze stomatologiczną pomocą doraźną. Z tego trzy znajdują się w Warszawie, a kolejne dwie w Łodzi. Statystycznie więc na jedną placówkę przypada ok. 1 mln Polek i Polaków. Nawet tak duże miasta jak Gdańsk, Wrocław czy Białystok mają tylko jedno pogotowie stomatologiczne. Małe miejscowości i wsie pozostają w sytuacji dramatycznej.

Niektórzy stomatolodzy twierdzili, że leczenie w ramach NFZ przy tak marnej jakości materiałów jest niezgodne z przysięgą Hipokratesa

Z treści interpelacji poselskiej Krzysztofa Mulawy dotyczącej dyżurów stomatologicznych wynika, że od 2017 r., szczególnie w okolicach Ełku, nie funkcjonuje żadna stomatologiczna pomoc nocna czy świąteczna. Według NFZ najbliższe miasta, w których mieszkańcy tych terenów mogą znaleźć ratunek, to Olsztyn i Białystok, czyli odpowiednio 150 km i 100 km jazdy z samego Ełku. Podobnie jest w innych rejonach Polski.

Powiększenie koszyka świadczeń może ten stan tylko pogorszyć. W końcu wystarczy znaleźć gabinet dentystyczny współpracujący z NFZ i domagać się należnych każdemu opłacającemu składki ZUS leczenia stomatologicznego, m.in. trzech przeglądów uzębienia rocznie. Realny zakres usług szybko jednak się wyczerpuje. Można powiedzieć, że Ministerstwo Zdrowia zrobiło wiele hałasu o nic.

W rozporządzeniu czytamy, że pacjentowi przysługuje leczenie endodontyczne (tzw. kanałowe) zęba z wypełnieniem jednego kanału ze zgorzelą miazgi. Świadczenie to u dzieci i młodzieży do ukończenia 18. roku życia oraz kobiet w ciąży i w okresie połogu jest udzielane w całym uzębieniu. Zabawa zaczyna się u osób powyżej 18. roku życia, bo tutaj jest tak, jak do tej pory. Świadczenie jest udzielane z wyłączeniem zębów przedtrzonowych i trzonowych. Usługa nie obejmuje opracowania i odbudowy ubytku korony zęba. Co to oznacza w praktyce? Pisaliśmy o tym w zeszłym roku (nr 16/2024). Według specjalistów leczenia kanałowego wymagają najczęściej zęby trzonowe i przedtrzonowe. Świadczenia obejmują więc nie te zęby, które trzeba. Gorzej jest z leczeniem kanałowym, w którym trzeba dwóch, trzech lub czterech wypełnień. To usługa, na którą nie łapie się nikt powyżej 18. roku życia, a także matki w ciąży lub po połogu.

Leszczyna rzuciła też kasą na białe plomby. Problem polega na tym, że chodzi tu tylko o zęby od jedynki do trójki. Od czwórki nadal używa się materiałów gorszej jakości. Warto może zadać sobie w ogóle pytanie, jak często słyszeliśmy o plombach w trzech pierwszych zębach. Nie ma też co chwalić NFZ za zaprzestanie używania amalgamatów do wypełnień. Wycofano się z tego materiału tylko i wyłącznie dlatego, że wyparł go inny produkt. Nadal używa się więc najtańszego wypełnienia, ale to przynajmniej nie jest toksyczne.

W gabinetach bez zmian

Wielkie zmiany, o których pisały media, również są zasłoną dymną, którą Ministerstwo Zdrowia roztacza nad brakiem logicznych działań. Część świadczeń w nowym rozporządzeniu obowiązywała już wcześniej, np. leczenie ortodontyczne do ukończenia 12. roku życia czy leczenie kanałowe od jedynki do trójki. Ktoś przepisał do rozporządzenia część procedur, które już były na stole, zamiast zawrzeć to w formułce: „dodajemy takie a takie nowości z zachowaniem poprzednich świadczeń". To sprytna zagrywka PR-owa pod mediaworkerów, którzy bez większej refleksji przepisują otrzymane materiały prasowe.

Tym sposobem koszyk świadczeń stomatologicznych sztucznie spuchł i zrobiło się wielkie halo. Zakres świadczeń oczywiście się powiększył, ale nie na tyle, na ile mogłoby

eprasa.pl 3e4bb4f431

początkowo się wydawać. Nie zmieniła się za to rzecz, o której specjaliści i pacjenci mówią od lat. A to kwestia fundamentalna, jeśli chcemy debatować o realnej zmianie w opiece stomatologicznej w ramach NFZ. Jeżeli korzystamy z usług dentysty, który ma kontrakt z funduszem i decydujemy się na świadczenia refundowane, nadal nie ma możliwości dopłacania do standardu wyższego, niż oferuje NFZ. Tym sposobem nie można dopłacić za znieczulenie przy wyrywaniu zęba. Trzeba zatem albo wybrać standard oferowany przez NFZ, albo przy danym świadczeniu z niego zrezygnować i płacić z własnej kieszeni.

W zeszłym roku problem z opieką stomatologiczną rozpoznały również niektóre gminy, które próbowały dołożyć pieniędzy gabinetom działającym na podstawie umowy z NFZ. Paweł Barucha, wiceprezes Naczelnej Rady Lekarskiej i szef Komisji Stomatologicznej NRL mówił, że problemem jest brak środków na pracę stomatologów: „W Poznaniu miasto dofinansowywało dyżury i chętni do pracy w nocy i święta się znaleźli. Koszty są wyższe niż w dzień. (...) Nikt też nie przyjdzie do pracy w niedzielę lub nocą, jeśli mu się to nie opłaci. Trzeba więc zapłacić wyższą stawkę, bo i praca jest specyficzna. W nocy zjawiają się pacjenci z największymi problemami, którzy od dłuższego czasu odkładali leczenie".

Decydenci chwalą się poszerzeniem zakresu świadczeń, co ma pozwolić pacjentom „zaoszczędzić" pieniądze.

Gminą, której udało się zrealizować dopłaty do programów stomatologicznych, był Kleszczów. Pomoc dentystyczną pacjenci dostawali tam w aż czterech gabinetach, i to na poziomie usług ponadpodstawowych, czyli spoza koszyka NFZ. Niestety, okazało się, że decydentom z Kleszczowa nie udało się przetrzeć szlaku dla innych. Każdy program musi być pozytywnie zaopiniowany przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. W gminie Gostycyn podobny program do tego z Kleszczowa został zaopiniowany negatywnie. Powodem było wskazanie przez wnioskodawcę interwencji znajdujących się w wykazie świadczeń ogólnostomatologicznych. AOTMiT obawiała się, że istniało ryzyko podwójnego finansowania – możliwość powielania u danego pacjenta świadczeń finansowanych ze środków Narodowego Funduszu Zdrowia.

Tym sposobem NFZ monopolizuje usługi, których i tak nie jest w stanie dostarczyć. Problem dziurawej ochrony zdrowia zasypuje się zaś działaniami typowo PR-owymi. To tak, jakby zamiast remontu silnika w maluchu przemalować go pędzlem na złoto i liczyć, że dzięki temu zamieni się mercedesa. Szkoda, że kolejna ekipa w Ministerstwie Zdrowia w taki sposób traktuje uzębienie Polek i Polaków.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3e4bb4f431

Oko w oko

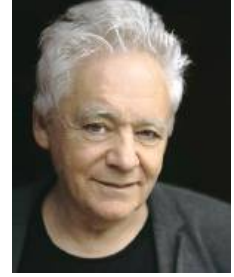

Tomasz Jastrun

Elektrowstrząsy

Obserwuję, jak histerycznie reagujemy na narastające napięcie pomiędzy zwolennikami obozów politycznych. Zdumiewa łatwość, z jaką liberałowie wołają, że zawiedli się na własnym rządzie, śmiertelnie obrażeni grożą, że nie pójdą na wybory, rezygnują z prenumeraty „Gazety Wyborczej". A przecież wiemy, że Duda przeszkadza, a wymiar sprawiedliwości zatruty. Rząd koalicyjny to nieuniknione tarcia, potknięcia i opóźnienia. Nigdzie nie ma partii politycznej bez wad. Nasza bliska znajoma nie będzie głosować na Trzaskowskiego, bo na jej osiedlu w złym miejscu postawili słupki, zabierając część parkingu. Gdzie indziej zdarzył się nepotyzm, nie uwzględniono wyników konkursu na dyrektora placówki kulturalnej. Jasne, trzeba przeciw temu protestować, ale nie wylewać koalicji z kąpielą.

Spotykam B. Ceniona pisarka, a nikt nie chce wydać jej nowej powieści. To też znak czasu. Między słowami nieśmiało ujawnia, że jest pisówką. Zwierza się szeptem, jak z żenującej choroby. Mówię później o tym komuś na ucho, jak stara plotkara: poparz, jaka sensacja, ma wstydliwą chorobę.

•

Ludzie, którzy nie radzą sobie ekonomicznie, widzą świat z innej perspektywy. Przytoczę komentarz z internetu, jeden z wielu w tym stylu: „Drożyzna straszliwa, obszary nędzy się powiększają, obcy nas zalewają, czynsze w górę, prąd, gaz, paliwa w górę, daniny, podatki, opłaty, haracze, podwyżki, państwo niewydolne, bo służba zdrowia leży, bezpiecznie to było za PRL, edukacja kuleje, budownictwa mieszkaniowego brak, system emerytalny dogorywa, opieka nad rodziną i dziećmi to kpina". To wizja karykaturalna, bywa, że nawet ponadpartyjna, ale tak czuje wielu. Ludzie są rozgoryczeni, odtrąceni, zagrożeni przez biedę. Będą zapewne głosować na Nawrockiego, byle coś ruszyć, zmienić – a nuż na lepsze. Nie ma wątpliwości, że motorem pisowskiej kampanii będzie drożyzna. Sam coraz bardziej ją odczuwam, wszystko kosztuje o jedną trzecią więcej niż kilka lat temu, a mnie nikt płacy nie podnosi.

Tymczasem młodszy syn, 14-latek, ma burzę w głowie – co miesiąc jakaś nowa pasja – koszty nie grają roli. Jutro jadę kupować rękawice bokserskie, dwie pary, kiedyś trenowałem trochę boks, to powalczymy na dywanie w salonie. Nie obchodzi mnie własny wiek i to, że młoda panienka znowu ustąpiła mi miejsca w autobusie. A ja bez krygowania się usiadłem.

•

Bywa, że jakaś wypowiedź medialna robi niezwykłą karierę i niesie się po sieci. Historyk prof. Antoni Dudek powiedział o Karolu Nawrockim: „Jeden z bardziej niebezpiecznych ludzi w polskiej przestrzeni publicznej". I to pofrunęło. Dudek współpracował z Nawrockim w IPN i wie, co mówi. A w sądach jest wyważony, kiedyś był nawet trochę propisowski, potem próbował być symetrystą, choć teraz pośrodku mogą być tylko cynicy lub idioci – tak się porobiło. Prezes zareagował w swoim stylu, sugerując, że Dudek ma w biografii jakiegoś „szczura". Okazało się, że to tylko „mysz", a nawet dziecko myszy: profesor jako student był dwa lata w ZSMP – dla prezesa to jednak „szczur" jak się patrzy. Kaczyńskiego tak naprawdę interesują tylko ludzie ze „szczurem" – zbiera materiały i gromadzi teczki dla każdego. Z kolei Mariusz Wójtowicz-Podhorski, były kierownik Muzeum Westerplatte i Wojny 1939, któremu szefował Nawrocki, nazwał go intrygantem, człowiekiem zdolnym do wszystkiego, typem osiedlowego cwaniaczka. „To osoba, która za wszelką cenę i wszelkimi środkami dąży do realizacji prywatnych celów. Człowiek fałszywy, skupiony tylko na sobie, z bardzo dużym ego, łatwy do wyprowadzenia z równowagi". Żadne zaskoczenie – jest czego się bać.

Widać elektrowstrząsy w leczeniu depresji wróciły do łask.

•

Wybór Trumpa to z kolei znak, że prezydentem może zostać każdy. Przypomina się świetna, profetyczna powieść Jerzego Kosińskiego „Wystarczy być" i film, który powstał na jej podstawie. Oto prostolinijny i niezbyt rozgarnięty ogrodnik wkracza do krainy waszyngtońskiej elity, co zostaje bardzo przekonująco pokazane. Dzisiaj więc to, co było fikcją, stało się bolesną rzeczywistością. Trump to jedna wielka kompromitacja amerykańskiego społeczeństwa i upadek mitu Ameryki – sam z trudem się go wyzbywam. Regularnym wariatem jest Javier Milei, prezydent Argentyny. Biorąc jednak pod uwagę fakt, jak mocno zastygły biurokratyczne struktury polityki regionalnej i światowej (Argentyna jest w dużym kryzysie), może się zdarzyć, że szaleńcy – omijając wszelkie konwenanse – zrobią swoim narodom i światu terapię szokową. Widać elektrowstrząsy w leczeniu depresji wróciły do łask, o czym coś wie moja własna głowa.

■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3e4bb4f431

Zakopianina, małyszomania i duch Śpiącego Rycerza

Kiedy tracimy nadzieję, że sezon jeszcze coś dobrego przyniesie, zostaje nam wiara w fenomen zakopiańskiej skoczni

Wojciech Kuczok

Krokiew jest jeszcze częścią masywu Giewontu, a ściśle stanowi zakończenie jego wschodniej grani. Notabene jej początek to tzw. Długi Giewont, najbardziej malownicza grań Tatr Zachodnich, najpiękniejsza z „zakazanych" rezerwatowych wędrówek taternickich, jaką kiedykolwiek przedsiębrałem. Jest zatem ściśle zrośnięta z górą mityczną, pocztówkowym symbolem Zakopanego, w którego grotach dzielni woje pogrążeni w drzemce od wieków czekają na wysokie pobudki. Skoczkowie wzlatują zatem z ramienia Śpiącego Rycerza, by wylądować w oparach „zakopianiny", owego tajemnego fluidu Tatr, o którym niegdyś pisał Witkacy jako o subtelnym narkotyku, stokroć gorszym od dymów opium i haszyszowej marmelady.

I choć owo substancjalne genius loci stolicy polskich Tatr z czasem okazało się narkotykiem nieszczęśliwie demokratycznym – wabi wszystkich równie skutecznie, bramy wtajemniczenia stoją otworem dla milionowej ciżby, która przez nie wchodzi i na tym kończy swoje rozkosze, bo potem ulega potwornej, stadnej, ceperskiej nudzie, której górale skwapliwie próbują zaradzić całym pandemonium atrakcji 7D, tym lunaparkiem i lupanarem ludzkiego ducha.

Małysz Dominator

Ta eteryczna substancja odporna na smog wielokrotnie już dźwigała z martwych gwiazdy polskich skoków, a nawet pozwalała odnosić sukcesy gwiazdkom jednosezonowym.

Dawid Kubacki dobrze skakał tylko na początku pracy Thomasa Thurnbichlera. Teraz często nie wchodzi do pierwszej trzydziestki skoczków. Zakopane, 15 stycznia 2023 r.

Kiedy tracimy nadzieję, że sezon coś dobrego jeszcze przyniesie, zostaje nam wiara w fenomen zakopiańskiej skoczni, na której Polacy wygrywali już 12 razy, także jeszcze w czasach prehistorycznych, przed wybuchem małyszomanii. Zaczęli w 1980 r. Stanisław Bobak na Średniej i Piotr Fijas na Wielkiej Krokwi, a potem minąć musiało z górą 20 lat, by w Zakopanem triumfował kolejny Polak.

U szczytu małyszomanii pod Krokiew ściągnął stutysięczny tłum i w ekstazie świadkował wygranej wiślańskiego luteranina, który naonczas stał się w ultrakatolickim kraju popularniejszy od papieża. Liczebność samobójstw spadała, liczebność narodzin rosła, po czarodziejskich sukcesach mistrza z Wisły ludziom brakowało już pomysłów, by radować się stosownie do jego triumfów – więc się euforycznie rozmnażano, żałując tylko, że w razie spłodzenia dziewczynki nie będzie można znaleźć żeńskiego odpowiednika imienia Adam (aż ktoś rzekł: Eureka! Dziewczynkę nazwiemy Izabela!). Przestaliśmy nazywać tę dyscyplinę skokami, bo nazwisko naszego mistrza stało się jej oczywistym synonimem. Słowniki frazeologiczne wzbogaciły się o utrwalone w języku polskim efekty małyszomanii, tak urocze, jak choćby określenie pozycji kucznej używanej przy defekacji w warunkach polowych – „na Małysza".

Tyle że zachwyt nadludzkimi wyczynami drobnego chłopca z Beskidu Śląskiego niepostrzeżenie przeobraził się w zachwyt zwycięskimi seriami. Już nie samo piękno przełamywania praw odwiecznych radowało; nie to,

eprasa.pl 3e4bb4f431

że ta chudzina jak gdyby nigdy nic przelatywała w powietrzu setki metrów – naród zachłysnął się tym, do czego nie przywykł: niezwyciężonością swojego bohatera. Naród nagle wyrzekł się tego, co tradycyjnie hołubił – ułańska fantazja i genialne zrywy przestały mu imponować – nagle nam się zachciało regularności, precyzji, niezmienności zwycięstw. Wreszcie wszyscyśmy pojęli, jakie to przyjemne kibicować komuś, kto zawsze wygrywa. Polak Dominator był niczym Chrystus Pantokrator, władca wszechświata, supermen w kraju supermeneli, mesjasz nart, Pele i Maradona w jednym, samotny sokół w drużynie nielotów.

Kiepska era Thurnbichlera

A potem, kiedy Małysz przestawał nad poziomy wylatywać, w Zakopanem odradzał się w nim duch zwycięzcy. W styczniu 2011 r. właśnie na Krokwi doszło do symbolicznej zmiany generacyjnej w naszych skokach – weekend ze skokami zaczął się od ostatniego zwycięstwa Małysza, skończył zaś jego bolesnym upadkiem przy lądowaniu, a pucharowy konkurs wygrał po raz pierwszy w karierze Kamil Stoch. Dzięki tym dwóm mistrzom przez ponad dwie dekady przywykliśmy, że skoki są naszą narodową dyscypliną. Szczególnie w Zakopanem szło naszym dobrze, nawet gdy nie szło nigdzie indziej.

Na podium stawali jeszcze Dawid Kubacki i jedyny raz w karierze Andrzej Stękała (bohater niedawnego coming outu, co dla górala z Zakopanego jest aktem odwagi nieporównywalnie większym niż lot w turbulentnych warunkach na skoczni mamuciej). Z małyszomanii zrodziło się pokolenie sportowców wychowanych i metodycznie wytrenowanych na przyszłych mistrzów. Kamil Stoch dorównał niebotycznym osiągnięciom Małysza, Dawid Kubacki i Piotr Żyła dokładali medali i pucharów, spełnił się sen o drużynowej potędze. Tylko że po manii przyszła faza depresyjna, w końcu stało się to, czegośmy się bali podświadomie od lat – mistrzowie się zestarzeli, entuzjazm przygasł i nie każde dziecko już chce latać na nartach.

Być może to nieubłagany cykl, któremu zaradzić nie można – Austriacy rodzą sią w butach narciarskich, a skocznie mają na podwórkach, szanse na narodziny geniusza dyscypliny są tam niepomiernie większe. Być może kopaliśmy się skutecznie z końmi przez 20 lat i wystarczy. Teraz jest kiepsko, jak jeszcze w XXI w. nie było: nasi skoczkowie plasują się w najlepszym razie w drugiej dziesiątce zawodów i gdyby nie pewien błysk Pawła Wąska na Turnieju Czterech Skoczni, gdzie udało mu się wskakiwać do czołowej dziesiątki, nie mielibyśmy na czym budować racjonalnych nadziei na odmianę.

Trenerem naszych lotników jest już trzeci sezon Austriak Thomas Thurnbichler. Pierwszy rok pracy z kadrą przyniósł sukcesy Dawida Kubackiego i Piotra Żyły, ale w następnym było już bardzo kiepsko, dopiero pod koniec zimy Aleksander Zniszczoł zaliczył podium. Teraz właściwie tylko Paweł Wąsek skacze na przyzwoitym poziomie.

Nadzieja w Stöcklu?

Co ciekawe, za plecami Thurnbichlera czai się Alexander Stöckl – przez 13 lat szef potężnej gromadki norweskich triumfatorów, jeden z najbardziej utytułowanych trenerów wszech czasów, dziś dyrektor sportowy ds. skoków narciarskich i kombinacji norweskiej w Polskim Związku Narciarskim. I choć zarzeka się, że trenować nie chce, wydaje się naturalnym kandydatem do przejęcia schedy po młodszym koledze. To ciekawostka analogiczna do tej z boisk piłkarskich – być może najbardziej pożądany coach na świecie, Jürgen Klopp, po rozstaniu z Liverpoolem nie przejął żadnej drużyny jako szkoleniowiec, tylko został Head of Global Soccer w koncernie Red Bulla, czyli „super skautem"– ma się zajmować ściąganiem gwiazd do klubów spod znaku RB. Sądząc po wynikach skoczków Thurnbichlera, Stöckl w roli dyrektorskiej nie powinien wytrzymać zbyt długo – najlepszy trener świata w sztabie reprezentacji toczonej przez najgłębszy od dekad kryzys po prostu się marnuje, pełniąc funkcje pozaszkoleniowe.

Powiada się, że jedynym zawodnikiem, który obdarzył Thurnbichlera pełnym zaufaniem, jest Paweł Wąsek, tegoroczny triumfator Letniego Grand Prix (ale letnie skoki coraz bardziej się marginalizują, wbrew logice klimatycznej czołowi skoczkowie zupełnie sobie odpuszczają zawody wakacyjne, sporadycznie startują jesienią, dlatego zwycięstwa w LGP nie mają przełożenia na wartość zawodnika w sezonie zimowym). Wąsek mógłby budzić niejakie nadzieje jako lider słabującej kadry, ale co to za lider, który nigdy nawet do podium nie doskoczył. I choć w naszej kadrze jest najmłodszy, to przecież dlatego, że jako jedyny nie ma jeszcze trzydziestki na karku – trudno go uznawać za młodą nadzieję skoków.

Zmiana trenera w trakcie sezonu w tej dyscyplinie się nie zdarza, to nie futbol. Nawet gwiazdy, jak niegdyś Małysz, a teraz Stoch, jeśli decydują się na indywidualnego opiekuna, czynią to przed sezonem. To też paradoks, bo czasem zawodnik właśnie w środku sezonu zaskoczy jakąś drobną zmianą i zaczyna dominować. Osiąga nawyk wygrywania czy też pozytywny automatyzm.

Kiedy Małysz wygrywał, robił to seryjnie i nikt za bardzo nie potrafił wytłumaczyć dlaczego. Im dłużej trwa zwycięska passa, tym mniejszy balast ciąży na triumfatorze, bo permanentny zwycięzca już nie musi „uwierzyć we własne siły" – on je po prostu zna. W pewnym sensie zapomina, jak się skacze. Jemu samo się skacze. On wszystkie czynności wykonuje automatycznie, dzięki czemu bezbłędnie. Wygląda to tak, jakby zjeżdżając do progu, myślał o tym, co zje na kolację, lecąc w powietrzu – o tym, z kim ją zje, a lądując, rozważał dobór stosownego wina. Jeśli przestaje odlatywać, problem tkwi wyłącznie w psychice, w nadmiarze woli, która krępuje ruchy, usztywnia, prowokuje do pomyłek w momencie wybicia i przy kontroli lotu.

W obecnym sezonie pozostaje nam myślenie magiczne – wiara w ducha Śpiącego Rycerza i jego tchnienie, które już niejednokroć popychało naszych do lądowania poza punktem K.

■

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 3e4bb4f431

Miłość jest chorobą, która nawiedza mnie atakami

Agnieszka Osiecka: Jestem właściwie bardzo sama. Mam tyle oblicz, ile wynosi chmara wlekących się za mną „zakochanych" – dla każdego inne

Karolina Felberg

W okresie odwilży sentyment do przedwojennych tang oraz standardów ustąpił wreszcie na rzecz ballad. Osiecką fascynowały te przemiany – odzwierciedlały bowiem nie tylko bliskie jej nastroje, ale także klimat społeczno-obyczajowy szóstej dekady XX w. Ballada adekwatnie wyrażała sytuację młodzieży pokiereszowanej mentalnie przez okres socrealizmu. Na język prozy (po)etykę ballady udatnie przekładał starszy od Agnieszki o dwa i pół roku pisarz i publicysta Marek Hłasko. Ich drogi biegły równolegle, ale za kilka miesięcy miały się zacząć krzyżować. Chwilowo jednak Osiecka pochłonięta była gromadką adoratorów z dziennikarstwa.

„Przeżyłam (zupełnie ostatnio) dziwny okres i świadomie zerwałam ze wszystkimi skrupułami w sprawach »sercowych«. Niemalże upajałam się własnym brakiem »moralności« i potencjalnym prostytuowaniem się. Śmiałam się Edkowi w oczy, prawiąc mu, że jest przecież bezsilny, że mogę z nim zrobić, co mi się podoba, bezwstydnie znęcałam się nad nim. Markowi oświadczyłam, że nie zamierzam przestać żartować z Edkiem, a jeżeli mu się to nie podoba – to nikt go przecież nie trzyma, i kokietowałam Andrzeja N[owalińskiego…]", wyznała diarystka 22 maja [1955 r.].

W tym samym zapisku wspomniała, że w związku z chaosem uczuciowym, który sobie zafundowała, zaczęła czuć się dziwnie we własnej skórze:

„Któregoś dnia, kiedy jakoś »sponiewierałam« Edka i wracałam właśnie, pożegnawszy się z nim, do pokoju, spojrzałam na siebie w lustro: potargana, w rozchełstanym szlafroku, rozpieszczony kot w ramionach – »jędza, czarownica« – przemknęła mi myśl. Upajałam się nią przez chwilę. Radowałam się własną okrutną wolnością i śmiałam się z tego, że mogłam kiedykolwiek myśleć, że w stosunku do Marka [Kubery] »obowiązuje« mnie bardzo wiele. […] A potem zorientowałam się, że jestem po prostu Markowa dziewczynka. Znam siebie i swoje chimery »w tych« sprawach. Toteż nie potrafię sobie »zaręczyć«, że taki stan jak teraz będzie u mnie trwał wiecznie: miłość jest chorobą, która nawiedza mnie atakami. Ależ jeśli chodzi o Marka, jedno jest pewne, to jest choroba nieuleczalna".

Pisarka czuła się w związkach stroną „słabszą" i „gorszą" – tą zatem, która bezustannie musi zabiegać.

Zupełnie nie rozumiała swoich uczuć do Mariana vel Marka, vel Markusa Kubery. Przyznała jednak tego dnia, że nie stosuje wobec niego żadnej wyrafinowanej „taktyki" – raczej ulega „typowej […] przekorności" osiemnastoipółlatki: „To tak, jakby tatuś wprowadził grzecznego chłopczyka do cukierni i kazał mu jeść ptysie, [a] chłopczyk ponuro i niechętnie »spełnił rozkaz«. Ale któregoś dnia chłopczyk się zbuntował i chce sam wybierać ciastka. No i wybrał, po namyśle, ptysia".

W czerwcu Osiecka zacieśniła znajomość z krytykiem Grzegorzem Lasotą. Umawiała się z nim na obiady w Bristolu i U Fukiera. Bywała w jego mieszkaniu na Rynku Starego Miasta. Chadzała z nim do pobliskiego Krokodyla. Nie podzielała jego uwielbienia dla Włodzimierza Majakowskiego, on z kolei kpił z jej zachwytów nad Gałczyńskim. Ich gusty godziła scena. Pod koniec 1952 r. Państwowy Akademicki Teatr im. Mossowieta z Moskwy przyjechał na gościnne występy do Polski. Agnieszka widziała np. „Sztorm" na podstawie dramatu Władimira Billa-Biełocerkowskiego. Razem z Lasotą ekscytowała się tą sztuką – z tym że ona ceniła sposób wystawienia, Grzegorz zaś – jej tekst.

Przepadała za przeglądaniem w mieszkaniu Lasoty albumów z reprodukcjami. Najbardziej podobali jej się Marc Chagall, Picasso i van Gogh. Uwielbiała kotkę nowego znajomego – czarną Panterkę, którą Grzegorz karmił dorszami. Jakiś czas temu krytyka opuściła żona – dziennikarka i tłumaczka z języka rosyjskiego Irena Lewandowska. Agnieszka uważała, że Lasota oddałby wszystko za jej powrót. Rozumiała, że w relacjach z nią i innymi dziewczynami poszukiwał li tylko zapomnienia i pocieszenia. To z tej przyczyny brylował tak ostentacyjnie na warszawskich salonach.

eprasa.pl 3e4bb4f431

Pewnego razu Osiecka upiła się likierem z Braciszkiem Regulskim i całowała Janusza „w sposób, jak na »rodzeństwo«, dość nieoczekiwany". W tym samym zapisku dziennym przyznała, że nie byłaby w stanie pójść do łóżka z Grzegorzem Lasotą. Monopol na zbliżenia intymne nadal przyznawała Gaździe. Z kolei wobec Kubery odczuwała mieszankę oporów i rozterek, obiekcji i zobowiązań. Podejrzewała się o „perwersję" polegającą na tym, że mężczyźni bardziej podniecali ją w tańcu niż w łóżku. Nawet z Januszem Gazdą właśnie tak się czuła. (…)

Z Grzegorzem Lasotą było jednak inaczej.

„Jego sposób bycia, który jest swoistą mieszaniną wdzięku, chamstwa i bezpośredniości, stwarza atmosferę pogodnego bezwstydu, w której dobrze się czuję. Przy Grzegorzu mogę prać skarpetki z równą swobodą, co rozprawiać o Dantem, a należę do ludzi, którym pranie skarpetek przy świadkach sprawia dużą trudność. Jestem zwykle nienaturalna. Uważnie, z dużą dbałością o składnię i styl, zawsze w obliczeniu [!] na słuchacza buduję zdania. Panuję nad mimiką, pilnując się [!], aby była równie bogata jak mimika mego otoczenia, co męczy mnie, bo z natury mam twarz nieruchomą. Nie potrzebuję grymasu, nie śmieję się głośno na wesołym filmie", przyznała wiosną 1957 r.

Seks uważała za „haracz za uciechy natury towarzysko-intelektualnej".

W wakacje wybierała się na Wybrzeże po materiał do filmu o Westerplatte. Uważała ten projekt za test. Jeśli Centralny Urząd Kinematografii przyjmie jej scenariusz do produkcji, po dziennikarstwie będzie zdawać do łódzkiej filmówki. Jeśli odrzuci – zostanie w Warszawie i postara się przeżyć z publicystyki kulturalnej, studiując jednocześnie – za radą Lulu Paka – teatroznawstwo lub dramatopisarstwo w PWST. Zrezygnowała jednak z przenosin na stałe do Trójmiasta. Nie chciała bowiem tam utknąć. Marzyła, że kiedy już zostanie sławną artystką, będzie od czas do czasu pomieszkiwać w Gdańsku albo Sopocie. W końcu ten plan ziściła, choć nie zrobiła tego tak prędko, jak zakładała w połowie lat 50. (…)

Pierwsza kobieta

Od dawna marzyła o wakacjach pod żaglami. I wreszcie się udało! Z końcem czerwca wybrały się z Hanką Żurek na Mazury. Żadna z nich nie miała uprawień na łódkę – wynajęły więc kajak w Wilkasach. Na jeziorze Niegocin doznały „oślepienia zachwytem". Jezioro Bełdany olśniło je zielenią. „Upijały się" nim i „nieprzytomnie" pachnącą puszczą. „Czuję się świadkiem objawienia", zanotowała Agnieszka 23 czerwca. Na Bełdanach miała wrażenie, że jej serce się „boleśnie powiększa z zachwytu".

W Rucianem-Nidzie Żurek spotkała znajomego żeglarza. Teo zaprosił dziewczyny na łódkę. „Nie znamy go dostatecznie, więc się decydujemy", stwierdziła Jagusia. Chłopak potwornie je rozczarował. Nie dość, że był panikarzem oraz bufonem, to jeszcze cały czas podrywał Hankę. Wytrzymały z nim dwie doby i wróciły na kajak.

26 czerwca na środku jeziora dopadła je burza. Tuż obok ich kajaka uderzył piorun. Dziewczyny zdecydowały, że kolejnego dnia robią sobie przerwę od wody. „Zostajemy cały dzień w Jagodnie. Jemy rzodkiewkę. Droga lasem aż do Rydzewa. Las pachnie. Zdjęcia w paprociach", zanotowała diarystka dzień później. Kolejnego dnia poznały żeglarzy z Warszawy. Pitrasiły z nimi naleśniki z jagodami, piekły świeżo złowione szczupaki, pływały ich łódką, a wieczorem słuchały przy ognisku śpiewów oraz gry na gitarze. Naturalnie gitarzysta zauroczył się Hanką. Rano studentki wsiadły na kajak i wróciły do Wilkasów. „Życie smakuje jak świeże truskawki – egzaltowała się Agusia 30 czerwca. – Wariacko pachnie jaśminem. Wiem, że to młodość, i panicznie boję się pomyśleć o śmierci". „Przywiązałam się

FOT. PAP/ERAZM CIOŁEK

eprasa.pl 3e4bb4f431

do Hanki jak pies", wyznała w tym samym zapisku. Zdjęcie zrobione Żurkównie w paprociach Osiecka włączyła w 1996 r. do publikacji „Na początku był negatyw" i opatrzyła je podpisem „Hanka Żurek – moja pierwsza kobieta".

Być może po Mazurach zwierzyła się Lasocie ze swojego afektu ku Hance. Krytyk uważał ją bowiem za biseksualistkę. Na krótko przed śmiercią w 2014 r. stwierdził w rozmowie ze mną, że za niespełnieniami miłosnymi poetki stały „jej lesbijskie skłonności, których ona nigdy nie wyrażała". „Opowiadałem już pani, że się kochała w Barbarze Kwiatkowskiej-Lass (to była dla niej miłość idealna). Znały się – zauważył. – Agnieszka czuła do niej platoniczną miłość o charakterze homoseksualnym. Była ukrytą lesbijką i to jest istotny klucz do zrozumienia jej zagubienia pośród mężczyzn. Każdy jej mężczyzna był zupełne inny – to nie miało większego sensu. Zresztą kiedyś pisała, że kobiety ją interesują. Bardzo". Zdaniem Lasoty nieheteronormatywność zawstydzała Osiecką. Wikłała ją w kompleksy. Przekonania publicysty nie przesądzają o płci i tożsamości seksualnej poetki. Pomagają jednak zrozumieć jej związkowo-małżeńskie nieprzystosowanie.

Trudności w relacjach intymnych oraz stanowiące ich pokłosie absmaki, awersje i niespełnienia najpewniej przyczyniły się do tego, że pisarka czuła się w związkach stroną „słabszą" i „gorszą" – tą zatem, która bezustannie musi zabiegać.

Ostatni wieczór czerwca Jagusia spędziła u Wojtka Solarza i jego mamy. Spotkanie z osobami, które uważała za prawe, obudziło w niej poczucie winy względem Kubery oraz Lasoty. Uznała, że to, co z nimi wyprawia, to „zwykłe świństwo".

„Położenie się do łóżka z Grzegorzem jest formalnością – zanotowała 1 lipca – której unikam dla oddrastycznienia tej całej historii w moich własnych oczach. Nawet Grzegorz twierdzi, że nie należy flirtować z dwoma osobami naraz… Ja o tym wiem, ale tego nie czuję". „Rozbestwienie" erotyczne przeżywała jak dotąd raz – w związku z Januszem Gazdą. Poza tą relacją seks uważała za „haracz za uciechy natury towarzysko-intelektualnej". Tamtego dnia stwierdziła, że mogłaby „całe życie przeflirtować z 15 chłopakami naraz, […] wracając z każdej randki z radością do mieszkania", w którym „czekałaby" na nią „uśmiechnięta, pyskata… Hanka". Przyznała, że mimo serdeczności w stosunku do Mariana, snobistycznych uciech, jakie serwował jej Grzegorz, i urody Georgya czy Jurka – w aspekcie „sercowym" mężczyźni w gruncie rzeczy nie bardzo ją obchodzą. (…)

Uważała trójkąt między nią, Markiem a Grzegorzem za rzecz wysoce niestosowną, lecz jednocześnie przyznawała, że jeśli zdecydowałaby się kiedyś na ślub z Marcusem, to i tak przedtem musiałaby „poszumieć".

Upominała się o osoby systemowo wykluczane, choć definiowała je inaczej niż antykomuniści. Postulowała, by partia zaczęła równać w górę, nie w dół.

Tymczasem między nią a Lasotą rosło właśnie erotyczne napięcie, nad którym z wolna traciła kontrolę. Nie chciała jednak, by skutki niedających się już dłużej odwlekać zdarzeń zaważyły na jej przyszłości. Inna sprawa, że przez wzgląd na Marka odczuwała czasem ochotę, by zerwać z Grzegorzem.

Zmaskulinizowane środowisko, w którym żyła i rozpoczynała karierę, nie dawało jej zbyt wielkiego pola manewru. Musiała grać w karty, o których wiedziała, że są znaczone. Gdyby dowolnie mogła modelować relacje z otoczeniem, poprzestałaby pewnie na przyjaźni z Wojtkiem Solarzem i Hanką Żurek. „Uch, żeby ten Wojtek był chociaż trochę… wyższy", pisała w pierwszym dniu lipca, mitygując się jednocześnie, że jak zwykle zachowuje się „ordynarnie".

Obawiała się, że gdyby porzuciła Marka i Grzegorza dla Solarza i Żurek, to za jakiś czas Wojtek znalazłby sobie dziewczynę, Hania – chłopaka, a ona zostałaby „z gromadą obskakiwaczy". „Jestem właściwie bardzo sama. Mam tyle oblicz, ile wynosi chmara wlekących się za mną »zakochanych« – dla każdego inne. Żadne nie jest prawdziwe", stwierdziła w tym samym zapisku.

„Marek", „Sławek", „Andrzej", „Grzegorz", „Stach", „Janusz", „Ludwik", „Georgy", „Stasio", „Waldek" i „Przemek" to były miana jej 11 twarzy. „Może jeden Edek mnie »zna« i kocha ponuro, tak jak niewinni chłopcy kochają wielkie kurtyzany", spekulowała 1 lipca. Poczyniona tamtego dnia w dzienniku spowiedź była jedną z wielu kar, jakie nakładała na siebie niespełna 19-latka. W przeszłości odreagowała odrzucenie ze strony Jerzego Rajskiego stałym umniejszaniem i unieważnianiem siebie, teraz z kolei smagała się bacikiem winy za odtrącenie ze strony Ryśka. Odrzucając „obskakiwaczy", rekompensowała sobie te dwie bolesne straty.

„Jesteśmy jak zbóje z jednej szajki", powiedział jej kiedyś Lassota. Zgadzała się z jego rozpoznaniem. W miłosnym modus operandi bywali do siebie podobni. (…)

Skończona piękność

W początkach lipca udała się do Trójmiasta na kolejne praktyki dziennikarskie w „Głosie Wybrzeża". W drzwiach natknęła się na Janusza Pelza – zabujanego w niej od roku kumpla Lassoty – i razem z nim wkroczyła do siedziby dziennika. Redaktor Wiktor Mielnikow od razu wysłał ją na Żuławy Wiślane – po reportaż o żniwach. Próbowała pogodzić pracę z plażowaniem. Wyjazdy „w teren" sporo ją kosztowały. Uświadamiały jej, że praktyka komunistyczna – mimo IX plenum – nadal nie przekłada się na zasypywanie różnic klasowych. Elity w dalszym ciągu pławiły się w luksusie, a rzesze tonęły w nędzy. Komfort stał się owocem zakazanym. Władza ludowa wmawiała masom, że wygoda oraz przyjemność są grzechem – „burżuazyjnym przeżytkiem", sama zaś korzystała z kastowych przywilejów i zachodnioeuropejskich wynalazków.

eprasa.pl 3e4bb4f431

„Dlaczego wtedy, kiedy się »za jazz« określało ludzi »wrogami« i całe setki tysięcy młodzieży zanudzały się przy »Szła dzieweczka« – świetne orkiestry jazzowe grały w zamkniętych lub półelitarnych miejscach dla »nowej elity«?", zapytywała diarystka w notatce datowanej na 13 lipca. „Ja chcę komunizmu po to, żeby dać człowiekowi luksus świata, a nie żeby wyrzucić go i zastąpić ohydną gazetką ścienną", stwierdzała w tym samym zapisku.

Postulat masowego, a zatem powszechnego dostępu do tzw. luksusu to nic innego jak apel o stworzenie szerokiej oraz silnej klasy średniej. Paradoksalnie w zimnowojennym reżimie nie dążyły do tego ani mocarstwa komunistyczne, ani imperia kapitalistyczne. Osiecka rozumiała ten mechanizm, dlatego jako świadoma obywatelka domagała się równomiernej dystrybucji dóbr. Oburzała się na władzę ludową za reglamentację zbytków. Oczekiwała od niej podjęcia wzmożonych wysiłków w celu jak najszybszego podniesienia komfortu życia tzw. szaremu człowiekowi. Upominała się zatem o osoby systemowo wykluczane, choć definiowała je inaczej niż antykomuniści. Wysuwała postulat, by partia zaczęła wreszcie równać w górę, nie zaś w dół. Chciała, by każda świetlica wiejska była wyposażona w te same udogodnienia, z których korzystały miejskie instytucje kultury. Marzyła, by zarówno redaktor Sierecki, jak i zwykła robotnica fabryczna odpoczywali po pracy w samodzielnych, wygodnych i artystowskich mieszkankach.

Pewnego dnia spotkała w Trójmieście Przemka Helsztyńskiego w towarzystwie ślicznej dziewczyny. Nie mogła nadziwić się, że jeszcze chwilę temu sama była jego wybranką. Źle myślała o własnej aparycji. „Jestem bardzo taniutko ładna", pisała 1 lipca. „Perkaty nos, nieforemny biust, bardzo piękne ręce i dwie brzydkie kiecki na krzyż – oto cała »Agusia«", ironizowała w tym samym zapisku.

Biedziła się w kwestii Marka. Obiecała mu, że go odwiedzi w rodzinnym Stargardzie, a tymczasem wcale jej się nie chciało opuszczać Gdańska. 15 lipca przyznała, że jeśli tęskniła tu za kimkolwiek z Warszawy, to tylko za Hanką. Żurek przesłała jej właśnie „cudowną kartkę" z wyrazami tęsknoty i prośbą o szybki powrót. Zebrała się jednak w sobie i wyruszyła na podbój Stargardu. Pierwsze dni spędziła z Markiem nad jeziorem Miedwie. Zaprzyjaźniła się z jego siostrą Niusią. Wsiąkała w rodzinę Kuberów. Aż tu nagle w Stargardzie zjawił się Grzegorz Lasota. Przed Markiem uzasadniał swój przyjazd obowiązkami reporterskimi w okolicy. Przed Agnieszką nie ukrywał, że przyjechał tu po nią.

Chciała, by każda świetlica wiejska była wyposażona w te same udogodnienia, z których korzystały miejskie instytucje kultury.

Osiecką mierził ten trójkąt. Nie miał ni krzty lekkości, jakiej zdarzało jej się zaznawać przy Ludwiku i Stachu. Mimo wszystko obiecała Lasocie, że wróci z nim do Warszawy. Grzegorz z kolei zafundował jej nie lada gratkę. Zaplanował powrót przez stolicę Wielkopolski, gdzie zamierzał zabrać ją na Międzynarodowe Targi Poznańskie. Dla początkującej reporterki była to propozycja nie do odrzucenia. Organizowane w Poznaniu od 1921 r. targi stanowiły bowiem największą imprezę tego typu w Europie Środkowo-Wschodniej. W biurze prasowym MTP Lasota z Osiecką spotkali Halperna, na wystawie natknęli się natomiast na redaktora naczelnego „Nowych Dróg" Romana Werfla, który zabrał ich swoją „chevroletą" do stolicy.

Wysiedli na placu Zamkowym i udali się do mieszkania Lasoty. Bawiąc się z Panterką, Osiecka poczuła, że „nadeszła chwila" jej „monologu". Zaczęła więc od tego, że nie jest zainteresowana bliższą relacją z Grzegorzem. Powoływała się w wyjaśnieniach zarówno na własne zobowiązania wobec Marka, jak i na uczucia Grzegorza względem Ireny. Lasota przyznał jej rację. Ustalili zatem, że ich znajomość przybierze odtąd przyjacielski charakter. Późnym wieczorem Grzegorz odwiózł Agnieszkę do domu. Żegnając się, poprosił ją o ostatni pocałunek.

Między 31 lipca a 15 sierpnia [1955 r.] w Warszawie odbywał się V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Polską edycję organizował ZMP we współpracy ze Światową Federacją Młodzieży Demokratycznej, korzystając z infrastruktury oddanych właśnie do użytku Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina oraz Stadionu Dziesięciolecia. Rzeczywistym celem tej masowej oraz cyklicznej imprezy kulturalnej było wykazywanie wyższości komunistycznego ładu na Wschodzie nad kapitalistycznymi reżimami Zachodu. Warszawska odsłona odbywała się – delikatnie mówiąc – nie w czas. I miast zrealizować założenia komunistycznej propagandy oraz polityki kulturalnej władzy ludowej – odegrała ważną rolę w procesie destalinizacji polskiego społeczeństwa. Latem 1955 r. Osiecka jeszcze o tym nie wiedziała. Niemniej cieszyła się na ten zlot. Lasota zaś pomógł jej zatrudnić się przy festiwalu w charakterze tłumaczki i dziennikarki. Dostała nawet pokój w hotelu sejmowym. (...)

W pierwszych dniach festiwalu Grzegorz poznał Agnieszkę z poetą i współtwórcą STS-u – Witoldem Dąbrowskim (in. Wyjątkowy Chłopiec), którego uważał za swojego podopiecznego i najserdeczniejszego przyjaciela. Dąbrowski i Osiecka zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, co ostatecznie domknęło w życiu panienki z Saskiej Kępy etap Ryszarda Lassoty, związek z Marianem Kuberą oraz romans z Grzegorzem Lasotą.

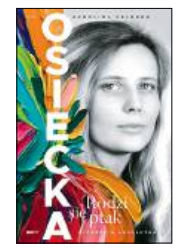

Fragmenty książki Karoliny Felberg *Osiecka. Rodzi się ptak*, t. 1, Znak Literanova, Kraków 2024

eprasa.pl 3e4bb4f431

NA EKRANACH

Skończony buntownik

Bob Dylan ma szczęście do biografii. Niegdyś w „I'm Not There. Gdzie indziej jestem" zagrało go aż pięciu aktorów i Cate Blanchett. Teraz wciela się w niego „tylko" Timothée Chalamet, ale co to za rola! I co to za film! Reżysera Jamesa Mangolda nie interesują wypisy z encyklopedii. Jak nie wiecie, gdzie Dylan się urodził, gdzie wychował, a gdzie przeżył doświadczenia transformacyjne, to nie dowiecie się tego z filmu. Bo to nie jest klasycznie rozumiana biografia, tylko portret buntownika. Takiego skończonego, buntującego się nawet przeciwko gatunkowi muzyki, który reprezentował (co zresztą ściągnęło na

niego gniew tych, którzy chwilę wcześniej widzieli w nim objawienie). „Kompletnie nieznany" (tytuł to oczywiście cytat z „Like a Rolling Stone") to także pean na cześć folku i etno, muzyki, która wyrasta z miejsca, historii i nastroju, a nie badań producentów muzycznych na temat tego, czego ludzie chcą posłuchać. Polską wersję filmu trzeba jeszcze pochwalić za odważne tłumaczenia piosenek Dylana. Są autorskie, interpretacyjne i na pewno nie wszystkim przypadną do gustu. Jak sam Dylan.

Artur Zaborski

„Kompletnie nieznany", reż. James Mangold, prod. USA, w kinach od 17 stycznia

KURTYNA W GÓRĘ

Co ma Rasputin do Trumpa?

Trudno, by teatr był jeszcze bardziej aktualny niż w spektaklu „Rasputin" w Rampie. Na scenę wkraczają Iga Świątek i były minister Zawisza Czarnek. Jest nawet świeżo wybrany Donald Trump. Mówi się o katechetach w szkole i o otwartym w stolicy Muzeum Sztuki Nowoczesnej. A wszystko za sprawą czujnego twórcy cyklicznych kabaretów Pożar w burdelu. W związku z tym akcja toczy się śpiewająco i tańcząco.

Bronisław Tumiłowicz

„Rasputin", reżyseria Michał Walczak, scenariusz Max Łubieński, Michał Walczak, Teatr Rampa na Targówku, premiera 2 listopada 2024

Elegia o stracie

Spektakl nawiązuje do mitu o Orfeuszu, który nie mógł się pogodzić ze stratą ukochanej Eurydyki. Podążył więc do Hadesu, aby ją przywrócić do życia. I niemal mu się udało, ale z tęsknoty nie wytrzymał, obejrzał się, kiedy wiódł Eurydykę ku światu, i utracił ją na zawsze. Oto jedna z najpiękniejszych opowieści o stracie, rozpięta między bólem a melancholią.

Taki też jest ten spektakl, a zaczyna się prawie jak w micie. Eurydyka zostaje ukąszona przez węża i umiera. Orfeusz walczy ze stratą. Tyle że Orfeusz jest kobietą – w tej roli porywająca Justyna Wasilewska, a wąż ukąsi jej ukochaną w klubie. To szczegóły, wzorzec pozostaje ten sam.

Anna Smolar przeprowadza swego rodzaju ćwiczenia ze straty – rolę Eurydyki powierza lalce hybrydowej ożywianej przez aktorki i aktorów (o choreograficzną precyzję w scenach lalkowych zadbała wybitna znawczyni teatru formy Natalia Sakowicz), wiążąc z bytem-nie-bytem zagadkę życia. Lalka bowiem ożywa dzięki dotknięciu człowieka, ale potem, kto wie, co się dzieje, kto tu komu przewodzi: lalka człowiekowi czy na odwrót?

Dość na tym, że Orfeuszów pojawia się w tej grze wielu. Orfeusz-Syn (w tym wcieleniu Mateusz Górski) będzie próbował za pomocą sztucznej inteligencji przywrócić życie Matce, aby wiedząc, że to nie ona, karmić się iluzją brzmienia jej głosu. Powstał spektakl dotykający wrażliwych strun pamięci. Można go czytać jak elegię o stracie, której ból może się kiedyś zasklepić w pamięci, ale czasem wydaje się nieprzezwyciężalny, tak to jest w przypadku Orfeusza – wybitnego śpiewaka operowego (skupiona kreacja Jacka Belera), który popada w stupor, nie mogąc dotrwać do premiery dzieła, nad którym pracuje.

W spektaklu TR Warszawa nie brakuje aktorskich błysków, nawet w epizodycznych postaciach – jak choćby gastrolożka z piekła rodem Julii Wyszyńskiej, nie brakuje też frapujących rozwiązań scenograficznych i kostiumowych – dowcipny sweter Cerbera czyni niemałe wrażenie. Anna Smolar zadbała, aby jej elegia od czasu do czasu wypadała z rytmu, sama sobie zakłócając pieśń. Na koniec pojawia się iskierka nadziei – Eurydyka wprawdzie nie wróci, ale i nie zniknie z pamięci.

Tomasz Miłkowski

„Orfeusz", reżyseria Anna Smolar, scenariusz i dramaturgia Anna Smolar, Tomasz Śpiewak, TR Warszawa, premiera 30 listopada 2024

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK, MICHAŁ JUSTA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3e4bb4f431

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Nawet nietoperze nie śpią spokojnie

Nie spozieram już na wiadomości, zablokowałem kanały informacyjne – od kiedy Trump wygrał wybory, mam przeczucie graniczące z pewnością, że dożywamy końca antropocenu. Mój licznik wybił katastrofizm, dlatego wcale już nie piszę o polityce, piszę o doczesnych drobnych uciechach, o spożywaniu świata tuż przed jego końcem. Uciekam do jaskiń częściej niż kiedykolwiek, nieomal już tam mieszkam. To uspokaja, kiedy człowiek znajdzie się w przestrzeni starszej od wszystkich wojen, zagląda w wątpia ziemi starsze od ludzkości, świadom, że pozostaną takie same po jej wyginięciu. W tym przed- i powiecznym spokoju znajduję niejakie ukojenie.

Chodzić po jaskiniach zimą w zasadzie się nie powinno, by nie wybudzać nietoperzy, ale w obszernych systemach obecność mobilnego, parującego grzejnika o temperaturze 36,6 st. C ma znikomy wpływ na otoczenie, jeśli do hibernującego zwierzaka celowo się nie zbliży i nie będzie go dręczyć światłem. Naczytało się o gryzoniach dysponujących szóstym zmysłem, który pozwala im zawczasu przewidzieć niebezpieczeństwo i zwiać w porę przed trzęsieniem ziemi czy też wyjść na ląd przed ostatnim rejsem okrętu – pomyślałem. Napatrzę się na sen nietoperzowy, żeby się uspokoić – przecież nie kładłyby się spokojnie do hibernakulum, gdyby czuły, że coś się święci.

Tymczasem i pod ziemią jakieś nadzwyczajne poruszenie. Tysiąc jaskiń już odwiedziłem, dziesiątki tysięcy nietoperzy widziałem, ale nigdy mi się nie zdarzyło – jak pewnej soboty – żeby w środku zimy panowały takie chiropteroniepokój i dezorientacja. Na zewnątrz lodowato (w górach Słowacji, powyżej 1000 m n.p.m.), nietoperze mrożonych komarów nie zjadają, tymczasem w pieczarze mnóstwo nocków latających, wybudzonych, zmęczonych i wygłodniałych. Nigdy też tylu nie podnosiłem ze spągu, aby je na powrót przyczepić do skały – widać osłabły albo się pochorowały, bez względu na gatunek, bo i nocki duże, i małe podkowce znajdowałem na kamieniach jakieś niemrawe. Zoolodzy znajdą racjonalne wytłumaczenie, ale moja chora wyobraźnia już sobie dopowiedziała: gadzina ma niespokojne sny, bo czuje nosem apokalipsę.

Sam pod światem nie chodzę, stąd trudno mi ludzkości uniknąć, moja blokada informacyjna jest zatem nieszczelna. Nie żebym sam dociekał, co oprócz starej biedy w trawie piszczy, ale dowiaduję się mimochodem o kolejnych pomysłach psychopatów u władzy. O absurdach mniej groźnych za czasów PRL mówiło się, że „Mrożek by tego nie wymyślił". Dopiero w latach 90. moje pokolenie, wychowane na „Latającym cyrku Monty Pythona", zaczęło określać głupotę przekraczającą granice absurdu pythonizmem.

W dziedzinie absurdów o skutkach potencjalnie katastrofalnych dla ludzkości lub też swojsko-pokracznego wymiaru narodowej polityki niezmiennie w moich kręgach powiada się jednak, że coś jest „jak z Witkacego". Jadowici bliźniacy na czele państwa byli jak z Witkacego, bo u niego to, co śmiertelnie ponure, musiało być zarazem dziwacznie śmieszne. No i teraz ledwo spod ziemi wychynąłem, już słyszę, że Trump ogłasza „Make Greenland Great Again!". Byłaby to political fiction klasy B, kliniczny przykład „co-ślina-do-gęby-przyniesizmu", gdyby nie fakt, że przytrafił się prezydentowi elektowi Stanów Zjednoczonych, który na dniach zostanie zaprzysiężony. Jakby trwały zawody, kto wymyśli cięższy kaliber prowokacji, aby naruszyć globalny porządek i wywołać konflikt gargantuicznych rozmiarów. Nie zajmuje mnie zbytnio nuklearny casus belli – widzę politologów debatujących nad tym w wielkim garze zupy, która niebawem zacznie się gotować. Odnoszę wrażenie, że światu się zbiera na wymioty i jeśli metodą palca w gardle nie dokona jakiegoś wyrzutu toksyn, pęknie wewnętrznie i sczeźnie od trucizn. Nie spodziewam się zbyt wiele po końcu świata.

Odnoszę wrażenie, że światu się zbiera na wymioty i jeśli metodą palca w gardle nie dokona jakiegoś wyrzutu toksyn, pęknie wewnętrznie i sczeźnie od trucizn.

Z braku akceptowalnej wizji przyszłości zerkam w swoje stare dzienniki, te zeszłowieczne jeszcze, w maseczce, aby się nie nawdychać kurzu, i znajduję tam, oprócz wielu swoich rozczulających naiwności, chcących być literackimi, także cytaty z ulubionych autorów. I oto wygrzebałem motto z ongiś zaprzyjaźnionego autora Janusza Rudnickiego, które dziś może przynieść niejaką ulgę: „Przybierzcie taką postawę wobec życia w ogóle – niczego się nie spodziewajcie po prostu, a przeżyjecie same niespodzianki". ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 3e4bb4f431

Charlotte Mullins

Naśladowcy

Rzymianie standardowo praktykowali kopiowanie dzieł i uprawiali recykling wcześniejszych pomysłów artystycznych

Czas: rok 210 p.n.e. Właśnie zmarł bezlitosny chiński cesarz Qin Shi Huangdi. Zgromadził armię, która ma go poprowadzić w zaświaty – tysiące żołnierzy stoi teraz w równych szeregach. Są tu łucznicy i oficerowie, piechota i jazda, wszyscy zwróceni twarzą w stronę ziem, które Qin podbił, jednocząc pod swoim sztandarem całe Chiny. Gwardia cesarska stoi w czterech szeregach w dziesięciu pozornie niekończących się kolumnach, z włóczniami w dłoniach, gotowa odeprzeć atak. Ta armia nigdy nie śpi, bo nie są to zwykli żołnierze, ale naturalnej wielkości pomalowane kopie ludzi wykonane z terakoty (wypalonej gliny). Stanowią część ogromnego mauzoleum, które Shi Huangdi nakazał zbudować, gdy w wieku 13 lat objął władzę i został królem państwa Qin.

36 lat później armia strzegła już repliki stolicy Qin, Xianyangu, z pałacem cesarza, w którym go pochowano. Przejścia łączą pogrzebany pałac z resztą zduplikowanego miasta, które ciągnie się kilometrami. W dołach stoją rydwany z brązu zaprzężone w konie z brązu w pełnej uprzęży i z woźnicą zawsze gotowym do wożenia zmarłego cesarza. 26 muzyków i akrobatów z terakoty zapewnia rozrywkę; w pobliżu kręcą się dworzanie i służba Pierwszego Cesarza gotowi do usług. Gliniane gęsi i łabędzie „pływają" po podziemnym jeziorze, aby władcy nigdy nie zabrakło pożywienia.

•

Wcześniej władcy nakazywali składanie po ich śmierci ofiar z ludzi, którzy mieli ich obsługiwać w zaświatach, natomiast Huangdi zlecił wykonanie mogących mu służyć po wieczne czasy tysięcy terakotowych ludzkich sobowtórów. Do ich wytworzenia wykorzystano glinę zmieszaną z piaskiem w celu jej wzmocnienia podczas wypalania, a materiał rozdzielono pomiędzy poszczególne warsztaty, aby zapewnić tę samą jakość na różnych liniach produkcyjnych. Ponad tysiąc robotników wykonało rzeźby z identycznych części, ale różnie skonfigurowanych, tak aby jeden żołnierz w zbroi nabijanej ćwiekami mógł mieć wąsy, a inny nie, albo żołnierz z włosami związanymi w węzeł miał grubszy szal niż jego sąsiad. Te różnice sprawiają, że figury wydają się bardziej ludzkie. Ślady farby na glinie wskazują, że pierwotnie były one pomalowane, a kolory – realistyczne. Dziś znamy tych żołnierzy pod nazwą Terakotowej Armii, a od 1974 r., kiedy dokonano odkrycia tego miejsca, odkopano ich tysiące.

W tym samym czasie, gdy Pierwszy Cesarz budował swoje imperium, w zachodniej Afryce, na północ od rzeki Niger (obecnie środkowa Nigeria), kwitła kultura Nok. Wiele rzeźb Nok, również wykonanych z terakoty, przetrwało do dziś. Artystkami Nok były kobiety, które zwijały wałki z gliny, tworząc puste w środku postacie w ceremonialnych strojach. Niektóre z nich pierwotnie miały ponad metr wysokości. Gdy rzeźby wysychały, w glinie wycinano detale, takie jak wypukłe naszyjniki, bransoletki na dłoń i stopę, broń, warkocze i rysy twarzy. Twarze rzeźb były stylizowane i charakterystyczne. Każda głowa miała wysokie łukowate brwi, duże trójkątne oczy z wyłupiastymi gałkami ocznymi i wydrążonymi źrenicami. W wypadku większych rzeźb wiercono otwory w ustach, uszach, nozdrzach i oczach, aby powietrze mogło uchodzić z wnętrza podczas wypalania w piecu, co zapobiegało pękaniu wyrobu.

Rzeźby Nok istnieją obecnie głównie w postaci fragmentów, przeważnie głów, uważa się więc, że mogły zostać zniszczone i pochowane w ramach jakiegoś rytuału, np. obrzędów ku czci przodków lub pogrzebu. Niestety, nie ma żadnych pisemnych wzmianek na temat tej kultury. Atrybuty wyrzeźbionych postaci, takie jak dekoracja głowy w formie muszli i berło faraona umieszczone na naramienniku, oznaczają, że lud Nok miał szerokie kontakty handlowe, które zaowocowały wymianą kulturalną rozciągającą się od Oceanu Atlantyckiego po Egipt.

Rzymianie, zamiast budować sieć kontaktów handlowych, woleli najeżdżać sąsiednie terytoria i powiększać własne państwo. Rzym wyrósł z małego miasteczka na imperialną superpotęgę, która w II w. p.n.e. kontrolowała rozległe obszary basenu Morza Śródziemnego. Apetyt na rzeźbę w Rzymie był nienasycony. W mieście mieszkało ponad milion ludzi i wszędzie stały posągi: bogowie w świątyniach, rzymscy wodzowie na rogach ulic, popiersia greckich filozofów w domach i rzeźbione grobowce przy drogach. Z każdego podbitego miasta zabierano rzeźby jako łup wojenny i paradowano z nimi ulicami Rzymu w efektownych pochodach zwanych triumfami. Rzeźbiarzom zlecano wykonanie marmurowych replik najsłynniejszych greckich rzeźb Polikleta i Praksytelesa, które przewożono statkami do Rzymu. Zaczęły krążyć gipsowe odlewy słynnych dzieł, dzięki czemu rzymscy artyści mogli tworzyć kolejne repliki: przetrwały dosłownie tysiące nagich Afrodyt i Wenus (…).

W miarę rozrastania się imperium rzymskiego datowanie rzeźb staje się coraz trudniejsze. Dlaczego? Rzymianie standardowo praktykowali kopiowanie dzieł i uprawiali recykling wcześniejszych pomysłów artystycznych. Ponieważ bardzo podziwiali grecki styl życia, każdy chciał posiadać greckie rzeźby, ale po prostu

eprasa.pl 3e4bb4f431

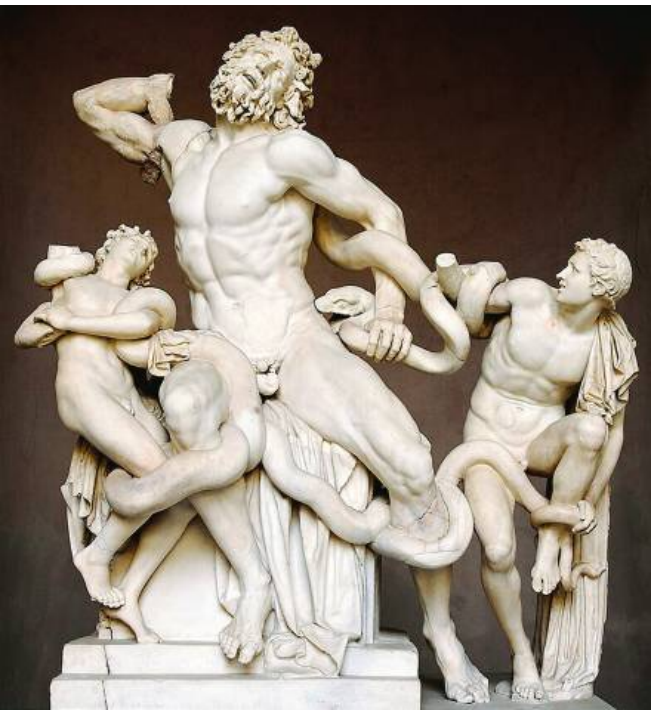

Nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy powstała „Grupa Laokoona".

nie starczało ich dla wszystkich. Powszechne więc było ich kopiowanie i tworzenie nowych na podstawie greckich oryginałów.

Jedno dzieło szczególnie dotyka istoty tej trudności: „Grupa Laokoona". To fantastyczna rzeźba, pełna energii i wielkiego dramatyzmu. Trzy wijące się postacie męskie – kapłan Laokoon i jego synowie – usiłują się uwolnić ze splotów olbrzymich węży morskich wyciągających pyski, by ich ukąsić. Mężczyźni są nadzy, a mięśnie mają napięte ze strachu. Centralną postacią jest Laokoon, skazany na śmierć przez mściwego boga Apollina za próbę ostrzeżenia oblężonego miasta Troi, aby nie przyjmowało daru w postaci gigantycznego drewnianego konia. Gdy Laokoon i jego synowie zostają zaatakowani przez węże, brzuch konia się otwiera, a greccy wojownicy wchodzą do Troi i wygrywają wojnę.

Historia wojen trojańskich znana jest od wieków. (...) Homer opowiedział ją w VIII w. p.n.e. w „Iliadzie", a rzymski poeta Wergiliusz zaktualizował w „Eneidzie" (29-19 p.n.e.), dla większego efektu dodając historię Laokoona. Trzech artystów z greckiej wyspy Rodos – Agesander, Polydor i Atenodor – przełożyło opowieść o Laokoonie na język marmuru, tworząc niespokojne, wyraziste arcydzieło, w którym kamień przemienił się w napięte z wysiłku ciało. Rzeźbę nabył zamożny rzymski wódz (późniejszy cesarz) Tytus. (...)

Wiele rzeźb Nok przetrwało do dziś. Artystkami Nok były kobiety, które zwijały wałki z gliny, tworząc puste w środku postacie w ceremonialnych strojach.

Ta armia nigdy nie śpi, bo nie są to zwykli żołnierze, ale naturalnej wielkości kopie ludzi wykonane z terakoty.

Dziś nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy faktycznie powstała „Grupa Laokoona". Pod względem formy przypomina pewną rzeźbę wykonaną w III w. p.n.e. w Pergamonie (obecnie w Turcji, ale wówczas uważanym za część Grecji). Inni specjaliści wolą datować ją na I w. p.n.e. Pliniusz wymienił jako jej twórców trzech rzeźbiarzy z Rodos i wydaje się, że ci sami wykonali do okazałej nadmorskiej willi cesarza Tyberiusza w Sperlondze bardzo teatralne rzeźby o tematyce zaczerpniętej z eposu Homera. To jednak kazałoby datować grupę na I w. n.e. Na samej rzeźbie nie ma żadnego napisu i ostatecznie nic nie wskazuje na konkretny okres, nawet jeśli dokona się porównań stylistycznych z innymi dziełami, ponieważ powszechną praktyką było kopiowanie starszych stylów.

Jedynym obszarem, w którym rzymscy artyści nie czerpali inspiracji ze sztuki greckiej, był portret rzeźbiarski w formie biustu (popiersia). W klasycznej rzeźbie greckiej mężczyzn przedstawiano w postaci gładko ogolonych młodzieńców, a kobiety jako istoty o symetrycznych twarzach pozbawionych zmarszczek. Były supermodelkami swoich

FOT. WIKIPEDIA (3)

eprasa.pl 3e4bb4f431

czasów. Rzymianie przeciwnie: preferowali twarze, na których odbijał się wiek i doświadczenie, lubili ukazywać uderzające indywidualne cechy, takie jak odstające uszy, opadający podbródek czy fałdy tłuszczu. „Głowa rzymskiego patrycjusza z Otricoli" z ok. 75-50 p.n.e. charakteryzuje się wystającym podbródkiem i zapadniętymi policzkami. Usta mężczyzny są zaciśnięte, a zmartwienia marszczą mu czoło i ocieniają oczy. Ten styl w rzeźbie nazwano weryzmem – z łaciny *verus*, „prawdziwy" – ale dziś nie mamy możliwości sprawdzenia, czy te portrety są bardziej realistyczne niż głowy greckie. Obydwie konwencje były uosobieniem ideału, lecz dla Rzymian oznaczało to przedkładanie doświadczenia ponad młodość, mądrości ponad niewinność, niezawodności i stoicyzmu ponad powierzchowne piękno. Weryzm upodobali sobie nie tylko senatorowie i wojskowi, ale także kupcy i rzemieślnicy, którzy na swoich grobowcach kazali umieszczać nieupiększone podobizny. (...)

W starożytności rzeźby zamawiane przez rodziny arystokratyczne i rządzące, np. przez rodzinę Augusta, były wykonywane z marmuru i brązu, solidnych materiałów, i mogły przetrwać zamawiających. Inne przedmioty nie miały takiej trwałości. Z tego powodu włoskie miasta Herkulanum i Pompeje są niezwykłym i nieocenionym źródłem wiedzy dla historyków sztuki. Gdy w 79 r. n.e. wybuchł pobliski wulkan Wezuwiusz, miasta te przysypała warstwa popiołu i pumeksu gruba na 4 do 6 m; całe życie miejskie, bogate i biedne, uległo w ten sposób zamrożeniu. Wykopaliska rozpoczęte w 1738 r. nadal trwają. Wnętrza odkopanych domów, z mozaikami wzorowanymi na malowidłach greckich i freskami przedstawiającymi mity, krajobrazy i iluzje architektoniczne, oferują cenny wgląd w to, jak sztukę wplatano w życie codzienne.

Od Pliniusza wiemy, że malarstwo ceniono za iluzjonizm. Malarze z Pompejów we wnętrzach willi powszechnie stosowali *trompe l'oeil*, malując tynki imitujące marmur, ptaki siedzące na girlandach i widoki za oknem. Pierwszym pomieszczeniem, które widzieli goście wchodzący do domu rzymskiego, było centralnie położone atrium przypominające teatralną scenografię, pełne dzieł sztuki i mebli rozmieszczonych tak, aby jak najlepiej odzwierciedlały gusta i aspiracje właściciela. Posągi Dionizosa, greckiego boga przyjemności, oznaczały, że masz wystarczająco dużo wolnego czasu; rzędy portretów greckich filozofów i rzymskich przodków świadczyły, że stoi za tobą dziedzictwo kulturowe i wykształcenie. W pomieszczeniach ogólnodostępnych znajdujących się za atrium często na ścianach widniały sceny mitologiczne lub przedstawienia rytuałów. W Willi Misteriów jedno z pomieszczeń zdobią freski ścienne z przygotowaniami do ceremonii zaślubin. Młode kobiety i mężczyźni idą przez sale, w których rezydują bogowie kojarzeni z miłością i płodnością, np. Dionizos i Eros. (...)

W Domu Fauna, jednej z najwspanialszych willi w Pompejach, odtworzono grecki obraz w formie mozaiki pokrywającej posadzkę w przejściu do perystylu, przedstawiający Aleksandra Wielkiego walczącego z królem perskim Dariuszem. Mozaika ma wymiary 6 na 3 m i pierwotnie składała się z ok. 3 mln tesser, maleńkich kamiennych kostek w kolorze żółtym, brązowym, białym, czarnym i szarym, z których artysta ułożył dynamiczną scenę bitwy. Oglądamy moment porażki Dariusza. Król odwraca się i spogląda na Aleksandra, gdy jego ludzie wycofują się, wciąż z włóczniami skierowanymi we wroga. Koń usiłuje wyrwać się trzymającemu go żołnierzowi, wciągając nas w samo serce akcji i ujawniając umiejętność artysty przedstawiania skrótu perspektywicznego (widzimy zad i głowę konia jakby od tyłu). Mozaika ta jest jedynym znanym świadectwem istnienia obrazu, który mógł być albo słynnym przedstawieniem bitwy pod Issos z IV w. p.n.e. autorstwa Heleny z Aleksandrii, albo sceną bitewną, którą Pliniusz wymienił na swojej liście greckich arcydzieł. Tak czy inaczej, istnieje on dzisiaj wyłącznie w formie tej mozaiki, utrwalonej przez popiół wulkaniczny w 79 r. (...)

Fragmenty książki Charlotte Mullins, *Krótka historia sztuki*, przeł. Ewa Hornowska, Rebis, Poznań 2024

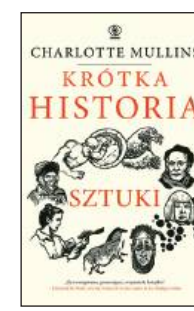

eprasa.pl 3e4bb4f431

TAMTEGO ROKU **ZIMA** ZNÓW BYŁA ZIMĄ

Wieś nie jest idealna, a raj na ziemi nie istnieje. Nie ma tu też żadnej magii. Jest zwyczajne życie

Dorota Filipiak

Nastał najbardziej ponury moment w roku. Zmierzch zapadał już około trzeciej po południu. Kiedy kończyłam pracę, było już zupełnie ciemno. Psa wyprowadzałam na drogę tylko do miejsca, do którego docierało wątłe światło trzech latarni stojących przy szosie wiodącej ze wsi do wsi. Poza kręgiem ich światła ciemność gęsta i zupełnie nieprzenikniona, chociaż przez śnieg raczej szara niż czarna, sprawiała, że nawet pies, który może zastąpić patrzenie węszeniem i słuchaniem, nie miał odwagi, by tę granicę światła i ciemności przekroczyć. Ciągnął do domu, jakby wyczuwał, że w tej welurowej szarości czai się coś niebezpiecznego. Wolałam zaufać jego instynktowi. Chowaliśmy się szybko w cieple, chronieni bezpiecznymi ścianami. Tymczasem na zewnątrz też toczyło się życie.

Obfity śnieg i mrozy to ciężki czas dla naszych sąsiadów. Ale to też moment, w którym te dwa światy bardzo się do siebie zbliżają. Codzienne karmienie przywiązuje ptaki do miejsca i zachęca do regularnych odwiedzin w naszym sadzie. W krótkim czasie doczekaliśmy się wiernego skrzydlatego stadka korzystającego z obfitej stołówki. Na orzechy przylatują dzięcioły i sójki. Kalinę i berberys podjadają kwiczoły. Do karmników sypiemy ziarno, którym zajadają się mazurki, zięby, jery, dzwońce, grubodzioby i cała masa innych skrzydlatych stworków, które z kolei stają się pożywieniem dla drapoli. Na sikorki wpada do nas para krogulców. Pod ręką zawsze trzymam lornetkę, żebym mogła przyjrzeć się z bliska np. takiej scenie: Stanisława siedzi pod świerkiem i oskubuje. Niestety nie widzę, co złapała. Jest za daleko, schowana pod świerkiem, a zapada już zmrok. Widoczność słabnie, zacierają się kontrasty. Ale najpewniej pożera mazurka albo sikorę.

Sypaliśmy słonecznik i kukurydzę, a ptaków przylatywało coraz więcej. I nagle poszczególne ptaszydła postanowiły mi się przedstawić. Myszołów, bujający się jak sierota na gałęzi zbyt wiotkiej jak na jego ciężar, okazał się Zbyniem. Dzięcioł – Janem, krogulec – Stanisławą. Oczywiście mogłam się mylić, może była Stanisławem, ale nie miałam porównania, bo wspólnie zajrzeli do nas chyba tylko raz. A i tak wiadomo, że nie usiądą spokojnie jedno koło drugiego, żeby dać się zmierzyć. Strasznie ruchliwe są te krogulce. Wpadają do sadu nagle, nie wiadomo skąd, i nurkują w żywopłot. Gęste gałęzie nie stanowią dla nich żadnego problemu. Śmigają tak, że wzrok nie nadąża z uchwyceniem ich błyskawicznych ruchów.

Pewnego dnia pod wieczór mokry i ciężki śnieg przykrył błocko, w które zdążył się właśnie zamienić śnieg

eprasa.pl 3e4bb4f431

sprzed kilku dni. Zrobiło się ładniej, jaśniej, ale ptakom jeszcze ciężej. Nie nadążaliśmy z sypaniem żarcia. Słonecznik się skończył i póki co musiały się zadowolić mieloną kukurydzą i orzechami. Dostawa następnych kilkudziesięciu kilogramów słonecznika przyjechała po kilku dniach. Ledwo dotaszczyłam worki do komórki. Ale wystarczyło do końca zimy. Ptaki zjadły wszystko. A Stanisława skubała upasione nasionami sikorki.

Po Nowym Roku giną wszelka nadzieja i radość, energia się ulatnia. W nieustających ciemnościach można tylko skryć się w fotelu i z kubkiem grzańca w rękach czytać to, na czego czytanie wcześniej nie było czasu. Tamtego roku zima znów była zimą. Po wielu latach spadł śnieg, a mróz trzymał wyjątkowo długo. Gdy po raz kolejny z mozołem targałam wiaderko z drewnem na opał, kuląc się pod ciosami wrednego lodowatego wiatru, błogosławiłam ponad 20 lat hartowania się na wsi. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że coraz dłuższe pobyty w chatce, kolejne zimowe weekendy i urlopy były treningiem przed zimą tamtego roku. Zimą, jakie drzewiej bywały. Nareszcie mogłam wyjąć z ciemnego kąta w komórce nieużywane od kilku lat biegówki i ruszyć do lasu, którego forma uległa kolejnej zmianie. Określenie, że las był jak z bajki, nareszcie miało głębokie uzasadnienie.

Tamtego roku luty był wyjątkowo śnieżny i mroźny. W lesie pojawiły się prowizoryczne kuligi, czyli sanki uwiązane do samochodów. Znalazłam też ślady innego amatora biegówek. Zwierzęta zostawiały wyraźne tropy odciśnięte w bieli. Swój teren znaczył wilk. Obowiązujące ciągle zakazy i nakazy uwolniły las od zbiorowych polowań. Zwierzęta odzyskały teren.

Wieś potrzebuje młodych ludzi i nowego podejścia do świata, natury. Ale wsie się wyludniają.

Ale poza urodą pora ta stała się wielkim wyzwaniem dla nas, a przede wszystkim dla zwierząt i roślin. Nie wszystkim było dane doczekać wiosny. Gdy świat na zewnątrz jest martwy, nadchodzi dobry czas na umieranie i dla zwierząt, i dla ludzi.

•

Wciąż trwa zima. Żadnych widoków na poprawę. Jedyne, co mnie ratuje, to spacery po lesie. Książki już prawie wszystkie wyczytane. Od wielogodzinnego siedzenia boli kręgosłup. Ziemia skuta lodem.

„Gdy w Gromniczną jest ładnie, dużo śniegu jeszcze spadnie”.

Któregoś dnia wybrałam się na biegówkach do lasu. Długa droga przez łąki, przez mokradełko, którego nie skuł w całości nawet ostry mróz. Pomimo nart zapadałam się więc po kolana. Potem musiałam jeszcze pokonać strugę. Przezornie ominęłam ten fragment lodu, pod którym skryło się koryto rzeczki. Nie było to łatwe, ale się udało. Potem zostało już tylko przedzieranie się przez olszynę. W lesie byłam tylko ja i kryjące się przed moim wzrokiem zwierzęta. Gadałam do siebie głośno – na wszelki wypadek, żeby jakiś zamyślony łoś mógł mnie usłyszeć odpowiednio wcześnie. Zimą łosie strasznie się zagapiają. Ciągle na nie wpadam. A człowiek sunący na nartach wywołuje ich wielkie zdziwienie, stoją wtedy zupełnie oniemiałe. Można do nich podejść całkiem blisko. Wiem, bo to ja byłam tym człowiekiem na nartach i to mnie oglądały ze zdumieniem dwa ogromne łosie. Dopiero gdy głośno się przywitałam, bez zbędnego pośpiechu ruszyły głębiej w las. Zimą każda kaloria jest na wagę złota. Trzeba się oszczędzać. (…)

•

„Kultura Liberalna” opublikowała przed kilkoma laty wywiad z doktor socjologii Rutą Śpiewak. Tekst opatrzono wymownym tytułem: „To miastowi podtrzymują sielską wizję wsi”. Często słyszę te podszyte lekką zazdrością westchnienia znajomych z Warszawy i innych miast – tak, życie na wsi to jest to, cisza, spokój, bez tego miejskiego pośpiechu. Długo sama trwałam w przekonaniu, że wieś to najlepsze miejsce do życia. Ale przecież raj na ziemi nie istnieje, chociaż patrząc na kwitnący w maju sad, można dojść do odmiennego wniosku. Gdy jednak od czasu do czasu popadam w nadmierny zachwyt, do pionu przywracają mnie spacer lub niedługa przejażdżka rowerowa po okolicy. I od razu przypominam sobie, za co serdecznie tej wsi spokojnej, wsi wesołej nie cierpię.

Pierwsze, co w ostatnich latach rzuca się w oczy, to mordowanie drzew, kostkomania i tujomania. Drzewa liściaste to tylko źródło nieporządku. Jeśli nie dają owoców, są niepotrzebne, a więc – wyciąć. Drzewa na miedzach to już bardzo rzadki widok. Przede wszystkim dlatego, że przestały istnieć miedze. Każda piędź

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 3e4bb4f431

ziemi, którą można zaorać i obsiać, musi być wykorzystana, a z drzewa na polu nie ma pożytku, a więc – wyciąć. Stary półdziki sad z wiekowymi jabłoniami może rosnąć tylko tam, gdzie nikt nie mieszka, przy starych opuszczonych domach – i będzie rósł, dopóki ktoś nie kupi działki. Wtedy zaczną się prace budowlane, drzewa będą przeszkadzać, a więc – wyciąć. A potem posadzi się tuje. Ostatnich dni doczekała właśnie zabytkowa aleja lipowa prowadząca do pałacu Górskich w Ceranowie. Ogromne drzewa, sadzone pewnie jeszcze w XIX w., nie wytrzymały w starciu z cywilizacją. Umierają. Ale nie dane im będzie umrzeć, stojąc, bo łamiące się przy byle wietrze gałęzie stanowią zagrożenie dla pędzących drogą krajową samochodów. A więc – wyciąć. Górscy przewracają się w grobach.

Wieś w ogóle lubi zieleń tylko wtedy, gdy można nad nią całkowicie panować. Roślinom wolno rosnąć jedynie w wyznaczonych miejscach. Widziałam raz, jak dwie kobiety starannie usuwały każdą roślinkę spomiędzy kostki, którą było wyłożone całe podwórko. Żadne życie nie miało prawa się tam pojawić. Nie po to kładziono kostkę, żeby teraz był nieporządek. (…) Dzikie drzewa i inne rośliny uważa się za niepożądane, ale także zwierząt nie darzy się tu przesadną miłością. Psy trzyma się w kojcach gdzieś w rogu podwórka albo po staremu – w budzie. (…)

Z obsesją na punkcie porządkowania zieleni nie idzie jednak w parze zamiłowanie do ładu w architekturze. Powiedzieć, że panuje u nas architektoniczny chaos, to nic nie powiedzieć. Tylko starzy ludzie podtrzymują charakter dawnej wsi. Gdzieniegdzie ostały się ostatnie drewniane i ceglane domy. Powszechnie jednak panuje styl „dworek polski z wielkim garażem" lub „nie wiadomo co, byle nie za bardzo wiejskie". Żadnych naturalnych materiałów, żadnych cegieł, drewna, kamienia. Po dawnej ulicówce, w której niemal identyczne drewniane chaty stały ściana w ścianę w równych rzędach, pozostały już tylko wspomnienia i czarno-białe fotografie. Dziś trzeba się na sąsiada wypiąć pół bokiem, pół tyłem, byle nie stać równo. Dom musi być inny niż wszystkie i tym sposobem mamy wszystkie domy inne niż wszystkie z jedną cechą wspólną – wielgachnym garażem. (…)

Na wyłożonych kostką, okolonych tujami podwórkach ani papierka. Za to w przydrożnych rowach pełen przegląd upodobań gastronomicznych i alkoholowych mieszkańców wsi oraz letników. Latem na bujnie zarośniętych poboczach kryją się liczne tajemnice romansów i życia towarzyskiego. Dopiero zimą rowy odkrywają swoje sekrety: butelki po wódkach, puszki po piwie, plastiki po energetykach, resztki uczt z McDonalda, opakowania po prezerwatywach. Widzę to wszystko, chociaż wcale nie chcę widzieć. Nie chcę, ale muszę, bo przecież nie będę chodzić z zamkniętymi oczami.

To, co nie wylądowało w przydrożnym rowie, często kończy jako opał. Smrodu palonych śmieci i plastiku nie da się z niczym pomylić. Paskudniej śmierdzi tylko palona wprost na ziemi folia po belach siana. Czarny, lepki dym snuje się po całej okolicy. (…) Nie ma przed nim ucieczki. (…) Mimo to przyszłość i przeszłość wciąż przeglądają się w sobie. Stare krzyże, kapliczki, chociaż coraz mniej liczne, ciągle tkwią przy drogach i dróżkach w lasach albo pośród pól. Na łące została ostatnia szopa na siano. Kiedyś było ich tu wiele. Wyznaczały architekturę krajobrazu wraz z licznymi kępami drzew i miedzami. Jeszcze nie tak dawno używano ich do przechowywania siana, jak całe dziesięciolecia wcześniej. (…)

Wieś potrzebuje młodych ludzi i nowego podejścia do świata, natury, której jesteśmy częścią. Ale wsie się wyludniają. Mieszkańcy, którzy nie wyjechali, są zajęci codzienną ciężką pracą. Nie siadają już na koniec dnia na przeddomowych ławeczkach. Towarzystwo sąsiadów zostało zastąpione przez telewizor. W niektórych wsiach zamknięto szkoły, bo brakowało uczniów. Duże budynki, podobnie jak wiele domów, straszą pustymi, ciemnymi oczodołami okien. Dzieci we wsi jest mało i będzie coraz mniej. Córki sąsiadów nawet nie udają, że zostaną na wsi. Już od dawna wiedzą, że ich życie będzie się toczyć gdzie indziej. Są mądre, odważne, ładne. Mają wszystko, czego trzeba, by podbijać świat. Boją się tylko pająków. Ciekawi mnie, czy zatęsknią kiedyś za małą nadbużańską wsią, z którą wiążą je przeszłe pokolenia, czy o niej zapomną. A może znajdą swoje miejsce w jakimś odległym zakątku Ziemi, o którym jeszcze nie słyszały.

Zimą łosie strasznie się zagapiają. A człowiek sunący na nartach wywołuje ich wielkie zdziwienie, stoją wtedy oniemiałe. Można do nich podejść całkiem blisko.

Drewniane domy, którym udało się przetrwać liczne pożary, ale nie są zamieszkane, popadają w ruinę. Zamieszkane czasem muszą ustąpić miejsca nowym, murowanym. Wszyscy chcą mieszkać wygodnie i nie zawracać sobie głowy podtrzymywaniem ognia w piecu kaflowym podczas długich zimowych nocy. Po okolicznych dworach i dworkach w najlepszym wypadku zostały fragmenty zabudowań, ruiny. W najgorszym – resztki pamięci najstarszych mieszkańców. Giną też zabytkowe aleje drzew, które niegdyś prowadziły do dworów. Te, które jeszcze trwają, prowadzą donikąd.

Wieś nie jest idealna, a raj na ziemi nie istnieje. Nie ma tu też żadnej magii. Jest zwyczajne życie. Czasem męczące, czasem nieznośne, czasem irytujące. A jednak to tu potrafię zasłuchać się w ciszę, zapatrzeć w dal, wędrować godzinami w towarzystwie własnych myśli, odganiając się tylko od czasu do czasu od chmar krwiożerczych insektów.

Fragmenty książki Doroty Filipiak *Bug z tobą. Historie o życiu i śmierci na wsi podbużańskiego Podlasia*, Paśny Buriat, Suwałki 2024

eprasa.pl 3e4bb4f431

JOLKA

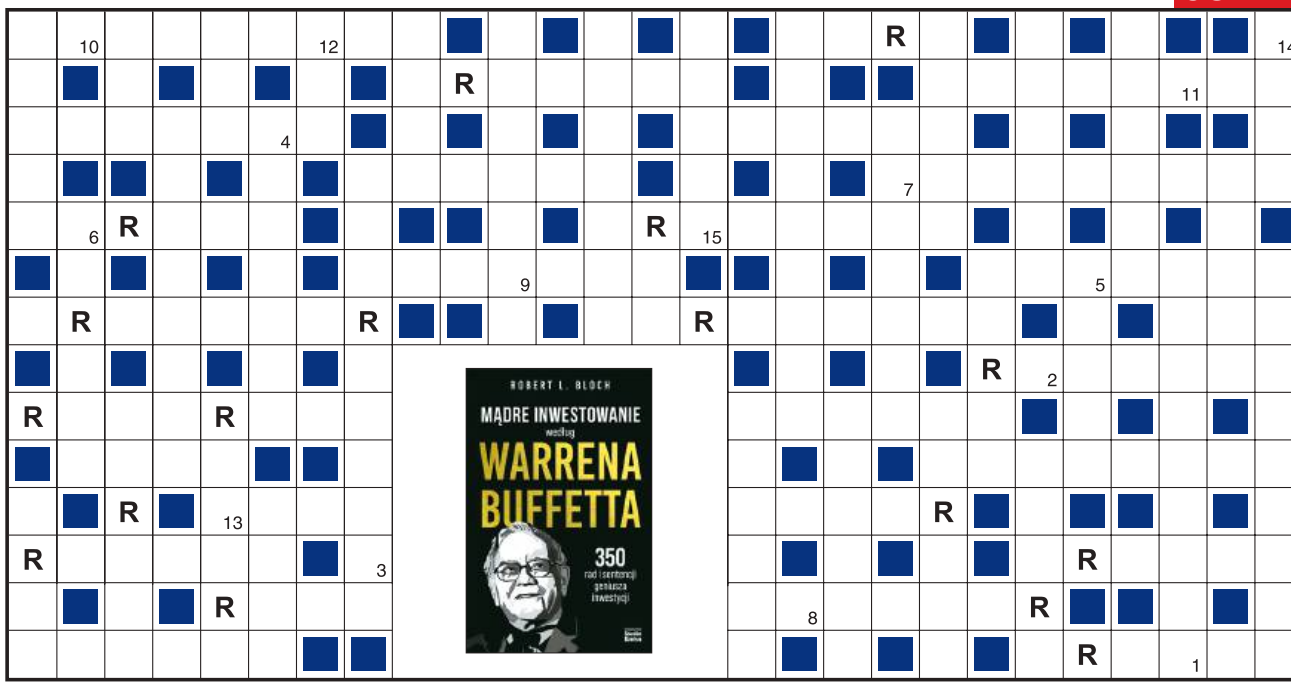

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 15 utworzą końcowe hasło.

- do niej coś jest skierowane
- bulwersująca sprawa, skandal
- ach, co za zapach!
- zasłaniająca dach ażurowa ścianka
- nazwisko murarza przodownika pracy z filmu Wajdy
- kobieca przypinana ozdoba
- wywar z mięsa i warzyw
- o czymś, co zachwyciło lub zdumiało
- bigotka, nabożnisia
- pismo papieża do biskupów i ogółu wiernych
- winoznawca
- zapał, uniesienie
- ręczny karabin maszynowy
- woźnica (Jopek o nim śpiewał)
- korzenie czegoś, pochodzenie
- …Trypolisu, państwo krzyżowców na terenie Libanu
- zamiary, motywacje
- ma srebrzyste bazie
- imię łódzkiego przemysłowca Poznańskiego
- walczył z aniołem
- przepowiada jak Krzysztof Jackowski
- Trump chce jej przyłączenia do USA?
- komedia z Pazurą jako zabójcą
- duże naczynie do noszenia płynów
- PlayStation lub mebel
- z dmuchawcami w piosence Urszuli
- miesiąc z nazwy srogi
- rzeka i miasto przy jej ujściu do Bałtyku
- gdy przy serwowaniu piłka muśnie siatkę
- pierwiastek jak fundator nagrody
- całkowite przeciwieństwo
- rodzic, twórca lub inicjator
- mieć kogoś na nim – obserwować
- wysmażone śliwki
- nie witamy się przez niego
- dżem lub przecier pomidorowy
- odkryty przez Skłodowską-Curie i jej męża
- egipska rola Jerzego Zelnika
- przedstawia sprawę, projekt
- pierwiastek o symbolu Hg
- bywa mylona z mewą
- …Smętnego Oblicza – Don Kichot
- dawny worek podróżny, torba rowerowa
- Hypnos jego uosobieniem
- suche w stogu
- promuje się, finansując coś
- naciek na dnie jaskini
- kościec, zrąb budynku lub chudzielec
- zmiana robocza w kopalni
- sinus podzielony przez cosinus
- Grond wykuty w kuźniach Mordoru
- sportowiec z rakietą
- klatka piersiowa, popiersie
- one milczą, dusza śpiewa
- i pensja, i operacja w bankomacie
- wysokość człowieka
- w berka lub w chowanego
- próby zdobycia czegoś, zapędy
- rabuś, łajdak
- natrafił na czyjąś zgubę

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1204”. Do rozlosowania książki „Mądre inwestowanie według Warrena Buffetta” ufundowane przez Studio Emka. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 19 stycznia 2025 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1201” z nr. 52: *Radosnego świętowania*.
Nagrody otrzymują: Jadwiga Ciechanowicz z Dąbrowy Górniczej, Dorota Jarosz z Nowej Wsi Szlacheckiej, Stanisław Majda z Bydgoszczy.

eprasa.pl 3e4bb4f431

Konsul wszystko zapisze

Wspominaliśmy niedawno aferę wizową w MSZ, a w zasadzie raport komisji sejmowej, która badała tę aferę. Dorzućmy do tego kolejną cegiełkę – swoje prace w ministerstwie zakończyła Najwyższa Izba Kontroli. Po audycie NIK sporządziła i skierowała do prokuratury cztery zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, łącznie przeciwko 12 funkcjonariuszom publicznym.

W stosunku do 11 z nich NIK zawiadomiła o podejrzeniu popełnienia czynu zabronionego, czyli o „zachowaniu polegającym na przekroczeniu uprawnień lub niedopełnieniu obowiązków przez funkcjonariuszy publicznych, działających przez to na szkodę interesu publicznego". Wobec jednej z osób skierowano zawiadomienie dotyczące wyrządzenia skarbowi państwa znacznej szkody majątkowej.

Zawiadomienia dotyczą czterech spraw. Pierwsza to program Poland Business Harbour, czyli wydawanie wiz pracowniczych osobom z Białorusi i Rosji, które miały pracować w Polsce jako informatycy. Program wprowadzony został jednak bez jakichkolwiek wiążących dokumentów. NIK pisze, że „nie ma wiążących dokumentów, które opisywałyby jego podstawę prawną, cele, uczestników, zadania czy zakładane efekty". Innymi słowy, do Polski, wpuszczono 95 tys. ludzi z prawem prowadzenia działalności gospodarczej. A ci na dodatek gdzieś się rozpłynęli.

Druga sprawa to naciski, które płynęły z centrali do konsulów, by przyjmowali wnioski wskazanych osób poza kolejnością i wydawali im wizy, często w trybie przyśpieszonym i „bez osobistego wstawiennictwa".

Jako szczególną kategorię potraktowano sprawę konsulatu w Mumbaju, wizytowanego przez dyrektorów departamentu. Tamtejszy konsul był naciskany, by wydawać wizy aplikantom podającym się za członków ekipy filmowej.

Sprawa jest tu oczywista, podana na tacy – konsulowie zapisywali wszystkie rozmowy ze zwierzchnikami, zachowali kopie mejli, całość mieli znakomicie poukładaną (ktoś wątpi, że mogło być inaczej?). Dla inspektorów NIK praca z nimi była czystą przyjemnością. I pewnie to samo powiedzą prokuratorzy. Trafiony, zatopiony.

I jeszcze jedna historia, tym razem dotycząca wyrzucania publicznych pieniędzy w błoto. Zbigniew Rau z pompą otworzył Centrum Decyzji Wizowych w Łodzi – wołał, że takie jest zapotrzebowanie państw w Azji i Afryce. Miało w nim pracować 160 urzędników, którzy mieli produkować wizy. Centrum umieszczono w łódzkim kompleksie Monopolis, wynajmując drogą przestrzeń biurową na lata. „Na skutek tych działań wydatkowano z budżetu państwa środki w wysokości co najmniej 681,9 tys. zł, tytułem najmu i kosztów eksploatacji budynków", napisała NIK.

Dodajmy, że to dopiero początek opłat. Umowy najmu są tak skonstruowane, że MSZ nie może się z nich wycofać. Wynajęło powierzchnię i ją ma. Podobnie jak łącza internetowe. Płaci za to miesięcznie 6 tys. euro plus prawie 12 tys. zł opłat eksploatacyjnych, opłaty za łącza internetowe i, drobiazg, za sprzątanie – 4 tys. zł. Choć pomieszczenia stoją i będą stały puste.

No, panie Zbigniewie Rau, z tego już tak łatwo się nie wykręcicie… *Attaché*

Palestyńczyk Tayseer Obaid został wysiedlony wraz z rodziną z północy oblężonej Strefy Gazy. W swoim namiocie zrobił głęboki wykop, by chronić rodzinę przed zimnem i izraelskimi atakami. Obóz w Deir el-Balah, 8 stycznia 2025 r.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 3e4bb4f431

PENETRACJE

WITOLD BEREŚ,
REDAKTOR NACZELNY

Taka jest nasza pasja – szeroko rozumiana kultura. I takie są nasze plany oraz oczekiwania. Tu doskonale wpisuje się magazyn „Kraków i Świat", a także powstające wydawnictwo Panaceum Studio. W najbliższym roku znajdziecie powstałe w naszym kręgu i wydawnictwie książki. Będziemy chcieli ponadczasowo pisać o szeroko rozumianej kulturze, w tym historycznej, politycznej i prawnej, a bieżącym wydarzeniom będziemy poświęcać nasz rozbudowywany portal. Ale największe oczekiwania są związane z Wami, naszymi Czytelnikami. Nie tylko, że bez Was nie damy rady – bez Was nie chcemy dać sobie rady.

MAGNUS VON HORN,
REŻYSER FILMOWY, SCENARZYSTA

Posiadam obywatelstwo polskie i szwedzkie. Niedawno skończyłem czterdziestkę. Przez ostatnie 20 lat żyłem w Polsce, tyle samo czasu mieszkałem wcześniej w Szwecji, więc pod tym względem panuje równowaga. Pewne wydarzenia z dzieciństwa odcisnęły silne piętno, ważą więcej, inne mniej. Amerykanom mogę powiedzieć, że urodziłem się w Szwecji, przebywam na stałe w Polsce, zrobiłem film mówiony po duńsku i tyle. Postrzegam to rozdwojenie jako coś pozytywnego, jako swoją siłę. Narodową flagą nie muszę wymachiwać, nie jestem sportowcem.

MARCIN KYDRYŃSKI,
DZIENNIKARZ, PISARZ, FOTOGRAF

Dolina Omo. Wracam tam od ćwierćwiecza, ilekroć potrzebuję punktu odniesienia, kompasu, zerowego południka. Postacie, które spotykam, żyją tak, jak żyliśmy przed tysiącami lat. W puszczy, w chacie z trzciny, wspólnej ze zwierzętami. Śpią przy palenisku. Ich istnienie w znacznym stopniu polega na walce o jego podtrzymywanie. Nie znają pojęcia czasu, nie są świadomi swego wieku. Nie ma tu zresztą „lat", ich świat nie zna pór roku. Trwają zawieszeni poza czasem i przypominają mi o tym, co najważniejsze. Materia samego życia. Szczęście w bliskości drugiego człowieka czy umiłowanego zwierzęcia.

BORYS SZYC,
AKTOR

Pijąc, zmierzałem ku śmierci, pod koniec już bardzo szybko. „Trzeba się ratować" – to z Pilcha. Film „Żółty szalik". Pilch napisał mocny scenariusz. Scena, w której Janusz Gajos mówi te słowa, przewracając się i pocąc na brązowo od żołądkowej gorzkiej, głęboko we mnie zapadła. Któregoś dnia w sierpniu 2015 r. obudziłem się i pomyślałem: „Trzeba się ratować. Muszę się ratować, bo umrę. Dość udawania, wypierania, kłamania". Picie to nieustanne kłamstwo. Człowiek ściemnia, udaje, kombinuje, a to jest straszny ciężar. I obsesja, nie możesz przestać o tym myśleć. Cholernie trudno się z tego wydobyć. W Polsce z powodu alkoholu umiera rocznie ok. 40 tys. ludzi.

FOT. POLSKA ORKA POLITYCZNA (3), SEKCJA GIMNASTYCZNA

eprasa.pl 3e4bb4f431

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

PŹNAIMADUGTZMA

RZYSZOĆZAZYNASĘDIŚ

SUCSOSMAWSIKÓW

ROZWIĄZANIA: PÓŹNA ZIMA DŁUGO TRZYMA, PRZYSZŁOŚĆ ZACZYNA SIĘ DZIŚ, SUKCES TO SUMA WYSIŁKÓW

Aby język giętki…

PROF. GRZEGORZ W. KOŁODKO
O BEZPIECZEŃSTWIE PAŃSTWA
Nie polega na śrubowaniu wydatków militarnych, lecz na ich optymalizacji oraz na rozumnych wysiłkach dyplomatycznych.

PRZEMYSŁAW ROSATI O UCHWALE PKW
To jest potworek i bełkot prawny, coś, co jest kompletnie niejasne.

ADAM MAŁYSZ O ŻYCIU
Lepiej smakować życie małą łyżeczką, niż zjeść wszystko naraz.

JOLANTA KWAŚNIEWSKA
O DOMU RODZINNYM
Był bardzo patriarchalny. Moja mateńka była cichutka, podporządkowana, uległa.

PROF. JAROSŁAW FLIS
O TUSKU I „GAZECIE WYBORCZEJ"
Źródłem sukcesu Tuska w jego najlepszych latach było to, że „Gazeta Wyborcza" popierała go z pewnym obrzydzeniem, a jak już pokochała, to zaczął przegrywać.

RADZIMIR DĘBSKI O SZTUCE
Nie wierzę w ludzi, ale wierzę, że mogą robić piękne rzeczy.

ANNA DYMNA O PORANNYM WSTAWANIU
Jak mam budzik nastawiony na szóstą, to już od piątej nie śpię, tylko go obserwuję. Bo nie lubię, jak dzwoni.

KRYSTYNA JANDA O GABRIELI MUSKALE
Kiedy wchodzi na scenę, bije od niej ciepło i czystość, co nie jest częste w dzisiejszych czasach.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 3e4bb4f431

Tomasz Bachanek, urodzony w 1962 r. w Puławach, jest absolwentem Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku, dyplom obronił w pracowni Kazimierza Ostrowskiego w 1988 r. Uprawia malarstwo olejne, akwarelę, rysunek, od czasu do czasu malarstwo ścienne. Jego prace znajdują się w prywatnych kolekcjach na całym świecie, od Malty po Nowy Jork. Kolorysta, którego żywiołem jest groteska. Wciąga widza do wnętrza innego świata – wypełnionego muzyką, zabawą, z pięknymi kobietami, ale też doskonale ujętymi relacjami międzyludzkimi i emocjami.

Ostatni grosz

Galeria Zamojska BWA
Zamość, ul. Staszica 27
do 2 lutego

BACHANALIA W ZAMOŚCIU

Tomasz Bachanek

Passaże

Bachanalia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 3e4bb4f431

Alanis Morissette

2025 WORLD TOUR

Czwartek 19 czerwca

COS Torwar

Warszawa

Alanis.com

Bilety:
ticketmaster.pl
livenation.pl

LIVE NATION

eprasa.pl 3e4bb4f431

OFFICIAL SELECTION
sundance
film festival

Jak daleko się posuniesz, żeby spełnić swoje pragnienia?

SEBASTIAN

W KINACH OD 24 STYCZNIA

REŻYSERIA MIKKO MÄKELÄ

KINO FILMWEB AKTIVIST QUEER REPUBLIKA OUTFILM

eprasa.pl 3e4bb4f481